PROGRAM RZĄDU MORAWIECKIEGO

Wojciech Cejrowski uważnie analizuje Polski Ład

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 33/438 16–22 SIERPNIA 2021

O co naprawdę chodzi w sprawie „lex TVN"

Prowokator z WSI – Sławomir Cenckiewicz o Leszku Tobiaszu

Kaja Godek o moskiewskich korzeniach ideologii LGBT

Wojna na wielu frontach

PISZĄ ZIEMKIEWICZ I POSPIESZALSKI

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 55,6 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 10bcd3ca63

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

PARTNER GŁÓWNY PZU

PARTNERZY KGHM POLSKA MIEDŹ

Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl 10bcd3ca63

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Niebezpieczne połączenie

Zdecydowana większość komentatorów wspierających opozycję niczym kania dżdżu oczekiwała jasnego stanowiska USA, potępiającego zmiany w ustawie o mediach. Miał to być w ich oczach cios miażdżący, ostateczny argument. Wiadomo: skoro PiS tak bardzo podkreślał wagę dobrych relacji z USA, to teraz stał się poniekąd zakładnikiem własnej retoryki. Dlatego, uważają obrońcy amerykańskich właścicieli TVN, tupnięcie nogą Wujka Sama powinno raz na zawsze załatwić sprawę i skłonić polski rząd do wycofania się z projektu ustawy. Jednak takie uciekanie się do pomocy z zewnątrz ma swoją cenę. Może się okazać, że w zamian za włączenie do sporu po stronie opozycji Waszyngton zacznie się domagać od polskiej opozycji poparcia dla postulatów tych środowisk żydowskich, które domagają się zapłaty za tzw. mienie bezspadkowe. Do tej pory w tej sprawie istniał w Polsce konsensus między władzą a opozycją: nie ma mowy o pieniądzach dla trudniących się wymuszaniem funduszy organizacji żydowskich. Czy teraz to się zmieni?

Jest to prawdopodobne. Otóż reakcja amerykańska nastąpiła, owszem. Tylko nie do końca taka, na jaką liczyła większość polityków polskiej opozycji. Chociaż od wielu dni próbują oni zbudować proste równanie: wolne media to to samo, co obrona praw właścicielskich Discovery; obrona statusu właścicielskiego TVN jest tym samym, co obrona demokracji; Amerykanie na pierwszym miejscu zajęli się czym innym: kwestią zagrożenia dla interesów żydowskich. Pod tym względem deklaracja sekretarza stanu Antony'ego Blinkena nie pozostawia wątpliwości. O ile większość polskich mediów pisała o tym, że stanął on w obronie TVN, o tyle fakty są nieco inne. Głównym punktem oświadczenia szefa dyplomacji USA było potępienie zmian w polskim Kodeksie administracyjnym. Kwestia mediów znalazła się na drugim miejscu i została przez Amerykanów ściśle podporządkowana sprawie roszczeń żydowskich.

„Jesteśmy głęboko zaniepokojeni, że polski parlament przyjął dziś ustawę drastycznie ograniczającą proces ubiegania się o restytucję mienia niesprawiedliwie skonfiskowanego podczas okresu komunistycznego w Polsce" – napisał w swoim oświadczeniu Blinken. I wezwał prezydenta Andrzeja Dudę do zawetowania prawa lub odesłania go do Trybunału Konstytucyjnego. Dodał, że Polska potrzebuje kompleksowego prawa, które zapewniłoby sprawiedliwość ofiarom. Jego zdaniem, dopóki do tego nie dojdzie, dopóty nie powinno się zamykać drogi dochodzenia roszczeń w postępowaniach administracyjnych. Tym samym pan Blinken domaga się odrzucenia ustawy, uniemożliwiającej zaskarżenie decyzji o odebraniu własności na drodze administracyjnej po 30 latach od jej wydania, i niedwuznacznie wspiera postulaty izraelskie.

To oświadczenie nie tylko pokazuje hierarchię wartości: na pierwszym miejscu ma być rzekoma obrona pamięci ofiar Holokaustu, lecz także łączy to pierwsze z kwestią drugą, ze sprawą obrony TVN. Można to odebrać tak: będziemy walczyć o „wolność" polskich mediów i wspierać opozycję, jeśli ta zadeklaruje, że przeciwstawi się „ograniczeniu" praw potomków ofiar Holokaustu. W istocie za tą obroną pamięci kryje się, Amerykanie i przedstawiciele wielu środowisk żydowskich mówią o tym otwarcie, dążenie do wymuszenia na Polsce haraczu i zapłacenia za tzw. mienie bezspadkowe.

Pod tym względem rząd amerykański robi dokładnie to, o co proszą go przywódcy z Izraela. Komentując zmiany w polskim Kodeksie administracyjnym, Ja'ir Lapid, szef MSZ Izraela, powiedział, że „nie ustąpimy ani o jotę w sprawie pamięci ofiar Holokaustu". Lapid, przypomnę, nie wycofał się ze swoich wcześniejszych, antypolskich wypowiedzi. „Potępiam polskie prawo, które próbuje zaprzeczyć współudziałowi Polski w Holokauście" – pisał trzy lata temu. „Holokaust narodził się w Niemczech, ale setki tysięcy Żydów zostało zamordowanych, nie spotykając nigdy niemieckiego żołnierza. Były polskie obozy śmierci i żadne prawo nigdy tego nie zmieni" – dowodził wtedy.

W ustach szefa dyplomacji Izraela „pamięć ofiar Holokaustu" to obrona interesów tych organizacji żydowskich, które chcą występować w roli spadkobiorców. Konflikt z Izraelem, zażegnany na trochę dzięki podpisanej przez premierów Mateusza Morawieckiego i Beniamina Netanjahu deklaracji, może się znowu rozpalić. Wspomniał o tym zresztą znowu Lapid, twierdząc, że rząd Izraela przyjrzy się podpisanemu w 2018 r. oświadczeniu. „Przyjrzy się" – może oznaczać jej wypowiedzenie. Wojna propagandowa rozpali się na nowo. Połączenie tych dwóch kwestii przez Amerykanów – roszczeń żydowskich i wolności mediów – jest dla Polski bardzo niebezpieczne. Rozbija do tej pory jednolity polski opór. Poza tym bardzo utrudnia polskim władzom obronę przed spodziewanym, propagandowym atakiem izraelskim poza Polską. Będzie się on odbywał nie tylko pod hasłem „obrony pamięci ofiar", lecz także, dzięki wsparciu USA, „w obronie wolnych mediów". Naprawdę, Waszyngton wyprowadził zręczny cios. ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
UCIECZKA W KONFLIKTY
PiS utracił strategiczną perspektywę

18 JAN POSPIESZALSKI
PIS TRACI SŁUCH

22 KAMILA BARANOWSKA
KRĘTE ŚCIEŻKI JAROSŁAWA GOWINA

KRAJ

24 ROZMOWA Z KAROLEM NAWROCKIM
REPARACJE POWINNY ZOSTAĆ WYPŁACONE
Nie możemy bać się pojęcia polityki historycznej

28 TOMASZ ROWIŃSKI
CORAZ BARDZIEJ TEKTUROWA SUWERENNOŚĆ

30 MACIEJ PIECZYŃSKI
DŁUGIE RĘCE MIŃSKA

32 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
ZAPOWIEDŹ OKRĄGŁEGO STOŁU

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NIETYPOWE MUZEA OBLĘŻONE PRZEZ TURYSTÓW

KULTURA

36 KRZYSZTOF DYBCIAK
ODMIENNE WOJNY 1920 R.
Wojna polsko-bolszewicka w literaturze pięknej i naukowej

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 MARCIN MASNY
TWARDO WOBEC BRUKSELI
Polexit odczarowany

48 ŁUKASZ WARZECHA
ZAKAZANE KLATKI

50 JAN FIEDORCZUK
TŁUSTE KOTY PREZESA

52 KAJA GODEK
W INTERESIE POLSKI

HISTORIA

54 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
PROWOKATOR – RZECZ O LESZKU TOBIASZU
Kulisy wielkiej prowokacji

60 JAN HLEBOWICZ
OD MORZA DO MORZA

ŚWIAT

62 PIOTR WŁOCZYK
PO CO KOMU POLICJA
W USA rośnie liczba najbardziej brutalnych przestępstw

64 ROZMOWA Z LOURDES MÉNDEZ MONASTERIO
ULEGŁOŚĆ PRAWICY ZNISZCZYŁA HISZPANIĘ

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
ZMIERZCH SŁONECZNEGO BOOMU?
Polacy bardzo chętnie inwestują w fotowoltaikę

O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z DR. PIOTREM LIGOCKIM
REKOMENDACJE PRZED CZWARTĄ FALĄ COVID-19

„DO RZECZY" NA WAKACJE

76 JACEK KOMUDA
OJCÓW U SKAŁY
10 najwspanialszych zamków Polski

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), GMYZ, GOCIEK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (66), GABRYEL, WARZECHA (72), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 10bcd3ca63

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adam Chełstowski/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 55,6 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie listy i e-maile. Przypominamy, aby korespondencję elektroniczną do redakcji kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Ratujmy szkolnictwo wyższe!

Mam za sobą 50-letnią pracę w uczelni renomowanej, z pierwszej piątki w rankingach oraz 20-letnią praktykę w PWSZ-cie, na kierunkach technicznych. I przez pryzmat uczelni technicznych zabieram głos. Dwie kadencje, z wyboru, byłem członkiem KBN-u i wielokroć zasiadałem w różnych komisjach i zespołach ministerialnych. Szereg funkcji pełniłem również w szkole. […]

Zacznę od konstatacji, że niestety tak zwany poziom ogólnej wiedzy i kultury obecnej profesury budzi (w wielu wypadkach) grozę. Kiedyś o jednym z takich mój nieżyjący przyjaciel powiedział: „Słuchaj, co się dziwisz, on w życiu, poza literaturą zawodową nie przeczytał nawet zadrukowanej rolki papieru toaletowego". Skąd się tacy wzięli? Ano, okres słusznie miony w uczelniach widział głównie „miernych, biernych, ale wiernych", zatem – towarzyszy. A w wielu kręgach społecznych, z których oni się wywodzili, bywanie w teatrze, w galeriach ect. nie było czymś naturalnym. […] Z zażenowaniem oglądam mieszkania niektórych kolegów bez jednej książki. Informacje o życiu i świecie dostarczają im TVN i Onet, a produkty SokuzBuraka stanowią przedmiot „zabawnych" e-maili, „kulturalnych" dyskusji towarzyskich. Nie uogólniam, pamiętam że, jeden z wybitniejszych polonistów, (prawie) mój rodak wyszedł w świat z wiejskiej chałupy z Komborni. I takich, przed wojną było wielu, ale równali w górę. Dziś (od 25 lat) młody człowiek słysząc od czołowego idola III RP: „róbta co chceta", równa do poziomu kolesi z pod budki z piwem.

[…] Uczelnie wyższe, szerzej nauka, zasługują na poważną dyskusję. Taka, wbrew pozorom, nie odbyła się w okresie przygotowywania „Konstytucji dla Nauki". Pozyskano przychylność rektorów, za ogromne kompetencje, wspaniale wykorzystane przez JM w warszawskiej „aferze szczepionkowej". I widać wyraźnie, jak „jednowładztwo" sprzyjać będzie kolesiostwu, generować konflikty. Za (iluzoryczne) głosy wyborcze dużymi przywilejami starano się pozyskać studentów, dopuszczając ich do decydowania w sprawach kluczowych w procesie kształcenia. Są w sytuacji pacjenta opracowującego dla siebie terapię. A przecież na tej zna się lekarz, nie pacjent. Jeśli mu nie odpowiada, to nie musi się jej poddawać. W przypadku uczelni wybór jest duży, a może na tej drodze udałoby się podnieść drastycznie spadający poziom kształcenia. A poziom kształcenia to dzisiaj problem najistotniejszy. Odpuśćmy iluzoryczne powszechne gonienie za poziomem naukowym czołowych uczelni świata, wróćmy na nasze podwórko i do tego, czemu uczelnie mają służyć przede wszystkim. Kształcenia i wychowania (codzienna kultura studenta to temat rzeka)! Świetni naukowcy (oni się rodzą, nie są kształtowani przez system „stworzony" przez „Konstytucję dla Nauki") znajdą sobie drogę do najważniejszych periodyków. Wróćmy do normalności. Zlikwidujmy „szkółki" mieniące się uniwersytetami. W liczbie uczelni na głowę absolwentów szkół średnich bijemy rekordy. Co to daje? Przywróćmy normalną drogę kariery naukowej. Awansujmy według autentycznych osiągnięć potwierdzonych jawnymi opiniami fachowców w danej dyscyplinie. Oczywiście i tutaj można krytykować, bo recenzja może być towarzyska. Nowe zasady wyłaniania recenzentów w postępowaniu o tytuł doprowadziły do parodii. W tzw. dyscyplinach niszowych recenzują osoby zajmujące się zupełnie innymi problemami niż kandydat. Myślę jednak, że powszechne publikowanie recenzji w Internecie będzie pewnym hamulcem do formułowania okrągłych komunałów. Jej autor będzie miał obawy przed kompromitacją. Punkty, które kandydat posiada (jeśli już muszą być), niech stanowią kryterium pomocnicze.

Ratujmy szkolnictwo wyższe. Śmiem twierdzić, że reforma pana ministra J. Gowina z czasem okaże się równie udana, co jego poprzednia reforma, obejmująca organizację sądów. Ratujmy szkolnictwo wyższe!

Maciej Mazurkiewicz,
em. prof. zw. AGH i PWSZ

„Tajemnicza przemiana Tomka", Krzysztof Masłoń, „DRz" 32/2021

Szanowna redakcjo, w numerze 32/437 „Do Rzeczy" jeden z moich ulubionych redaktorów Krzysztof Masłoń, wymieniając bohaterów cyklu książek o Tomku, pisze na str. 37 „z udziałem Jana Smugi", by już na str. 38 i 39 przemianować go na „Smudę". […] Nastąpiła „tajemnicza przemiana" (że nawiążę do tytułu artykułu) – Smuga stał się Smudą.

Pozdrawiam serdecznie
Czesława Scheffs

eprasa.pl 10bcd3ca63

NA PIERWSZY OGIEŃ

Prymas Hlond wobec komunizmu

PIOTR SEMKA

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Jaki był stosunek prymasa Hlonda do nowej władzy? Dziś z perspektywy czasu można zaryzykować tezę, że przywódca polskiego Kościoła wahał się między zdecydowanym odrzuceniem widocznych już tendencji komunizmu i ateizmu a pewną ostrożnością. W praktyce oznaczało to parę bardzo ostrych przemówień, a jednocześnie unikanie bezpośredniej konfrontacji z władzami.

Poglądy prymasa na nową władzę dobrze odbija przemówienie wygłoszone w październiku 1945 r. w Poznaniu w czasie uroczystości Chrystusa Króla: „Polski katolicki lud […] chętnie poręcza swój obywatelski udział w budowie życia państwowego, ale stoi na stanowisku, że polska rzeczywistość zbiorowa powinna pod względem moralnym odpowiadać tej rzeczywistości duchowej, którą nosi w sercu. Nie lękamy się ani nowoczesności, ani przemian społecznych, ani ludowej formy rządów, o ile uszanowane zostaną zasady niezmiennej moralności chrześcijańskiej".

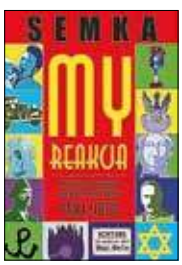

Ten postulat otwartości na przemiany społeczne przy żądaniu zachowania tradycjonalizmu obyczajowego był, jak się potem okazało, dosyć naiwny. Ekipa Bieruta już w 1945 r. wprowadziła nowe prawo znoszące ważność ślubów kościelnych jako aktu rejestracji małżeństwa i zmusiła Polaków do legalizowania małżeństw w urzędach stanu cywilnego.

Jeszcze ostrzej prymas Hlond wypowiadał się w liście episkopatu o panowanie ducha Bożego w Polsce: „Polska powinna być nowoczesna, sprawiedliwa, szczęśliwa, wzbogacona zdobyczami wiedzy i techniki, kulturalna i mądrze zorganizowana. Ale Polska nie może być bezbożna […]. Polska nie może zdradzić chrześcijańskiego ducha dziejów. Polska nie może być komunistyczna. Polska musi pozostać katolicka".

Pewne nadzieje episkopat wiązał z powrotem z emigracji Stronnictwa Pracy, które nawiązywało do idei chrześcijańskiej demokracji. Jej lider, Karol Popiel, okazał się jednak politykiem tyleż ambitnym – roił o byciu konkurencją dla Mikołajczyka – ileż słabym i naiwnym. […]

8 września 1946 r. doszło do największej demonstracji katolików w tym okresie. Tłumy szacowane od 700 tys. do miliona ludzi zgromadziły się na wałach Jasnej Góry, aby razem z Episkopatem Polski dokonać poświęcenia Narodu Polskiego Niepokalanemu Sercu Maryi. Bardzo znaczące były słowa ślubowania: „Niepokalana Dziewico, Boga Matko Przeczysta! […] daj polskiej ziemi przesiąkłej krwią i łzami spokojny i chwalebny byt w prawdzie, sprawiedliwości i wolności […]. Otocz płaszczem opieki papieża oraz Kościół święty. Bądź mu puklerzem w dni prześladowania".

Akt ten był na ówczesne czasy ogromnym zastrzykiem siły duchowej dla wiernych, którzy obserwowali coraz bardziej agresywną politykę ekipy Bieruta. Było to bardzo tradycyjne zachowanie. W momencie ogromnej niepewności Kościół w Polsce szukał siły u Matki Bożej. ©℗

FOT. MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

IMIGRANCI SZTURMUJĄ UE

Nasila się fala nielegalnych imigrantów szturmujących unijne granice z terenu Białorusi. Aby skutecznie walczyć z nowym zagrożeniem, rząd Łotwy ogłosił już do 11 listopada stan wyjątkowy w rejonach granicznych z Białorusią. Tymczasem na Litwie rząd wprowadził stan nadzwyczajny. Również Polska odnotowała w ostatnich tygodniach rekordową liczbę nielegalnych migrantów na granicy z Białorusią. Eksperci ostrzegają, że tak nagły napływ nielegalnych migrantów to forma wojny hybrydowej toczonej przez Łukaszenkę. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Gorzej niż zbydlęcenie

Skutkiem procedowania tzw. lex TVN (idę o zakład, że zamierzonym przez prezesa) było kolejne wzmożenie opozycji, porównywalne chyba tylko ze szczytowym momentem „ciamajdanu", kiedy pan Diduszko udawał przed kamerami poległego, a wzmożony dziennikarz szalał, że „użyli gazu, to już ich koniec".

Tym razem histeria rozpętana przez TVN i jego „autorytety" obróciła się głównie przeciwko Pawłowi Kukizowi, któremu oksfordczyk Sikorski przy życzliwym milczeniu Moniki Olejnik nawsadzał publicznie od „sprzedajnych szmat", oraz przeciwko zaatakowanemu fizycznie przez „obrońców wolności" posłowi Konfederacji, Dobromirowi Sośnierzowi.

Nie chce mi się już wyrażać oczywistego oburzenia postępującym zbydlęceniem i schamieniem opozycji, bo to jałowe – ale zwróćmy uwagę na głupotę tego postępowania. Szczucie na Kukiza i Konfederację – odnotujmy tu także popisy Giertycha, galę Fryderyków czy wypróbowane sojuszniczki PiS w kompromitowaniu opozycji ze Strajku Kobiet – nie służy przecież, delikatnie mówiąc, ich pozyskiwaniu dla obozu anty-PiS. Przeciwnie, jest to zmuszanie potencjalnych sojuszników do współpracy z Kaczyńskim. Jak można jednocześnie wzywać do wielkiej koalicji, która odsunie PiS od władzy i wymusi wcześniejsze wybory, i niezbędnych uczestników takiej koalicji wyzywać od szmat i szczuć, by ich „j…ć" i „bić po mordach"?

Z medycznego punktu widzenia można zrozumieć: antypisowcy po wyrzuceniu Gowina z rządu, a zwłaszcza po pierwszym, przegranym przez PiS głosowaniu w sprawie odroczenia obrad, napalili się na polityczną zmianę jak przysłowiowy szczerbaty na suchary, więc gdy posłowie Kukiza ogłosili pomyłkę i zażądali reasumpcji, Sikorskim i Giertychom, o prostych kołkach z „opozycji ulicznej" nie wspominając, hamulce puściły na całego. Ku niezmiernej radości tego, kogo tak strasznie nienawidzą i chcą odsunąć od władzy. Ale trzeba wybierać: albo się jest histerykiem, albo politykiem. Bo to, co zrobiła lewicowo-liberalna opozycja w ubiegłym tygodniu, to, parafrazując klasyka, gorzej niż zbydlęcenie – to błąd. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nadprzyrodzona wolność

Pandemia odsłoniła źródła poważnego kryzysu w Kościele" – opublikowany przez KAI artykuł abp. Stanisława Gądeckiego to więcej niż bilans sytuacji Kościoła po półtora roku pandemii. To jedno z najważniejszych wydarzeń religijnych ostatniego czasu.

Nie chodzi tylko o otwarcie sformułowany zarzut wobec władz, że „Kościół został potraktowany gorzej niż przedsiębiorstwa handlowe; jako dziedzina niekonieczna do życia", że „sprawy, w jakich księża – pod pretekstem zwalczania epidemii – są oskarżani, iż nie godzą się na ograniczenie wiernym dostępu do świątyni, są sprzeczne z konkordatem, Konstytucją i nie znajdują umocowania w ustawach". Najważniejsze w artykule jest jasne stwierdzenie, że naruszono „autonomię (suwerenność) Kościoła".

Ten dodatek w nawiasie jest najzupełniej kluczowy. Autonomia i suwerenność to nie synonimy, ale kategorie zasadniczo różne. Wzajemna autonomia Kościoła i Rzeczypospolitej (por. Konstytucja RP, art. 25/3) to bowiem autonomia dwóch współzależnych wspólnot suwerennych, ustanowionych przez Boga poprzez porządek naturalny (jak państwo) lub bezpośrednio, w sposób nadprzyrodzony – jak Kościół założony przez Chrystusa, gdy chodził po ziemi. Żadna z nich nie może uchylić władzy należnej drugiej, obie sobie nawzajem, we właściwym porządku, podlegają. Dlatego też najważniejsze akty Kościoła, wynikające bezpośrednio z jego misji, nie mogą zależeć od niczyjej władzy (choć są realizowane w ramach prawa – tam, gdzie prawo, w ramach sprawiedliwości, po prostu organizuje życie społeczne).

W głosie przewodniczącego polskiej Konferencji Episkopatu słychać echo wielkich protestów w obronie nadprzyrodzonej wolności i publicznych praw Kościoła: bł. Piusa IX, kard. Ledóchowskiego, kard. Wyszyńskiego. W tym porównaniu nie ma żadnej przesady, jedynie rozpoznanie historyczności naszego czasu. „Innego końca świata nie będzie" – pisał Miłosz. I najpewniej miał rację. ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

No i żegnamy wicepremiera Gowina, zwanego też Jarosławem Mniejszym, mimo przewagi wzrostu. Poza Zjednoczoną Prawicą będzie to już Jarosław Mikry – tak sądzimy. Gowin był jednak jednym z nielicznych ministrów, którzy uważali, że to dobrze, kiedy targa się go w rubryce takiej jak nasza. Dobrze czy źle, nieważne, byle nazwiska nie przekręcili.

Zwracamy uwagę, że spełniają się zapowiedzi wiewiórek, które już dwa miesiące temu ćwierkały, że Jarosław Większy, czyli szeregowy wicepremier Kaczyński, ma już dosyć. I daje zielone światło na wywalenie Gowina z rządu.

Kaczyński SWP musiał być ostatnio naprawdę bardzo wkurzony, bo to nieprawda, że wyrzucając Gowina, „miał już wszystko policzone". Otóż nie miał. Liczenie trwa. I łowy. Stąd w ubiegłym tygodniu dwugodzinna rozmowa Kaczyńskiego SWP z niesfornym posłem Zbigniewem Girzyńskim.

Łowy na nowych posłów odbywają się także w ławach opozycyjnych, i to nawet wśród takich ancymonków, którzy w przeszłości mówili straszne rzeczy o Kaczyńskim SWP. Prezes jest bowiem pragmatyczny – mówią wiewiórki. Czekamy na nazwiska, wtedy uwierzymy.

Skoro zatrudniają, to będą zwalniać. Blady strach padł więc na rozmaitych prezesów z nadania Jarosława Mniejszego Zwolnionego. Gowin od wielu miesięcy budował struktury swojej partii, hojnie rozdając swoim zwolennikom posady w różnych spółeczkach związanych z programem mieszkaniowym Zjednoczonej Prawicy. A zarobki takich prezesów to czasem po kilkadziesiąt tysiów. Część z nich teraz rozpaczliwie usiłuje się nawrócić na pisizm. Ponieważ program mieszkaniowy leży i kwiczy, nie jesteśmy przekonani, czy im się to uda

Zauważmy też, że czym dla Peezelu były Ochotnicze Straże Pożarne, tym dla Porozumienia są inni ochotnicy. A właściwie junacy. Chodzi oczywiście o Ochotnicze Hufce Pracy. Inna sprawa, że ten relikt komuny powinien nosić nazwę Ochotnicze Hufce Płacy. Daje wprawdzie i pracę, ale głównie sympatykom Jarosława Gowina.

Degowinizacja rządu wywołała ekstazę w paru miejscach. Przede wszystkim w Solidarnej Polsce, zwanej też SolPolem. Panuje tam przekonanie, że pozwalanie na hołubce Gowina bez kary było bardzo niewychowawcze. A teraz nadszedł czas sprawiedliwości. Z szybkich badań wychodzi, że ekstaza ogarnęła też twardy elektorat PiS. „Lex TVN" i wywalenie Gowina w jednym tygodniu? Tyle szczęścia za jednym zamachem? Lepsze byłoby tylko aresztowanie rudego!

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Apropos „lex TVN" – przypominamy, też zapowiadaliśmy, że w sierpniu przejdzie. Teraz inna ważna zapowiedź. Kolejna reforma Sądu Najwyższego będzie, i to szybko. PiS zamierza bowiem zrobić na serio Budapeszt w Warszawie.

Budapeszt w Warszawie będzie jednak taki nieoczywisty. Chodzi o powtórzenie metody wujka Orbána na walkę z Komisją Europejską. Nie podoba wam się ustawa? No to już zmieniamy. Ta też wam się nie podoba? Ojej, chwilka… Już zmieniamy. Dalej niedobra? No to wysyłamy następną. I tak w koło Macieju. A właściwie w koło Matyjaszu. Każdą wersję ustawy trzeba od początku procedować w Europie, a czas leci, cyk, cyk, cyk.

Wracając na chwilę do SolPolu, a dokładnie do jego przywódcy Zizou Ziobry. Śledczy dziennikarz Jadczak Szymon wtargnął był na podwórko ursynowskiego osiedla, gdzie mieszkają Ziobrowie, by tropić ich ukryty majątek. Zamiast o majątek pytał jednak sąsiadów o pieski. Ujawniamy. Pieski są dwa. Przygarnięte. Kundelki. W oświadczeniach majątkowych nie trzeba ich wykazywać. Obcych gryzą.

Jadczak odkrył ostatnio, że jest dziennikarzem wyklętym. Ośmielił się był bowiem napisać o tym, jak majątek na żonę przepisał Donald Tusk. I nagle okazało się, że wszyscy ludzie eleganccy, europejscy i postępowi hejtują Jadczaka na maksa. Cóż, kariera w bańce bezpieczeństwa TVN (tam kiedyś pracował Jadczak) nie przygotowuje do życia w realu. Jadczak na własnej skórze poznaje uroki doktryny. „Jeśli wyjdziesz z PO, to masz problem" – mówił Neumann do niesfornego działacza. A jeśli wyjdziesz z TVN – to masz problem jeszcze większy.

Ze świata sportu. Polskie kluby piłkarskie wykazały się dojrzałością i zagrały w kwalifikacjach do europejskich pucharów zgodnie z linią polskiej polityki zagranicznej. Jeden klub wygrał z Rosjanami, a drugi klub przegrał z klubem z Izraela. Mimo że w grę nie wchodził antysemityzm, gdyż klub jest arabski. Z linii wyłamał się klub trzeci, który odpadł z Chorwatami. Prezes tego klubu, niejaki Loczek vel Miodu vel Mioduski, finansował kiedyś KOD. Tak nam się przypomniało.

Dariusz Mioduski był zresztą chyba najbardziej uprzejmym sympatykiem KOD w Polsce. Pewnego dnia, widząc na stadionie przy Łazienkowskiej sędziego Mitera, nakrzyczał na niego: „Kto pana tu wpuścił?!". A przecież zwykle to zdanie w ustach zwolenników KOD brzmi: „Wyp……. pisowski ch…".

Skoro już o wartościach i elegancji: w „GazWybie" wojna domowa na całego. Przeciwko zarządowi Agory stanęły u boku Adama Michnika zapomniane nieco damy polskiego żurnalizmu: Helena Łuczywo i Wanda Rapaczyńska. Podobnie jak Adam uważają, że najważniejsze jest walenie w PiS. Czekamy na marsze w obronie „Wyborczej" organizowane na korytarzach „Wyborczej". ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O największym zagrożeniu dla ludzkości

Z lektury superpostępowego włoskiego dziennika „Domani" („Jutro") wynika, że nie są nim konflikt nuklearny ani zmiany klimatyczne, ale Giorgia Meloni, szefowa prawicowych Braci Włoskich („Fratelli d'Italia" – tak zaczyna się włoski hymn), której udało się przemienić kanapową, niewiele znaczącą partyjkę w ugrupowanie będące od dobrych kilku tygodni na czele sondaży.

Te rojenia są tyle warte, ile obawy, że jeśli jakimś cudem w Italii władzę przejmie lewica, to wprowadzi stalinizm

W przedstawieniu, które włoska lewica od lat wystawia na scenie politycznej, zmienia się tylko obsada. Rolę Belzebuba, nazifaszysty i wcielenia Najczarniejszych Sił Reakcji długo odgrywał Berlusconi, potem był nim szef Ligi Salvini, a teraz przyszła kolej na Meloni. Niewiasta niedawno opublikowała biografię „Jestem Giorgia. Moje korzenie i idee", która stała się przebojem wydawniczym. Postępowi księgarze na wystawach stawiali książkę z portretem Meloni na okładce do góry nogami. Dlaczego? Bo tak właśnie, za nogi, powieszono zwłoki Mussoliniego na Piazzale Loreto w Mediolanie.

W recenzji biografii w „Domani" czytamy, że Meloni reprezentuje najbardziej prawicową prawicę od czasów Mussoliniego. „Na sztandarach ma wypisany ślepy patriotyzm, a właściwie szowinizm, który ściągnął na ludzkość największe tragedie w XX w. Ekstremistyczni przywódcy pokroju Meloni w przeszłości wyrządzili niepowetowane szkody Italii, Europie i ludzkości. W obecnej sytuacji na świecie mogą wyrządzić takie samo zło. Nie wolno ich lekceważyć!".

Te rojenia są tyle warte, ile obawy, że jeśli jakimś cudem w Italii władzę przejmie lewica, to wprowadzi stalinizm. Czyli nic niewarte. Natomiast w pełni potwierdzają podejrzenia, że włoskie siły postępu nie potrafią obejść się bez śmiertelnego wroga, który od lat jest ważnym, jeśli nie najważniejszym czynnikiem jednoczącym i mobilizującym.

Niektórzy komentatorzy wskazują, że Włoski Człowiek Postępu stracił wątek. Przekonany o swojej wyższości moralnej, kulturowej, a nawet antropologicznej musi pogodzić się z tym, że już nie chcą na niego głosować. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Francuzi to co innego

Zacznijmy od uderzenia młotem pokory w rozgrzane głowy mądralińskich komentatorów, którzy w ubiegłym tygodniu gorączkowali się tzw. lex TVN. Gorączkowali się zagrożoną teraz dopiero ponoć wolnością słowa. Za młot niech posłuży Rafał Woś i jego twitterowy wpis: „Biorąc pod uwagę własne tylko doświadczenia w kilku znanych liberalnych redakcjach, pozwolę sobie na cierpką uwagę, że odmienianie przez decydentów tychże redakcji haseł »wolność słowa« lub »pluralizm medialny« jest co najmniej żenujące". Tenże Woś (potworny, lecz inteligentny lewak) był z kilku redakcji żegnany brutalnie, bo ośmielał się korzystać z wolności słowa i pisać różne różności z tego wynikające, będące efektem jego przemyśleń. Gdzie więc byliście wy wszyscy protestujący teraz, kiedy takiego Wosia pozbywano się za przekonania? Gdzie wy wszyscy walczący rzekomo o wolność słowa byliście, kiedy YouTube kasował prawakom kanały lub ograniczał zasięgi? Pewnie na zwolnieniach lekarskich...

Osobiście uważam, że TVN jest potrzebny i TVP jest potrzebna. Pogląd na rzeczywistość można sobie bowiem wyrobić dopiero po obejrzeniu „Faktów" i „Wiadomości". Co przemilczy jedna stacja, nagłośni druga, z czego druga zrobi widły, pierwsza zrobi igły, trzeba więc oglądać oba programy ciągiem i wtedy człowiek sobie polepi w głowie i jest w miarę poinformowany.

Wróćmy jednak do „lex TVN". Sprawa jest skomplikowana, bo procenty, udziały, akcje, kapitał, lotnisko, Amsterdam, dolary i USA. Poza tym nienawistna nowelizacja miałaby się opierać na prawie już działającym w krajach UE. Rzecz wymaga przejrzystego i syntetycznego wyjaśnienia. Z tej próby najlepiej wyszedł redaktor naczelny Onetu Bartosz Węglarczyk. Napisał on na TT: „Podane przez rzecznika rządu przykłady Austrii i Francji jako krajów, gdzie obowiązuje »lex TVN«, są mylące. Tak, Francja jako jedyny kraj UE nie pozwala firmom spoza UE inwestować w naziemną TV. W Austrii jest po prostu państwowy monopol naziemnej TV" i „Francuzi zawsze trzymali swoje media z dala od innych, bo uważają swoją kulturę za wyjątkową. Trzymali się też z dala od USA. Mogą, bo leżą w troszkę innym miejscu Europy niż my. My nie możemy tak działać. Odrywanie się od USA jest dramatycznym działaniem na szkodę Polski". Gdybyśmy my, Polacy, uważali naszą kulturę za wyjątkową, to byłoby inaczej, ale ponieważ my nigdy nie byliśmy i nie jesteśmy wyjątkowi, to nam takiego prawa, jak mają Francuzi i Francuzki i wyjątkowe Francuziątka, mieć nie wolno i już. Chyba to jest jasne, co nie? ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

INTYMNIE TYLKO NA INSTA

Aktorka i celebrytka Agnieszka Włodarczyk, która niedawno urodziła dziecko, narzeka na Instagramie, że od przeszło trzech tygodni nie była w żadnej restauracji. I – o zgrozo! – nie zanosi się, by w najbliższym czasie to się miało zmienić. Na razie bowiem wychodzi z dzieckiem tylko na spacery do lasu. – Zaczynamy powoli wychodzić do ludzi, chociaż póki co bardziej do lasu. Żadnej restauracji jeszcze nie odwiedziliśmy, bo pewnie wpadłabym w panikę, jakby zaczął głośno płakać, a on potrafi dać czadu. No i nie miałabym luzu z karmieniem w miejscu publicznym... Ja to jednak z tych, które wolałyby to robić bez spojrzeń przypadkowych osób – tłumaczy na Instagramie Włodarczyk. Złośliwe media plotkarskie okrasiły tę informację bardzo intymnym zdjęciem, na którym Agnieszka pozuje, karmiąc piersią dzidziusia. Sama zrobiła i sama wrzuciła tę fotkę. Bo – jak wiadomo – Instagram to najbardziej intymne z intymnych miejsc na świecie!

FOT. PAWEŁ GROMADA

MAJDANY RZEKŁY

Paweł Kukiz to ma ostatnio przerąbane. Nie dość, że za głosowanie razem z PiS w sprawie „lex TVN" psy wieszają na nim dawni koledzy z branży muzycznej, to teraz jeszcze to! Otóż Kukiza skrytykowali także w ostrych słowach państwo Majdanowie! Radosław Majdan zniesmaczony zapowiedział, że nie zamierza więcej słuchać płyt Kukiza. – Jestem strasznie rozczarowany Pawłem – powiedział portalowi Plotek. – Znam go i nigdy nie zrozumiem tego, co zrobił. Jest artystą albo właściwie już nie jest, i strasznie mnie to boli, bo wydawał mi się kiedyś fajnym facetem... – wyznał mąż swojej żony. Ta także nie kryła swojego oburzenia. – Pamiętasz, co kiedyś powiedział w manifeście? Nie będę używać wulgaryzmów, których on wtedy użył, ale stanął i powiedział, że możecie splunąć mi w twarz. Mam wrażenie, że ta lista chętnych zaczyna się zapełniać... – dodała z powagą Małgorzata. Obawiamy się, że po takiej krytyce Kukizowi nie zostało nic innego, jak tylko złożenie mandatu. Bo jak po czymś takim się podnieść?

PIASEK I DEMONSTRACJE

Sami eksperci od polityki w tym naszym show-biznesie! Na temat ustawy medialnej postanowił także zabrać głos Piasek we własnej osobie. – Mam pełną świadomość tego, że jesteśmy mega mocno podzieleni i że to nie jest tak, że jeżeli ja i ty myślimy w ten sposób, że chcielibyśmy bronić wolności tych mediów, to wszyscy tak myślą. Ktoś wybiera ten Sejm, ktoś wprowadza tych ludzi, którzy dzisiaj nie szanują naszych wolności osobistych – zaczął dość przytomnie. – Bo przecież kiedy dzisiaj mówimy o obronie TVN czy ogólnie o niezależności mediów, to nikt z nas nie mówi o tym, żeby wyłączyć telewizję Trwam czy Radio Maryja. Nie chcemy tego i tak nie powinno być. Powinniśmy mieć możliwość wyboru, bo tylko wtedy jesteśmy ludźmi wolnymi – stwierdził, nie pamiętając chyba, jakie cyrki przechodziła za poprzedniej władzy telewizja Trwam, ubiegając się o koncesję, która pozwalałaby jej dotrzeć do wszystkich ludzi. – Jeśli sprawy pójdą zbyt mocno, to ja sam będę brał udział w demonstracjach, jestem tak samo obywatelem jak muzykiem – zapowiedział na koniec Piasek. Ale jak to?! To do tej pory sprawy nie poszły jeszcze za daleko?! To te wszystkie KOD-y, strajki kobiet, demonstracje w obronie sądów to takie tam nie do końca na poważnie były? Dobrze wiedzieć w sumie.

NIE BYĆ RYŚKIEM Z KLANU

Aktor Piotr Cyrwus, którego wszyscy kojarzą głównie z roli Rysia Lubicza, męża Grażynki w serialu „Klan", nie kryje frustracji, że mimo grania w wielu innych produkcjach, a także w teatrze, łatka Ryśka nie chce się od niego odkleić. Dlatego podjął decyzję, by więcej już nie grywać w żadnych telenowelach. W wywiadzie dla „Gazety Wrocławskiej", który cytuje Pudelek, wyznał, że gra w serialu wiązała się także z dużym obciążeniem emocjonalnym. Dlaczego? – Przeżyłem straszny hejt, to cień bycia popularnym. Naśmiewanie się np. z roli Ryszarda, w której bałem się, że mnie zaszufladkują – przyznaje. Dodaje też, że wiele osób niesłusznie utożsamiało go z Ryśkiem. – Aktorstwo dla mnie polega na tym, żeby grać całym sobą, autentycznie, i dlatego wielu ludzi myślało, że ja jestem taki sam jak Ryszard z „Klanu". Też forma serialu codziennego sprawiła, że my, aktorzy, którzy w nim graliśmy, staliśmy się ich domownikami, i z czasem ludziom myliła się rzeczywistość z fikcją. To była jedna z wad popularności – dodał Rysiek. To znaczy Piotr. Rzeczywiście, ciężko się przestawić. ©℗

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EDYVN/EAST NEWS

eprasa.pl 10bcd3ca63

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż osoby francuskie we Francji są odpowiednio znakowane, iżby móc skorzystać z podróży pociągiem, tak myślimy, czy nie mogliśmy podobnych wzorców zaadaptować w tym kraju?

Na przykład zakładać odpowiednie opaski osobom, które chcą pójść do restauracji. I wówczas kolor opaski oznaczałby, iż mamy do czynienia albo z osobą niewegenormatywną, albo z osobą głosującą na prawicę, albo z katolikiem.

Wtedy moglibyśmy łatwo dowiedzieć się, kogo unikać. W ten sposób nie siadalibyśmy blisko takich osób i nie musielibyśmy wysłuchiwać ich wstecznickich rozmów, konsumując wegańskie foie gras.

Gorąco popieramy taką ideę, ułatwiłoby to postępowej części mieszkańców tego kraju życie i pozwoliło unikać nieprzyjemnych i zbędnych interakcji społecznych.

Iż trwają wakacje i mamy niestety ciepłą pogodę, postanowiliśmy sprawdzić, czym się tak jara podkarpacie chodzące w góry. Pojechaliśmy więc w Tatry, iżby empirycznie przekonać się, o co w tej turystyce górskiej chodzi.

Niestety, ale góry są przereklamowane, 1/10, nie polecamy. Przede wszystkim, iżby gdzieś dojść, należy iść stromo pod górę. Odkryliśmy, iż nie da się tego komfortowo robić w japonkoosobach, a w dodatku na trasie nie ma darmowego wi-fi, starbunia i nie można zamówić ubera.

Jak już weszliśmy na szczyt, to mocno wiało i zniszczyło nam grzywkę, a supervisor naszego teamu dodatkowo zemdlał, iż dostał ataku agorafobii (chodzi o lęk przestrzeni, of kors nie ma potrzeby, iżby bać się wyborczej).

A kiedy już myśleliśmy, iż zejście z góry będzie łatwiejsze, to okazało się, iż boli nas kręgosłup i wcale nie jest wygodnie. Podsumowując: pod górę źle, z góry źle, a po prostym nierówno i po kamieniach. Nigdy więcej.

Wiecie, poglądy itd. są oczywiście niezwykle ważne, ale musimy zadeklarować, iż jeśli rządowi chwilowo zabraknie głosów do uzyskania większości, a jednocześnie przypadkiem zwolni się jakieś miejsce w radzie nadzorczej spółki, to jesteśmy otwarci na negocjacje.

Co prawda, nikt z nas nie jest posłem/poślinią, ale nie takie problemy proceduralne chyba da się rozwiązać, no nie? xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Znam faceta

Paweł, co ci naczelnik obiecał?
Oj, nic tam takiego, Adam. Drobiazgi.

No, pochwal się.
Dwa ministerstwa: spraw zagranicznych i obrony.

Ale jak dwa? Dla twoich ludzi dwa, tak?
Nie, oba dla mnie. Jednocześnie będę ministrem jednego i drugiego.

Przecież ty się na tym nie znasz.
Nauczę się. No co w tym takiego niby trudnego? Strzelać umiem, coś tam po angielsku gadam...

Jeszcze coś?
Wicepremiera. Że będę kandydatem na prezydenta na kolejną kadencję, a po dwóch kadencjach zrobi mnie sekretarzem generalnym ONZ.

Ty mu wierzysz?
– Znam faceta. Szczery jest. Niektóre moje piosenki to na pamięć zna. No wiem, z tym sekretarzem generalnym ONZ to może trochę przesadził. Musiałbym się do Nowego Jorku przeprowadzić, a nie chce mi się. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Skorumpowana władza dziś idzie po jedną telewizję. Jutro pójdzie po kolejne. Potem zabierze Ci Internet".

RADOSŁAW SIKORSKI, *polityk PO, na Twitterze*

eprasa.pl 10bcd3ca63

TALIBOWIE PODBIJAJĄ AFGANISTAN

Kandahar padł. Kunduz padł. Herat padł. Padło również Ghazni, w którym przez ostatnie lata porządku pilnowali polscy żołnierze. Stolica kraju – Kabul – jest już zaś na granicy upadku.
W Afganistanie znów toczy się krwawa wojna domowa, tym razem wywołana fatalną decyzją prezydenta USA Joego Bidena o całkowitym wycofaniu zachodnich sił z tego kraju. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", talibowie kontrolowali już 12 spośród wszystkich 34 afgańskich prowincji. Ofensywa talibów, ośmielonych ignorancją władz w Waszyngtonie, postępuje tak szybko, że nie wiadomo, ile dni, tygodni lub – w optymistycznym scenariuszu – miesięcy może bronić się jeszcze stolica kraju. Mimo katastrofy humanitarnej w Afganistanie, do której doprowadziła fatalna polityka Waszyngtonu, prezydent Joe Biden podkreślił w ubiegły wtorek, że nie żałuje swojej decyzji o zakończeniu 20-letniej wojny w Afganistanie. Mimo to Amerykanie muszą jednak choćby na krótko przysłać dodatkowe kilka tysięcy żołnierzy, aby pomóc w ewakuacji personelu ambasady USA w Kabulu. Dodatkowe oddziały do ewakuacji swojej ambasady przesłać ma również do Afganistanu Wielka Brytania.

O bezpiecznej ewakuacji mogą tylko pomarzyć tysiące Afgańczyków, którzy po ostrzałem muszą opuszczać swoje domy, a także wielu współpracowników NATO-wskich wojsk, którym pod rządami talibów za współpracę z zachodnimi „okupantami" grozi rychła śmierć. Wielu z nich bezpiecznego schronienia szukać będzie w Europie. Przedstawiciel UE ds. zagranicznych Josep Borrell wezwał afgańskich talibów do powrotu do rozmów i zaniechania przemocy. ©℗ ***(jap)***

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 10bcd3ca63

eprasa.pl/10bcd3ca63

Ucieczka w

Rafał A. Ziemkiewicz

Widmo utraty władzy wydaje się chwilowo zażegnane – wypchnięty za burtę Gowin zabrał ze sobą tylko kilku posłów, uszczerbek w szeregach został uzupełniony, a kolejna rozpętana pod pozorem „repolonizacji mediów" polityczna wojna skutecznie wymusza ich zwarcie. Nie można już nie zauważać, że formację rządzącą trawi kryzys, znacznie głębszy niż problemy z krnąbrnymi koalicjantami czy mobilizacją większości przy ważnych głosowaniach

Wistocie stosowne są tu sławne słowa Kisiela: „To nie kryzys, to rezultat". Rezultat złudzenia, które pozwoliłem sobie nazwać „sanacyjnym" – złudzenia, że procedury, przepisy i normy przez nie narzucane to tylko „imposybilzm", że nie ma co tracić czasu na ich zmienianie, dobre dla kraju rozwiązania wprowadzać trzeba „na skróty", niejako „po wojskowemu", rozkazem i szturmem; naród, gdy zobaczy, że mu się poprawiło, doceni i wybaczy uchybienia.

W sanacyjnym złudzeniu kluczem do uzdrowienia państwa jest przegonienie skorumpowanych i niemoralnych elit i zastąpienie ich dobrymi patriotami, nawet niekoniecznie kompetentnymi, ale uczciwymi. Gwarancją uczciwości kadr jest zaś lojalność wobec Komendanta i pozyskanie jego osobistego zaufania. A gwarancją, że podejmowane działania są właściwe – osobiste doglądanie przez tegoż Komendanta biegu spraw i kontrolowanie, czy realizowane jest wspólne dobro.

To po prostu nie działa. Nie działało już w latach 30., gdy stopień komplikacji organizmu państwowego był nieskończenie mniejszy, a autorytet Piłsudskiego, acz kwestionowany bardziej, niż przyznają to jego do dziś czynni hagiografowie, nieporównywalnie większy niż autorytet Jarosława Kaczyńskiego. Próba uzdrowienia państwa „na skróty", z lekceważeniem ustaw i pomniejszych przepisów, nie przez naprawianie systemu, a przez ręczne sterowanie instytucjami, które dla dobra powszechnego powinny zachowywać niezależność, skończyła się wtedy jego pogłębiającą dezorganizacją, narastającym buntem, tłumionym coraz brutalniejszą przemocą, a w końcu, gdy naczelnika zabrakło, „dekompozycją". Gdyby nie męczeństwo zadane tamtej Polsce przez Hitlera i Stalina, wspominalibyśmy ją dziś z wypiekami wstydu.

POLITYKA INTELIGENCKA

Jednak złudzenie sanacyjne nie jest jedynym, które odcisnęło się na rządach Jarosława Kaczyńskiego.

Krótko po objęciu władzy przez Donalda Tuska w krakowskich „Arcanach" Jan Filip Staniłko zamieścił jeden z celniejszych tekstów politycznych w dziejach III RP, zatytułowany „Koniec polityki inteligenckiej". Konstatował w nim fiasko polityki, której wzorcami byli Tadeusz Mazowiecki czy Bronisław Geremek, ale którą uprawiali także naśladujący ich „reformatorzy" z postkomunistycznym rodowodem. Donald Tusk, stwierdzał autor, myśli już o polityce zupełnie inaczej, w kategoriach bardzo praktycznych, i tacy są też ludzie, na których rzecz odsunął dotychczasowe postsolidarnościowe elity rodem z Unii Demokratycznej.

Rzeczywistość pokazała jednak szybko, że tym, co przeciwstawił Tusk poprzednikom, nie były deklarowany technokratyczny pragmatyzm czy zdrowy rozsądek, lecz zwykłe cwaniactwo. Najlepszym jego symbolem stał się sam Tusk, który wszystkie sprawy podporządkował znalezieniu sobie tłustej synekury w Brukseli, płacąc za nią ustępstwami w polskiej polityce międzynarodowej i interesami gospodarczymi (kto pamięta jeszcze karakale czy „inwestora z Kataru"?). Podobnie jak szef kombinowali poddani, czego symbolem stały się ich rozmowy przy ośmiorniczkach, nagrane przez kelnerów. Rozczarowanie Polaków władzą, która pod pozorem zapowiedzianej troski o „ciepłą wodę w kranie" zajęła się wyłącznie urządzaniem siebie i swoich znajomych, sprawiło, że „polityka inteligencka" wróciła w innym, mniej europejskim, a bardziej patriotycznym wydaniu. Wróciła – bo innego modelu

eprasa.pl 10bcd3ca63

konflikty

FOT. ARTUR RESZKO/PAP

uprawiania polityki wciąż się w Polsce nie dopracowaliśmy.

To jeden z paradoksów rządów Kaczyńskiego. Znienawidzony przez postinteligenckie salony, ma z nimi w istocie więcej wspólnego, niż obie strony chciałyby przyznać. Przede wszystkim kieruje się takim samym jak Geremek czy Michnik przekonaniem, że zadaniem polityki jest realizowanie w życiu publicznym słuszności, a drogą do jej zrealizowania – cytując słowa Dmowskiego – „głośne deklarowanie, czego się chce, i równie głośne protestowanie przeciwko temu, czego się nie chce". Realizuje się zaś słuszne cele w ten sposób, że dobitnie i przekonująco się ich słuszność udowadnia. Aby np. zrealizować reformy, należy wykazać, że stan rzeczy panujący – dajmy na to – w wymiarze sprawiedliwości jest skandaliczny, nie do przyjęcia, i nakazać wybranym ludziom uzdrowienie danej dziedziny. Analogicznie obrona polskich interesów na arenie międzynarodowej wyczerpuje się na dowodzeniu, że roszczenia wysuwane wobec Polski są nieuzasadnione i nie mają podstaw w traktatach.

Inteligenckie spojrzenie na politykę jest, tak jak była nią sama formacja społeczna zwana inteligencją, polską specyfiką – szczególnie mocno odbija się ono na naszej polityce międzynarodowej. Można zapisywać całe księgi dowodami, że elity III RP nigdy nie zrozumiały, na czym ona polega, że tam, gdzie wszyscy bezwzględnie realizują swoje interesy, my próbujemy budować przyjaźnie i wspólnoty wartości. Na rządach PiS ta naiwność odbija się szczególnie negatywnie.

To jeden z paradoksów rządów Kaczyńskiego. Znienawidzony przez postinteligenckie salony, ma z nimi więcej wspólnego, niż obie strony chcą przyznać

Inteligencka proweniencja elit III RP narzuca rozumienie zarządzania jako działalności biurokratycznej, wedle zasad XIX-wiecznej kultury urzędniczej. Skutecznie nie pozwala to zrozumieć, że zarządzanie współczesnym państwem to co innego, że przypomina ono kierowanie wielką korporacją: poprzez tworzenie procedur i budowanie gremiów, które będą właściwie alokować „zasoby ludzkie". Właśnie ten brak menedżerskiego podejścia obezwładnił Kaczyńskiego i sprawił, że mimo ogromnej osobistej pracowitości i skupienia na zarządzaniu swymi kadrami stracił on ostatecznie panowanie nad sytuacją.

Sztuka zarządzania polega na tym, by właściwie podzielić pracę i rozliczać z efektów, stanowczo natomiast zabrania szefowi wtrącać się w pracę podwładnych „przez rękę". Popychanie podwładnego palcem, zmienianie jego decyzji, mieszanie się w szczegóły, normalne u zwierzchnika-urzędnika, jest największym błędem, jaki może popełnić menedżer. Skutkiem jest narastająca bierność, przyzwyczajenie wykonawców, że szef myśli za nich, że nie należy się wychylać z własną inicjatywą, bo potem i tak szef zmieni ich decyzje i zarządzi po swojemu – należy czekać, robić, co każe i głośno chwalić jego słuszne wskazania. Szef tymczasem nie może być wszędzie, jest coraz bardziej zaplątany w detale, traci więc z oczu sprawy zasadnicze, a tam, gdzie nie angażuje się osobiście, tam podwładni jedynie pozorują działania. Postępująca bierność podwładnych zaczyna z czasem doprowadzać go do wściekłości, ale zarazem umacnia w przekonaniu, że musi wszystko kontrolować jeszcze uważniej, bo jeśli tylko odwróci wzrok, to sprawy zamierają – w ten sposób pętla się zaciska.

Tak wyglądały przedwojenne rządy Piłsudskiego, tak wyglądają też rządy Kaczyńskiego. Jedyną odpowiedzią na problemy jest więcej kontroli i osobiste zaangażowanie Komendanta, ale to one właśnie są powodem problemów.

WZROK KOMENDANTA

U zarania rządów PiS pisałem, że pierwszym, zasadniczym zadaniem nowej władzy powinna być głęboka reforma centrum. Nie można rządzić skutecznie za pomocą struktury, którą w PRL tworzono jako fasadę – bo przecież nie rządziły wtedy ani parlament, ani rząd, tylko partia – a przy Okrągłym Stole celowo zakonserwowano w takim stanie, by państwo nie było zdolne przeciwstawić się patologiom „transformacji", wielkiemu szabrowi i budowaniu na gruzach „realnego socjalizmu" magnackich fortun.

Najlepszym symbolem tej fasadowości państwa jest sam rząd, złożony w tej chwili z ponad 20 ministrów i ponad setki

eprasa.pl 10bcd3ca63

wiceministrów. Na dodatek sparaliżowany przepisami, praktycznie odbierającymi ministrowi władzę nad własnym resortem, tak że nie mogąc liczyć na zasiedziałych w nim urzędników, rządzi de facto za pomocą pozakonstytucyjnych „gabinetów politycznych", a nie mając na nie budżetu, musi wynagradzać współpracowników synekurami dla nich i ich rodzin w „państwowych" spółkach i urzędach. Dystrybucja tych synekur staje się siłą rzeczy istotą codziennej polityki, tam, gdzie wzrok Komendanta nie sięga, kwitną partyjne i frakcyjne targi, służące budowaniu wpływów i nieformalnych sieci wzajemnych zobowiązań. Zamiast zarządzaniem życiem publicznym cała państwowa struktura zajmuje się czerpaniem z państwa zysków, łupieniem go, czy też, mówiąc językiem „Towarzysza Szmaciaka", „dojeniem".

Jeśli na szczycie tej struktury mamy absurdalnie rozrośnięty rząd (a rząd PiS pobił wcześniejsze rekordy) z tysiącami pracowników, to niżej może być tylko gorzej. Miejsc, których trzeba „dopilnować", jest znacznie więcej niż ludzi, których Komendant może uznać za zaufanych, musi więc polegać na tych, których mu zaufani polecą, a potem na tych, których polecą poleceni. W ten sposób państwo zaludnia się stopniowo bezproduktywnymi przyjaciółmi przyjaciół, którzy szybko uczą się znosić przewalające się nad ich głowami burze gniewu „Pierwszego", o tyle zresztą łatwo, że gniew rzadko trwa długo – od jednej katastrofy uwagę odwraca zaraz kolejna gdzie indziej – i rzadko dociera poniżej szczebla „baronów", tworzących bezpośredni dwór i zajętych bardziej rywalizacją między sobą niż pilnowaniem powierzonych im dziedzin.

Dawno już nazwano tę patologię „Polską resortową", opisano ją – i nic. Tusk machał na nią ręką, w rzadkich sytuacjach, gdy musiał się czymś wykazać, posługując się jeszcze bardziej demolującymi państwo „specustawami" i innymi „by-passami", a najczęściej po prostu picując, aby tylko dotrwać do brukselskiej przesiadki. Kaczyński próbował „Polskę resortową" uzdrowić, obejmując ją osobistym nadzorem, i skończyło się to tak, jak musiało skończyć: rozmnożeniem grupy, którą w dwudziestoleciu nazwano „czwartą brygadą" (w Legionach były tylko trzy). Zaludniła ona resorty, biura i urzędy i doprowadziła do perfekcji sztukę wygaszania wszelkich prób zrobienia czegokolwiek metodą Nikodema Dyzmy: „sprawa jest w załatwianiu". Nieważne, jaki genialny plan wymyśli Komendant ze swoimi doradcami, nieważne, jak go nazwie, i tak jego wola, która miała uzdrowiwć kraj, zostanie wytłumiona, rozmyta i wyhamowana w gąszczu biurek.

Nie mając sukcesów w codziennej, urzędniczej pracy, tym chętniej obóz rządzący szuka ich w politycznej wojnie, w której jak dotąd wygrywa

Patrząc na otoczenie Kaczyńskiego, można zobaczyć, jak stopniowo ubywa w nim ludzi w jakikolwiek sposób się wyróżniających, a dominować zaczynają bezbarwność, służalczość i nieskrywane lizusostwo. Doskonałym symbolem jest tu wymiana Jana Krzysztofa Ardanowskiego na Grzegorza Pudę, fachowca na dworaka, dokonana na okoliczność fanaberii „piątki dla zwierząt". Gdy podwładny Tuska publicznie zapewniał, że jest on „tknięty geniuszem", budziło to jeszcze jakieś reakcje. Obecnie akty strzeliste w stylu „naszym największym atutem jest przywództwo Jarosława Kaczyńskiego" są w życzliwych mu mediach na porządku dziennym, choć skądinąd wiadomo, że on sam wcale nie jest łasy na pochwały.

„PiS-owskie" media to zresztą najlepszy, modelowy symbol klęski sanacyjno-inteligenckiego modelu rządzenia. Rzecz nie w tym, że – jak do zachrypnięcia krzyczy opozycja – PiS wykorzystał media państwowe i pieniądze spółek Skarbu Państwa do robienia propagandy, bo to robili wszyscy przed nim i jeśli nie dokona się w Polsce zasadnicza ustrojowa rewolucja, to robić będą także następcy. Problem w tym, że ta propaganda jest przeciwskuteczna, bo jej celem nie jest tak naprawdę wywarcie wpływu na indoktrynowane masy, ale przekonanie Jarosława Kaczyńskiego, że ludzie rzuceni na odcinek mediów zasługują na pochwałę. W efekcie propaganda PiS zajmuje się głównie utwierdzaniem Komendanta w poczuciu, że słuszność jest po jego stronie, a w społeczeństwie dominują narracje wytwarzane przez media lewicowo-liberalne.

ROKOSZ „TOTALNEJ OPOZYCJI"

Wszystkie popełnione przez ostatnich sześć lat błędy znajdują jedno usprawiedliwienie: nieustający rokosz „totalnej opozycji". To fakt, że PiS nie miał ani tygodnia spokoju, że ma przeciwko sobie sektę wytwarzającą nieustanną rewolucyjną histerię. To w znacznym stopniu wytworzyło w obozie władzy przyzwolenie na nieustającą doraźność, skupienie się na bieżącej przepychance. Nie mając sukcesów w codziennej, urzędniczej pracy, tym chętniej szuka ich obóz rządzący w politycznej wojnie, w której jak dotąd wygrywa – gdy już nie ma zupełnie się czym pochwalić, zawsze można ponatrząsać się z nieudolności i umysłowych ograniczeń opozycji, choćby przypominając jej nieustające proroctwa, że „to już koniec PiS" i „na wiosnę wyjdą na ulice miliony".

Rzecz w tym, że PiS się od tego uzależnił. Wielu komentatorów politycznych głowi się, jaki sens ma wywoływanie kolejnych konfliktów w sytuacji, gdy te już otwarte wydają się nie do wygrania. Otóż wydaje się, że wobec grzęźnięcia zapowiadanych zmian konflikty te same w sobie stały się sensem – sabotaż „totalnej opozycji", sędziowski rokosz, „kampania nienawiści opozycyjnych mediów" zarazem odwracają uwagę od niedostatków codziennego administrowania krajem i bezradności wobec kryzysów, z epidemią na czele, i pozwalają je usprawiedliwić. Jeśli na awanturę o „lex TVN" spojrzymy w ten sposób, to okaże się, że ma ona sens, aczkolwiek zupełnie inny, niż się wszystkim wydaje.

Niestety płynne rozciągnięcie tej zasady wiecznej wojny na politykę zagraniczną, w optyce zarówno Jarosława Kaczyńskiego, jak i opozycji postrzeganą jako narzędzie polityki wewnętrznej czy wręcz nawet propagandy, rodzi skutki, nad którymi trudno zapanować sprawdzonymi dotąd metodami – ucieczką do przodu, taką jak ta, której próbuje teraz Jarosław Kaczyński w konflikcie z TSUE o reformę sądownictwa.

Czym się różni dzisiejszy PiS i dzisiejszy Kaczyński od tych sprzed sześciu lat? Poza personalnym wyjałowieniem najbardziej rzuca się w oczy utrata strategicznej perspektywy. Celem rządzenia wydaje się wygranie z opozycją bieżącego konfliktu po to, by zająć lepsze pozycje w kolejnym konflikcie. Jest to zresztą gra, która doskonale pasuje też lewicowo-liberalnej opozycji, przekonanej, że w razie wygranej skupi się na zemście i „dorzynaniu watahy", a rządzeniem Polską zajmie się Europa. Miesiąc obcowania z wracającym Tuskiem nie pozostawia wątpliwości, że nic się tu nie zmieni, przeciwnie, będzie tylko „bardziej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

DNI OTWARTE

16-18 oraz 23-30 sierpnia 2021

GOTOWE DO UŻYTKOWANIA
APARTAMENTY 3-POKOJOWE Z OGRÓDKAMI
WYKOŃCZONE „POD KLUCZ”

Grupa Inwest

Osiedle
Słoneczne Dębki

BEATA BOBKIEWICZ 511 738 734

WWW.SLONECZNEDEBKI.PL

eprasa.pl 10bcd3ca63

PiS traci słuch

Jan Pospieszalski

Jedną z najczęściej podnoszonych kwestii, jakie słyszę od znajomych czy od ludzi na spotkaniach różnych grup wolnościowych, jest pytanie: Co się stało z Prawem i Sprawiedliwością? Sam zadaję sobie to pytanie

Nie mogę uwierzyć, że formacja, która całą serię zwycięstw zawdzięcza przede wszystkim społecznemu słuchowi i celnej diagnozie sytuacji, dokonała takiego zwrotu. Żeby pokazać skalę problemu, przywołam tylko trzy doniesienia z ostatnich dni. Zapowiedź wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego w wywiadzie dla PAP wprowadzenia restrykcji wobec niezaszczepionych, niewpuszczenie państwa Elbanowskich (Stowarzyszenie Rzecznik Rodziców) na konferencję premiera Morawieckiego promującą Polski Ład dla rodzin i wniosek o rejestrację nowej partii politycznej Agro Unia.

Prezes PiS, w wywiadzie dla PAP, zapowiadając obostrzenia, którym podlegać będą niezaszczepieni Polacy, zaznaczył, iż ma świadomość, że narazi się tym „jakiejś grupie wyborców". Według wicepremiera „bardziej rygorystyczne kroki" są motywowane odpowiedzialnością rządzących za zabezpieczenie społeczeństwa „przed zarazą". „Granicą wolności są prawa innych ludzi" – stwierdził prezes PiS, tłumacząc, że „nie wolno innych narażać na pozbawienie zdrowia czy życia". Zaznaczył przy tym, że kierując się dobrem wszystkich, „nie można ulegać tym, którzy mają kłopot z analizą sytuacji". Nie będę polemizował z każdym stwierdzeniem wicepremiera, choć pewnie należałoby to zrobić, ale zwrócę uwagę tylko na dwie kwestie.

JAKAŚ GRUPA WYBORCÓW

Po pierwsze – wspomniana „jakaś grupa wyborców" to ponad połowa dorosłych Polaków. Obserwując rozkład regionów kraju, których mieszkańcy najliczniej wykazują sceptycyzm i ostrożność wobec szczepień, widać, że są to okręgi, gdzie zawsze triumfowała obecnie rządząca formacja. W sytuacji, gdy wirus towarzyszy nam od półtora roku, ocena zagrożenia nie bierze się wyłącznie z doniesień mediów i telewizyjnych występów rządowych ekspertów, lecz przede wszystkim z doświadczenia i obserwacji najbliższego otoczenia. Konserwatywna, katolicka czy – jak chcą inni – wiejska społeczność Podlasia, Lubelszczyzny, Podkarpacia czy Małopolski zweryfikowała szybciej realne zagrożenie i śmiertelność zarazy. Nie wiem, czy większą rolę odegrała tu zdroworozsądkowa postawa, wzmacniana przez silniejsze więzi rodzinno-sąsiedzkie, czy zdrowszy model życia, odżywiania się, skutkujący pewnie lepszą odpornością, ważne jest, że ani pohukiwania ministra Niedzielskiego, ani pokusa wygrania elektrycznej hulajnogi czy nawet sanitarne utrudnienia w locie na Teneryfę nie przekonały mieszkańców tych stron.

Sanitarne wykluczenie zapowiadane wobec niezaszczepionych mocno dotknie właśnie ten twardy elektorat PiS. Czy kij, który ma się teraz pojawić zamiast marchewki, zmieni nastawienia? Owszem, może zmienić. Utrwalone doświadczeniem i obserwacją przekonanie, że szczepienia są niedobre i niepotrzebne, zmieni się na przekonanie, że władza, która represjami zmusza do tych zastrzyków, jest niedobra i niepotrzebna. Wie o tym Jarosław Kaczyński, usiłując podzielić się odpowiedzialnością z prezesem Kosiniakiem-Kamyszem i próbując wciągnąć w sojusz sanitarystów, liderów innych sejmowych ugrupowań.

Pomysł, że poparcie mieszkańców wsi odzyska się, robiąc tuż przed wyborami „gospodarski objazd", obiecując strażakom i kołom gospodyń jeszcze bardziej błyszczący deszcz złota, jest równie trafny jak nominacja posła Pudy na ministra rolnictwa. Próbując zrozumieć, skąd się bierze taka postawa, rozpoznaję etos wychowanego na Prusie i Konopnickiej żoliborskiego inteligenta, który patrzy na wieś z mieszaniną wyższości i troski,

eprasa.pl 10bcd3ca63

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

bo „w czworakach mrą". W tym etosie powinnością i misją polityka jest to, by zaopiekować się biednym chłopstwem, wychować, edukować i wydźwignąć z biedy i zacofania. To poczucie „ojcowskiej troski" o wieś przybiera nieraz kuriozalne formy, gdy rządząca większość czuje się odpowiedzialna nie tylko za dopłaty do paliwa rolniczego, lecz także za długość psiego łańcucha.

Kryzys wywołany „piątką dla zwierząt" kierownictwa partii z Nowogrodzkiej niczego nie nauczył. Natomiast dla członków formacji stał się wyraźnym sygnałem, że kultura dialogu i wzajemnego szacunku (pojęcia w polityce bardzo ważne) prezesowi stały się obce. I nie chodzi tu tylko o pozbycie się grupy posłów wraz z najlepszym ministrem rolnictwa, jakiego mieliśmy, Janem Krzysztofem Ardanowskim. Scena z holu Parlamentu Europejskiego, gdy konserwatywni myśliciele, intelektualny kwiat partii, profesorowie Legutko i Krasnodębski promują lewacką z ducha, fatalną ustawę „piątka dla zwierząt", na długo zostanie mi w pamięci.

Nie wiem, czy brutalne „przeciągnięcie pod kilem" znanych profesorów miało być tylko sygnałem dla partyjnych dołów, czy za tym stało pragmatyczne przekonanie samych zainteresowanych, że za wszelką cenę należy zatrzymać odpływające w lewo młode pokolenie, niemniej ten zwrot w lewo przestał być tylko propagandowym zabiegiem. Odnoszę wrażenie, że proces wypłukiwania patriotycznego konserwatyzmu z PiS gwałtownie przyspieszył. Zamiast swojskich postaci – Beaty Szydło, Jana Krzysztofa Ardanowskiego czy śp. prof. Jana Szyszki – do głosu doszli „Europejczycy-technokraci": Piotr Müller, Łukasz Schreiber, Radosław Fogiel.

KTO MA KŁOPOT Z ANALIZĄ SYTUACJI?

Zamknięte w partyjnych gabinetach i rządowych limuzynach kierownictwo obozu utraciło słuch nie tylko na to, co mówią działacze z terenu. Tu wracam do drugiej ważnej wypowiedzi prezesa Kaczyńskiego dla PAP. Chodzi o „kłopot z analizą sytuacji". Jarosław Kaczyński wie pewnie dużo więcej niż przeciętny Polak. Ale przecież sytuację wywołaną wirusem z Wuhan większość z nas pracowicie analizuje od wielu miesięcy. I nie tylko na podstawie konferencji prasowych Ministerstwa Zdrowia, choć ostatnio i w oficjalnych wypowiedziach usłyszeć można nowy ton. Minister Adam Niedzielski kilka dni temu w wywiadzie dla „Wprost", rozważając kwestię trzeciej dawki, stwierdził, że należy tę sprawę zbadać, czy jest ona „w interesie pacjenta czy w interesie koncernów farmaceutycznych". A więc to, co wielu Polaków czuje i widzi od dawna, że cała histeria związana z pandemią może mieć również drugi, podskórny – cyniczny i komercyjny wymiar, teraz zaświadcza nawet minister zdrowia?

W takim razie może to prezes ma kłopot z analizą sytuacji. Czy w swojej analizie prezes uwzględnia to, co potwierdzają badania naukowe, a ostatnio też obserwacje z tych krajów, gdzie wzrasta liczba zakażeń, że szczepienia nie chronią przed transmisją wirusa, że lepsza jest trwalsza, bardziej kompletna odporność pochodząca z przechorowania i kontaktu. Dlaczego zatem zmuszać lub represjonować tych, u których organizm prawdopodobnie wytworzył wystarczającą odpowiedź immunologiczną? Ponadto czy grono ekspertów z medycznej rady, z których większość w przeszłości miała komercyjne relacje z wielkimi koncernami farmaceutycznymi, pomaga rządowi prawidłowo i rzetelnie analizować sytuację epidemiologiczną w Polsce? Czy można ufać tym ludziom, skoro ciąży na nich odpowiedzialność za fatalne decyzje ograniczenia dostępu do placówek ochrony zdrowia, co zaowocowało

eprasa.pl 10bcd3ca63

śmiertelnym bilansem nadmiarowych zgonów pacjentów niecovidowych?

NIE TYLKO SZCZEPIENIA

Gdy wielu doświadczonych lekarzy w Polsce i na świecie, stosując znane metody walki z wirusami, skutecznie leczy zakażonych, dlaczego rozesłany w październiku 2020 r. do przychodni oficjalny schemat (nie)leczenia COVID-19, niemal zabraniał podawania witamin D3, C i cynku, nie zalecał podawania leków, oprócz stosowanych na zbicie gorączki? Czy ów oficjalny schemat (autoryzowany przez Radę Medyczną) miał na celu (cytuję słowa prezesa z wywiadu) „dobro ludzi"? Gdy wbrew temu profesorowie Rejdak, Pakulski, dr Bodnar i inni lekarze zgłaszali pozytywne obserwacje stosowania amantadyny w leczeniu pacjentów zakażonych wirusem SARS-CoV-2, to czy liczne wypowiedzi ekspertów Rady Medycznej, ostrzegające przed stosowaniem amantadyny, i decyzja ograniczenia dostępności amantadyny tylko dla pacjentów neurologicznych, nie były „narażeniem na pozbawienie zdrowia czy życia"?

Dziś w wielu miejscach na świecie lekarze udowadniają, że znane leki (m.in. iwermektyna, hydroksychlorochina, amantadyna) skutecznie leczą COVID, jednocześnie jest coraz więcej naukowych prac pokazujących wpływ masowych, populacyjnych szczepień na mnożenie się wariantów szczepów SARS-CoV-2. Potwierdzają to obserwacje, gdzie w krajach o znaczniejszym niż Polska procentowym zaszczepieniu ludności liczba hospitalizacji i zgonów wzrasta, a nie maleje. Skoro prezes mówi, że „państwo ma obowiązek uczynić wszystko, żeby doprowadzić do najwyższego stopnia zabezpieczenia przed zarazą", to czy rząd zbada również dane z departamentu zdrowia publicznego Anglii, które pokazują, że 65 proc. hospitalizacji i zgonów związanych z COVID-19 należy do osób zaszczepionych? Czy powyższe informacje wicepremier i rząd będą poważnie analizować?

NOWY ŁAD – STARE STANDARDY „SPOŁECZNYCH KONSULTACJI"

Obrazem utraty społecznego wyczucia jest promocja programu Polski Ład, polegająca na ustawionych konferencjach z dostępem tylko dla wyselekcjonowanych. Społeczna izolacja władzy widoczna była we wtorek 10 sierpnia, gdy wcześniej zaproszeni państwo Elbanowscy, rodzice 10 dzieci, w ostatniej chwili zostali poinformowani, że na spotkaniu rodzin z premierem Morawieckim i minister Maląg niestety nie będzie dla nich miejsca. Elbanowscy postanowili jednak przyjść, gdyż o tym spotkaniu z premierem informowali wcześniej na swoim profilu, zachęcając znaczącą społeczność rodziców do nadsyłania listów do premiera.

Zamiast spełnienia obietnic Zjednoczona Prawica wprowadza ideologiczne projekty typu „zielony ład", które na wsi powodują jeszcze większe rozdrażnienie

Prawdopodobnie w ostatniej chwili ktoś z organizatorów spostrzegł, że twórcy inicjatywy Ratuj Maluchy, którzy w wyborach prezydenckich wsparli Andrzeja Dudę, potem kilkakrotnie uczestniczyli w różnych ciałach konsultacyjnych w MEN i w Ministerstwie Rodziny, dziś mocno angażują się w zbieranie podpisów przeciw segregacji sanitarnej w szkołach i protestują przeciw zapowiedziom przywrócenia zdalnego nauczania. Na profilu Rzecznik Rodziców jest relacja wideo ukazująca scenę, jak Karolina Elbanowska z niemowlęciem na ręku powstrzymywana jest przez funkcjonariuszy i funkcjonariuszkę SOP. Łącznie wobec kobiety z dzieckiem interweniowało aż sześcioro pracowników ochrony, a przechodzący w tle politycy i urzędnicy przez dłuższą chwilę, mimo wezwań Elbanowskiej, nie reagowali. W końcu pojawił się jeden smutny pan, teczkę z listami odebrał, ale do środka nie wpuścił.

NA TROPIE RUSKICH AGENTÓW

Centrowa partia, jaką było PC, zmieniając się w PiS, potrafiła sięgnąć po katolicki i wiejski elektorat. Przebicie szklanego sufitu w wyborach w 2015 r. możliwe było m.in. dzięki poparciu wsi. Współtwórcą sukcesu był Andrzej Duda, którego świetna kampania przy mocnym zaangażowaniu Jana Krzysztofa Ardanowskiego zaowocowała 81-procentowym wynikiem w elektoracie wiejskim. Program wyborczy PiS nie koncentrował się na ochotniczej straży i kołach gospodyń. „Łoj-dy-rydy" owszem, było dodatkiem, ale istotą była odważna wizja oddania rolnikom ich pieniędzy przez stworzenie realnej konkurencji dla karteli zagranicznych pośredników i przetwórców, którzy dotąd hulali bezkarnie na polskim rynku rolnym. Zachodnie grupy kapitałowe zmonopolizowały bowiem skup, pośrednictwo i przetwórstwo, narzucając ogromne marże, a rodzimi wytwórcy – hodowcy i plantatorzy – muszą zadowolić się niewielkim zarobkiem. PiS szedł do wyborów, obiecując rolnikom zmianę. Nawet w rygorach narzuconych przez unijne przepisy jest to wykonalne.

Żeby uniezależnić się od podmiotów zagranicznych i stabilizować rynek, były zaawansowane projekty utworzenia narodowego holdingu spożywczego. Wsparciem dla rolników miała być krajowa grupa spożywcza oparta na spółce Polski Cukier. Obiecano odzyskanie rynku pasz dziś zdominowanego przez import modyfikowanej soi z USA. Aby wyeliminować zagranicznych pośredników, planowano stworzyć polski port zbożowy. Przy wsparciu państwa były zamiary utworzenia systemu chłodni, magazynów i przetwórni owoców miękkich. Bo w tym segmencie produkcji owoców Polska jest potęgą w skali światowej. A więc rolnictwo to nie tylko koła gospodyń i strażacy. PiS nie dostrzega, że na wsi dokonała się rewolucja godności i teraz potrzebna jest silna baza ekonomiczna, by krajowych producentów wesprzeć, a rynek ustabilizować.

Niestety, większość tych obietnic została zarzucona. Zamiast spełnienia obietnic Zjednoczona Prawica wprowadza ideologiczne projekty typu „zielony ład", które na wsi powodują jeszcze większe rozdrażnienie. Wielkim rozczarowaniem okazał się też komisarz Janusz Wojciechowski. Dziś, jak twierdzi Jan Krzysztof Ardanowski, większość posłów PiS boi się pojechać na wieś. Rozgoryczenie narasta i nic dziwnego, że na tej fali w przestrzeń opuszczoną przez PiS wchodzi kiedyś marginalna Agro Unia. 11 sierpnia do sądu wpłynął wniosek o rejestrację partii. Lider – polityk prawdopodobnie niesamodzielny, nie wiadomo przez kogo prowadzony. Czy zatem prezes Kaczyński, tropiąc wśród niechętnych szczepieniom ruskich agentów, sam nie wyhodował pod bokiem realnego agenturalnego zagrożenia?

Nie tylko to trapi PiS. Jestem litościwy – nie poruszyłem kilku innych poważnych kwestii: nepotyzmu, korumpowania Kościoła czy walk frakcyjnych, ale wyżej przywołane przykłady wystarczająco pokazują, że Prawo i Sprawiedliwość traci już nie tylko społeczny słuch, lecz także instynkt samozachowawczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

Rockshell Mark III Chrono

ROAMER

OF SWITZERLAND

7 YEAR WARRANTY

eprasa.pl 10bcd3ca63

Kręte ścieżki Jarosława Gowina

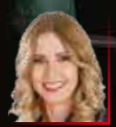

Kamila Baranowska

Szef Porozumienia to chyba jedyny polityczny lider, który może swobodnie przejść z koalicji rządzącej prosto w szeregi opozycji. I nikogo nie będzie to dziwić

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

Mentalnie Jarosław Gowin już dawno był poza Zjednoczoną Prawicą i poza obozem rządzącym. Czekał jedynie na najlepszy moment, by jak najpełniej politycznie skonsumować swoje odejście. Liczył na to, że Jarosław Kaczyński, nie mając stabilnej większości, sam się go nie pozbędzie. Przeliczył się. We wtorek po południu Komitet Polityczny PiS przesądził o jego usunięciu z koalicji. Chwilę później premier Mateusz Morawiecki wystąpił do prezydenta z formalnym wnioskiem o dymisję Jarosława Gowina z funkcji wicepremiera oraz ministra rozwoju, pracy i technologii.

Następnego dnia, podczas posiedzenia Sejmu, Gowin wraz ze swoimi najbliższymi współpracownikami głosował już razem z opozycją przeciwko PiS, w tym także przeciwko „lex TVN". Sprawa nowelizacji ustawy medialnej i zapowiedzi gowinowców, że zagłosują przeciw, była zresztą jednym z czynników, które przyspieszyły decyzję Kaczyńskiego o pozbyciu się Gowina z koalicji. Drugim, ważniejszym argumentem było zachowanie koalicjanta względem najważniejszego obecnie dla PiS i premiera Morawieckiego projektu, czyli Polskiego Ładu. Gowin niespełna miesiąc po tym, jak w świetle kamer podpisał dokument, wcześniej tygodniami negocjując z PiS jego poszczególne zapisy, zaczął go publicznie kwestionować, twierdząc, że uderza w przedsiębiorców, samorządy i klasę średnią. W pewnym momencie pojawiła się wątpliwość, czy Porozumienie w ogóle za Polskim Ładem zagłosuje.

ODEJŚCIA I POWROTY

Są jednak w PiS politycy, którzy uważają, że los Gowina był już przesądzony w kwietniu ubiegłego roku, czyli wówczas, gdy szef Porozumienia ostro postawił się Jarosławowi Kaczyńskiemu i zablokował forsowane przez niego wybory kopertowe. Prezes PiS był przekonany, że przez tę niesubordynację i przesunięcie terminu wyborów Andrzej Duda może przegrać.

Ostatecznie Duda wygrał, ale Gowin musiał odejść z rządu. – Bardzo to przeżył, proszę pamiętać, że to człowiek, który przez większość swojej politycznej kariery był w kolejnych rządach. Dla niego to było odstawienie na boczny tor i mały szok poznawczy – opowiada nam jeden z polityków PiS. Szok trwał pół roku, bo po tym czasie Gowin powrócił do rządu, zostając wicepremierem i ministrem rozwoju, pracy i technologii. – Nie stało się to ot, tak. Było mnóstwo rozmów z Kaczyńskim, godzenia go z Gowinem i przekonywania, że warto dla dobra koalicji przywrócić go do rządu. W końcu prezes dał się przekonać, spotkali się, wyjaśnili i wydawało się, że wszystko wróciło do normy – dodaje nasz rozmówca.

Nie wróciło. Zwłaszcza że politycy PiS zaczęli zarzucać Gowinowi, że od czasu wyborów kopertowych ten prowadzi z opozycją własną grę i rozmowy o ewentualnym przejściu na drugą stronę. – Zawsze tłumaczył nam, że to dlatego, by mieć lepszą pozycję przetargową w negocjacjach z Kaczyńskim. Nie wszyscy mu uwierzyli, część uznała, że po prostu gra na dwa fronty i szykuje

eprasa.pl 10bcd3ca63

sobie lądowanie po drugiej stronie – opowiadał nam jakiś czas temu jeden z polityków Porozumienia.

Także Gowinowi coraz duszniej było w koalicji, zwłaszcza że zaczął zdawać sobie sprawę, że po wszystkim, co zaszło, nie ma co liczyć na miejsce na liście wyborczej PiS. Do tego przewidziana w Polskim Ładzie kwestia podwyżki podatków dla części przedsiębiorców rzeczywiście bardzo mu politycznie nie leżała. Porozumienie celuje w elektorat gospodarczo-liberalny i w przedsiębiorców przede wszystkim, więc Gowin miał poczucie, że znalazł się w potrzasku – z jednej strony chciał być u władzy, a z drugiej bał się stracić i tak nikły elektorat. Zrobił więc jak zwykle, po gowinowemu – podpisał się pod Polskim Ładem, by za chwilę zacząć się od niego odcinać.

CZŁOWIEK WIELU SOJUSZY

– Nie mam czasu, by raz na tydzień tłumaczyć swojego ministra – to słowa premiera Donalda Tuska z 2013 r., gdy dymisjonował Jarosława Gowina z funkcji ministra sprawiedliwości w swoim rządzie. Dziś dokładnie to samo mógłby powiedzieć premier Mateusz Morawiecki.

Wówczas też Gowin zaczął grać na siebie i na podziały frakcyjne wewnątrz Platformy. Gowin był twarzą konserwatystów i gdy w pewnym momencie uznał, że nie widzi już dla siebie miejsca w partii, zaczął kontestować jej linię oraz przywództwo Tuska. Już po wyrzuceniu z rządu wystartował nawet jako jedyny kontrkandydat Tuska w wyborach na szefa Platformy. Chwilę później sam odszedł z partii. Był posłem niezrzeszonym, współpracował z PJN Pawła Kowala i Stowarzyszeniem Republikanie Przemysława Wiplera, by wreszcie powołać własną formację – Polskę Razem Jarosława Gowina – która przed wyborami w 2015 r. weszła w sojusz z PiS, a potem przeistoczyła się w Porozumienie Jarosława Gowina.

W pierwszym rządzie Beaty Szydło został wicepremierem oraz ministrem nauki i szkolnictwa wyższego. Po zmianie premiera zachował oba te stanowiska. Z tamtego czasu zostanie zapamiętany jako twórca rewolucyjnej, choć przez część środowiska naukowego krytykowanej reformy, przeprowadzonej pod hasłem „Konstytucja dla Nauki" w 2018 r.

W wyborach parlamentarnych rok później, podobnie jak w 2015 r., startował z dobrego ostatniego miejsca na liście PiS w okręgu krakowskim, przy czym tym razem uzyskał słaby wynik, co zresztą złośliwie wytykali mu później koledzy z PiS. Zdobył niespełna 16 tys. głosów, podczas gdy w 2015 r. było to blisko 44 tys. głosów.

Będąc w koalicji z PiS, Jarosław Gowin zawierał różne sojusze. W pewnym momencie zbliżył się do środowiska prezydenta Andrzeja Dudy. Był często widywany w Pałacu, a prezydent miał zasięgać jego rad, także przy okazji słynnego weta w sprawie reformy sądów. Partia Gowina wydała nawet oświadczenie, w którym poparła decyzję prezydenta w tej sprawie. Spekulowano wówczas o tym, że oto powstaje nowy obóz polityczny pod patronatem prezydenta, z Gowinem w roli głównej. Później Jarosław Gowin został okrzyknięty sprzymierzeńcem premiera Morawieckiego, z którym miał utrzymywać dobre relacje i z którym politycznie całkiem nieźle się rozumiał – do pewnego momentu mieli podobne poglądy na sprawy gospodarcze i na sposób przeprowadzania reform. Im bardziej jednak rosły notowania Morawieckiego, tym bardziej ciążyły mu relacje z Gowinem, o których życzliwi z PiS nieustannie donosili Kaczyńskiemu.

Dziś Jarosław Gowin nie ma zbyt wielkiego pola manewru. Wiadomo, że ma przyjazne relacje z prezesem PSL Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i że to Koalicja Polska jest dla niego naturalnym kierunkiem. Nie kryje zresztą, że to jest środowisko, z którym chce budować nowe, umiarkowane centrum.

– Obóz ten będzie łączyło przywiązanie do tradycyjnych, chrześcijańskich wartości ze zdecydowanym postawieniem na niskie podatki, prywatną przedsiębiorczość. Nie chcę w tej chwili wymieniać żadnych nazwisk ani nazw ugrupowań. Jedno jest oczywiste: z Koalicją Polską, PSL łączy nas, Porozumienie, bardzo dużo. Tutaj ta współpraca jest jak najbardziej naturalna – stwierdził Gowin w rozmowie z „Rzeczpospolitą" już po opuszczeniu rządu.

Przewrotność polskiej polityki polega na tym, że jeszcze parę lat temu polityczna przyjaźń Gowina z ludowcami wydawała się nie do pomyślenia. Gowin, będąc szefem resortu sprawiedliwości, popadł bowiem w ostry konflikt z ludowcami, w związku z forsowaną przez siebie reformą, polegającą na likwidacji małych sądów rejonowych. Temu rozwiązaniu radykalnie sprzeciwiało się PSL, które ostatecznie zagłosowało razem z opozycją za obywatelskim projektem ustawy, blokującym skutki rozporządzenia Gowina. Przepychanka wewnątrz koalicji trwała miesiącami, ludowcy nie zostawiali na Gowinie suchej nitki i odwrotnie. Widać jednak, że tamte wydarzenia poszły już w niepamięć.

Sęk w tym, że nawet idąc dziś z PSL, w dalszej perspektywie czeka Gowina współpraca z Platformą, a może także Lewicą. Trudno powiedzieć, jak w takiej konstelacji odnalazłby się konserwatywny Gowin i jak ułożą się jego relacje z Tuskiem, który darzy go niechęcią nie mniejszą niż Kaczyński. – Miałem już okazję współpracować z Jarosławem Gowinem. Moje doświadczenia z tamtych czasów i z tego, co robi dzisiaj, nie są najbardziej zachęcające. Muszę jednak powiedzieć, że w ostatnich tygodniach zaczął dostrzegać zło i ryzyko, jakie wiążą się z trwaniem tego rządu – mówił lider PO podczas niedawnego czatu z internautami, jeszcze gdy Gowin był w koalicji. – Uważam, że Gowin jako członek tej koalicji jest współautorem tego zła, które ma w Polsce miejsce od sześciu lat. Jeśli chciałby odkupić winy, przepraszam za sformułowanie, to musiałby pokazać, że naprawdę ma... nie wiem, jakiego sformułowania użyć, ale wiecie, o co mi chodzi. Powinien zacząć podejmować serio decyzje. To lawirowanie nie jest dla mnie specjalnie przekonujące – dodawał.

NA CZTERY ŁAPY

Jarosław Gowin jak na człowieka, który na poważnie do polityki wszedł stosunkowo późno, bo dopiero w 2005 r., gdy z rekomendacji Jana Rokity kandydował do Senatu z list Platformy, odnalazł się w niej zaskakująco dobrze. Szybko zrozumiał zasady tu panujące. Postrzegany jako typ intelektualisty (były redaktor naczelny krakowskiego miesięcznika „Znak", znawca myśli ks. Tischnera, współtwórca i rektor uczelni wyższej jego imienia), któremu obca jest brutalna walka polityczna, często był lekceważony przez politycznych rywali. Niesłusznie, bo jak dotąd mimo zakrętów zawsze spadał na cztery łapy. Czy i tak będzie tym razem? Na Twitterze po jego dymisji pojawiły się żarty, że gdy Gowin wylatuje z rządu, to za chwilę partia, która go wyrzuca, przegrywa wybory. Jeśli tak by się stało, to jest spore prawdopodobieństwo, że Gowina znów możemy zobaczyć w rządzie. Tym razem tworzonym przez dzisiejszą opozycję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

Z Karolem Nawrockim, nowym prezesem IPN
rozmawia Karol Gac

Reparacje powinny zostać wypłacone

KAROL GAC: Już się pan przyzwyczaił do nowej funkcji?

KAROL NAWROCKI: To krótki czas, by przyzwyczaić się w pełni, ale w Instytucie Pamięci Narodowej czuję się trochę jak w domu, bo tu zaczynałem swoją pracę w sektorze urzędniczym. Wróciłem po zebranym doświadczeniu w Muzeum II Wojny Światowej, a dodatkowo byłem jeszcze przez moment wiceprezesem. Jeśli miałbym to jednak ocenić zero-jedynkowo, to tak – jestem w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie.

Kiedy po raz pierwszy pojawił się temat objęcia przez pana prezesury IPN?

Około czterech miesięcy temu. Wtedy pojawiły się pierwsze głosy w środowisku historycznym i propozycje.

Długo się pan zastanawiał?

To ogromna zmiana, ale i odpowiedzialność. W wieku 38 lat zostałem prezesem największej w Polsce, wyjątkowej instytucji zajmującej się historią. Tymczasem dopiero przed momentem wyszedłem z ciężkiej batalii o kształt Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i Westerplatte, a gdy tylko ten kurz bitewny opadł i zaczęło się realne budowanie wielkich rzeczy dla Polski – które planowałem i przygotowałem na półwyspie Westerplatte – to musiałem odchodzić… Zastanawiałem się więc długo i intensywnie.

Nie żal panu? Przeprowadził pan rewolucję w muzeum, a tymczasem na ostatniej prostej trzeba było zamienić Gdańsk na Warszawę.

Przyznam, że podejmowałem tę decyzję z bólem serca. Moja rodzina jest w Gdańsku, więc z tą myślą musiałem się oswajać. To był naprawdę długi proces, żeby mnie przekonać do tej decyzji. Poczucie służby i obowiązku wobec Polski sprawiły jednak, że się zgodziłem. Byłem bardzo mocno związany z Muzeum II Wojny Światowej. Stworzyłem zespół 120 wyjątkowych osób, zapoczątkowałem nowe działania. Niewątpliwie było tam moje serce, zostawiłem w muzeum wielu przyjaciół. Czułem, że robimy w Gdańsku wielkie rzeczy dla Polski i jestem z nich dumny. Jednak jakiś czas temu podjąłem decyzję, że chcę służyć Polsce w sektorze urzędniczym i historycznym. Uznałem więc, że sentymenty zostawiam na boku i trzeba służyć w tym miejscu, w którym Polska mnie dziś potrzebuje.

Nasza ostatnia rozmowa miała miejsce przed głosowaniem w parlamencie, gdzie wynik był niepewny. Wrócił pan chyba z dalekiej podróży.

Kilka miesięcy temu cała ta akcja wydawała się mission impossible. Najpierw dyskusja kwalifikacyjna przed gronem wybitnego kolegium. W Sejmie nie było przecież pewne, czy uda mi się zjednoczyć wokół swojej kandydatury obóz Zjednoczonej Prawicy, a tymczasem poparły mnie nie tylko partie koalicyjne, lecz

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 10bcd3ca63

także część opozycji. To był pierwszy sygnał, że jestem kandydatem, który ma szansę. W Senacie sytuacja wyglądała arytmetycznie na beznadziejną. Ostatecznie skończyło się to wszystko sukcesem. Cieszę się, że udało mi się zjednoczyć kilka środowisk. Rzeczywiście można więc powiedzieć, że wróciłem z dalekiej podróży. Moi znajomi śmieją się, że była to najdłuższa rozmowa kwalifikacyjna w historii.

W międzyczasie został pan powołany na wiceprezesa IPN, by się wdrożyć i spojrzeć na placówkę z innej perspektywy. Jaki IPN pan zastaje i co chciałby pan zmienić?

Podzielę się z panem swoją głęboką refleksją osobistą. Kiedy pracowałem w IPN w latach 2009–2016, to czułem, że jestem w instytucji bardzo misyjnej, w której niekoniecznie liczą się godziny pracy. To było coś wyjątkowego. Wspólnie mieliśmy duży zapał do pracy. Wróciłem do IPN, który przypomina urząd, i to mnie trochę martwi. Część ludzi po prostu wykonuje tutaj swoją pracę – podobnie jak każdą inną. To jest zmiana, która mi się nie podoba.

IPN wydaje się być wręcz skostniały i pogrążony w marazmie. Teoretycznie jest, ale często brakowało jego aktywności i głosu w ważnych sprawach.

Doceniam to, co udało się zrobić w IPN za kadencji dr. Jarosława Szarka, ale czuję, że w latach 2010–2021 instytut trochę „zurzędniczał". Przepadły pasja i chęć angażowania się do pracy. To chciałbym zmienić, by ludzie mieli poczucie misji i wiedzieli, że robią rzeczy wyjątkowe, IPN zaś nie jest zwykłym urzędem, a instytucją, wokół której Polacy kumulują swoje nadzieje, np. na przywrócenie sprawiedliwości transformacyjnej, od lat oczekiwane ekshumacje, czy szukają wyraźnego głosu w przestrzeni międzynarodowej. Mam wrażenie, że IPN przy wielu sukcesach krajowych zrezygnował z batalii na świecie o prawdę o polskim doświadczeniu XX w. To musi się zmienić.

Ostatnio mówił pan, że historia powinna być linią demarkacyjną. Jeśli spojrzy się na obecne podziały, to nasuwa się proste pytanie: Czy to w ogóle możliwe?

Są tematy historyczne, które dzielą opinię publiczną, ale to przykład wolnej debaty oraz sygnał, że żyjemy w niepodległym państwie. Cieszę się, że w wieku 38 lat i przy sprawowaniu tak ważnego urzędu zostało mi trochę naiwności, która pozwala wierzyć, że uda nam się, jak np. Izraelowi, wypracować pewien konsensus historyczny oraz kanon wartości, który Polaków połączy. To kwestia wspólnego cierpienia, braterskiej walki czy np. nazywania zdrajcami komunistów służących obcemu mocarstwu, co w żaden sposób nie wyklucza przecież lewicowej myśli patriotycznej.

Oczywiście im dalej w XX w., tym trudniej, bo dzisiaj w życiu publicznym mamy wybitnych polityków, którzy byli związani z opozycją antykomunistyczną lat 80. To także dowodzi, że sprawy historyczne są wciąż żywe. Nadzieję w moje serce wlał jednak senator PO Antoni Mężydło, który wbrew dyscyplinie partyjnej, podejmując duże ryzyko osobiste, zdecydował się zagłosować na mnie. To sygnał, który pokazuje, że można szukać kompromisu wokół polskiej historii.

Co z polską polityką historyczną? Czy IPN powinien ją współkreować, czy być raczej wsparciem merytorycznym?

Przede wszystkim IPN powinien przekonywać, że nie możemy bać się pojęcia polityki historycznej. To duża rola IPN, aby odczarować to pojęcie, bo na jego polu działają wszystkie państwa świata. Semantyka jest niezwykle ważna, a tymczasem przez ostatnie dekady próbowano zakląć pojęcie polityki historycznej. Rola zaplecza intelektualnego dla tak potężnej instytucji, jaką jest IPN, to zbyt mało. Uznaję, że IPN powinien współkreować polską politykę historyczną wspólnie z innymi państwowymi instytucjami.

W jaki sposób? Co IPN może i powinien robić?

Na pewno IPN nie powinien czekać biernie na to, co wydarzy się na świecie w kontekście historycznym. Żeby być skutecznym w relacjach bilateralnych

eprasa.pl 10bcd3ca63

i multilateralnych, trzeba wykonywać regularną pracę w środowiskach międzynarodowych, na różnych obszarach. Jeśli chodzi o trudne relacje, to jestem konsekwentny – należy poszukiwać wspólnych historii oraz podtrzymywać dialog. Taką szansę daje nam np. postać gen. Andersa w odniesieniu do Izraela. Nie zwalnia nas to oczywiście z załatwiania spraw trudnych. Mam głębokie przekonanie, że jako naród w XXI w. możemy dzielić się obiektywnymi faktami. Trzeba to tylko robić skutecznie. Skuteczne opowiadanie prawdy na arenie międzynarodowej stawia nas w uprzywilejowanej pozycji. Jeśli mamy osiągnąć efekt, to musimy tłumaczyć książki na języki kongresowe. Nie przekonamy nikogo na świecie nawet najlepszą naukową książką, jeśli nie będzie przystępna i przetłumaczona. Dopiero wtedy elitę świata uda się przekonać.

Czy aby na pewno? Wcześniej nikomu nie przyszło do głowy podważać niektórych faktów, dzisiaj zaś obserwujemy próby obarczenia nas winą za wybuch drugiej wojny światowej czy Holokaust. Nie zakłada pan złej woli wśród zachodnich elit?

Bez akcji nie doczekamy się reakcji. Przede wszystkim jestem więc przekonany, że powinniśmy wykonać dobrze swoją pracę. To, jaka będzie jej recepcja, to już inna kwestia. Trzeba założyć dobrą lub złą wolę, ale my jeszcze jako naród nie wykonaliśmy naszej pracy. Podam panu osobisty przykład: jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej otwierałem wystawę „Walka i cierpienie" w Wellington, stolicy Nowej Zelandii. W Bibliotece Narodowej zgromadzili się przedstawiciele elit, ludzie wykształceni, wpływowi. Kiedy mówiłem o 17 września 1939 r. i roku 1945, pokazując zdjęcia, dane i fakty, to przyznali oni, że pierwszy raz słyszą o tym, jak Polska została głęboko zraniona przez Związek Sowiecki. W momencie, w którym stajemy nadzy, bez broni i oczekujemy, że zostaniemy zrozumiani, nie możemy liczyć na zwycięstwo. Róbmy swoje i dopiero czekajmy na reakcję.

Czy pana zdaniem Polska powinna domagać się od Niemiec reparacji wojennych?

Żaden z naszych przodków, który został zamordowany, którego rodziny zostały wycięte w sposób barbarzyński podczas drugiej wojny światowej, nie dał nam pola i prawa, aby w ich imieniu dokonać pełnego wybaczenia i abolicji tych wszystkich krzywd, których dokonali Niemcy. Pięknie zresztą pisał o tym Zbigniew Herbert w „Przesłaniu Pana Cogito". Mam pełną świadomość, że Niemcy są naszym sąsiadem, z którym chcemy budować dobre relacje i z którym chcemy się pojednać, ale uznaję, że reparacje wojenne byłyby kamieniem milowym na drodze do pojednania. Po tak wielkim kataklizmie i hekatombie, którą sprowadzili Niemcy, reparacje powinny zostać wypłacone.

IPN nie powinien czekać biernie na to, co wydarzy się na świecie w kontekście historycznym

Rozmawialiśmy o relacjach z Niemcami, to dopytam jeszcze o te z Ukrainą. Prezes Ukraińskiego IPN w rozmowie z Maciejem Pieczyńskim w „Do Rzeczy" postawił de facto znak równości między działaniami UPA i AK na Wołyniu. Jaką widzi pan tu przestrzeń do rozmowy?

Nie widzę symetrii między tymi zbrodniami, o których mówił prezes Drobowycz. Próba zaprowadzenia symetrii jest czymś, na co nie mogę się zgodzić. Odczytuję te słowa jako słowa prezesa instytucji w państwie, które znajduje się aktualnie w stanie wojny z Rosją. Rozumiem kontekst tych słów, ale stanowczo nie zgadzam się na takie postawienie sprawy. Oczywiście będziemy współpracować z Ukraińcami – są m.in. plany ekshumacji ofiar UPA na Wołyniu, wspólne zespoły naukowe, badawcze, archiwalne – ale mam głębokie przekonanie, że sprawa relacji między Polską i Ukrainą jest obecnie jedną ze strategicznych dla państwa polskiego – stąd jest prowadzona na najwyższych szczeblach politycznych. Te relacje wymagają trudnego wychłodzenia emocji.

Anton Drobowycz zaproponował tu np. temat Bitwy Warszawskiej. Jak stwierdził, „Polacy i Ukraińcy wspólnie obronili Europę przed nawałą bolszewicką" i „zamiast się kłócić, powinniśmy wspólnie opowiadać światu, jak wielkim zagrożeniem jest Rosja". Co pan na taką propozycję? Czy da się w ogóle mówić o współpracy bez Wołynia?

Tam, gdzie możemy szukać wspólnych historii z Ukraińcami, powinniśmy to robić. Myślę zwłaszcza o latach 30. XX w. i represjach Związku Sowieckiego, gdzie Polacy i Ukraińcy byli mordowani. Ta wyciągnięta ręka z jednej strony jest bardzo ważna, ale z drugiej strony i ja, i dr Drobowycz mamy zapewne przekonanie, że budowanie wspólnych relacji historycznych nie rozwiąże sprawy, która dzieli nasze narody, a więc Wołynia. Jesteśmy gotowi do podkreślania wspólnej historii, ale wierzę, że przyjdzie też czas na trudne tematy. Ja zamierzam się ubiegać o prawo do godnego pochówku i upamiętnienia wszystkich Polaków, którzy zginęli w czasie drugiej wojny światowej i po roku 1945.

To na koniec czasy nieco bliższe. Mówił pan o sprawiedliwości transformacyjnej. Czy nie ma pan poczucia, że ściganie zbrodni komunistycznych przebiega dosyć opornie? Byli opozycjoniści bardzo często patrzą, jak ich dawni oprawcy triumfują i są beneficjentami III RP.

Mam wielką nadzieję, że już niedługo uda mi się zrobić pierwszy krok w kierunku przywracania sprawiedliwości transformacyjnej. To bardzo skomplikowane zabiegi, bo szef Komisji Ścigania Zbrodni jest niezależną jednostką, która działa na podstawie innego prawa. Jedynie dialog może podnieść efektywność tych działań – nie moje dyrektywy. Nie zrezygnuję jednak ze ścieżki przywracania elementarnej sprawiedliwości transformacyjnej. Trzeba próbować wyciągać konsekwencje wobec sędziów i prokuratorów, którzy orzekali podczas stanu wojennego czy w latach 80. i represjonowali opozycjonistów. Te rzeczy powinny zostać załatwione. Dołożę wszelkich starań, by IPN dokończył proces transformacji.

Czy zatem pion śledczy powinien znajdować się w IPN czy poza nim?

Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, co by przyniosło wyłączenie Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu z IPN? Mnie na pewno przyniosłoby komfort pracy i pełnię odpowiedzialności za IPN. Powinienem więc powiedzieć, że jestem za tym, aby ten pion był poza instytutem. Jednak pozostaje pytanie, czy ci prokuratorzy będą lepiej pracować i prowadzić śledztwa historyczne poza IPN? Czy prokuratorzy powszechni zadadzą sobie trud, aby – jak prezes IPN – z wrażliwością historyka podchodzić do rozliczenia zbrodni niemieckich i komunistycznych? Mam pewne obawy. Stawiam sprawę przed własnym komfortem i dlatego korzystam z narzędzi, które dał mi prawodawca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

STRAŻNIK PAMIĘCI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 10bcd3ca63

Coraz bardziej tekturowa suwerenność

Tomasz Rowiński

Gdyby nowelizacja ustawy medialnej, tzw. lex TVN, ostatecznie na dalszych etapach procesu legislacyjnego jednak upadła, to – mimo kontrowersji, jakie niewątpliwie projekt ten budzi – należałoby powiedzieć: szkoda. Jeśli tak się faktycznie stanie, to po raz kolejny PiS pokaże, że jego polityka zagraniczna jest tekturowa i nieskuteczna

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Tak, bo sprawa ustawy medialnej bardziej nawet dotyczy polityki zagranicznej niż wewnętrznej. Można sądzić, że kolejny nieudany pokaz rzekomej siły, z całej serii takich pokazów praktykowanych przez obóz rządzący w ostatnich czasach – w relacjach z Unią Europejską, ze Stanami Zjednoczonymi, a nawet z Rosją (tupolewa w końcu przecież Polska wciąż nie odzyskała) – zacznie się przekładać na niezadowolenie także prawicowego elektoratu. Pomimo dominującej w sprawie TVN narracji o ataku na demokratyczny ład medialny w Polsce trzeba na tę sprawę patrzeć jak na rozgrywkę prowadzoną przez nasze państwo w sytuacji pogarszającej się sytuacji strategicznej. Jeśli nowelizacja się nie uda, to otrzymamy kolejny poważny dowód słabości naszego państwa. Jeśli zaś jakiejś sprawy nie potrafi się doprowadzić do końca – to lepiej jej nie zaczynać.

Tymczasem w dniu debaty sejmowej, 11 sierpnia, nastroje w wielu mediach całkowicie były ograniczane przez specyficzną perspektywę, w której TVN zdawał się być czymś w rodzaju gwaranta polskiej demokracji. „Jarosław Kaczyński twierdzi, że niezbędne jest przyjęcie zmian w ustawie medialnej tak, aby zapobiec przejmowaniu polskich telewizji przez kapitał z podejrzanych krajów. Ale zaproponowana przez PiS ustawa uderza tylko w jedną stację – TVN. I przegania nie podejrzany kapitał z Rosji, Chin czy krajów arabskich, tylko Amerykanów, bo to oni są właścicielami tej stacji. To jest prawdziwy cel tych zmian – uderzenie w telewizję, której PiS nie kontroluje. Rosja, Chiny i kraje arabskie to zasłona dymna" – pisał Andrzej Stankiewicz w tekście „Ustawa przeciwko TVN. O co w niej chodzi?", który ukazał się w Onecie.

DWIE PIECZENIE NA JEDNYM OGNIU

Oczywiście jest to pewien wycinek oglądu sprawy, ale tej perspektywy nie można przyjmować jako jedynej i całościowej. Po pierwsze, w czasach mediów elektronicznych problemy naziemnej rozrywkowej stacji, jaką jest TVN, nie są zagrożeniem dla obiegu niezależnej informacji. Jak wiadomo, polityczny charakter ma przede wszystkim największa polska stacja informacyjna, czyli TVN24, który nawet przy problemach stacji matki może przenieść się z nadawaniem poza Polskę. Dla nadawcy satelitarnego nie jest to większy problem. Zapewne nowa sytuacja, w której z powodu bezprawnej struktury właścicielskiej naziemny TVN nie mógłby już dalej funkcjonować, oznaczałaby problemy dla TVN24, ale nie likwidację. Natomiast określenie zmiany, która zmniejszyłaby wpływ obcego kapitału na kształt debaty publicznej w Polsce, kolejnym krokiem prowadzącym do upadku demokracji jest

eprasa.pl 10bcd3ca63

nadużyciem. Nakręcona atmosfera obrony TVN wydaje się być raczej narzędziem politycznego mobilizowania elektoratu opozycji niż rzeczywistą diagnozą sytuacji w Polsce.

„Jeśli Amerykanie mają swoje limity w zagranicznych udziałach w mediach, to my też mamy do tego prawo" – powiedział zastępca rzecznika Prawa i Sprawiedliwości Radosław Fogiel. „Nie chodzi tu o TVN [...]. A czy to jest naszą winą, że akurat TVN należy do koncernu Discovery w stopniu większym, niż przewiduje to polskie prawodawstwo?". Jeśli chodzi o opinię, że TVN nie jest celem trwającego procesu legislacyjnego, to akurat trudno uznać ją za wiarygodną. Raczej należy sądzić, że PiS chciałby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, chodzi o osłabienie opozycyjnego nadawcy pozostającego w rękach amerykańskiego koncernu, którego interesy wyraźnie mają przełożenie na politykę naszego największego sojusznika. Stany Zjednoczone od lat dają władzom naszego państwa do zrozumienia, że nie życzą sobie żadnej polskiej samodzielności w dziedzinach, które uznają za swoją domenę lub zakres własnych interesów. Zatem – po drugie – w całej sprawie jest zrozumiałe, że PiS chciałby – może nawet bardziej niż osłabienia TVN – wyrwać się choć trochę z objęć w sytuacji całkowitej wasalizacji, jaką Stany Zjednoczone wytworzyły w relacji z naszym krajem.

NIE TYLKO W POLSCE

Zachowanie opozycji wygląda rzeczywiście na działanie nie wbrew PiS, ale wbrew interesom Polski. Jednym zdaniem – bronią niedoskonałego prawa, by obce mocarstw mogło je omijać we własnym interesie. Co do struktury własnościowej mediów, to przecież nie tylko Amerykanie ograniczają udział zagranicznego kapitału w tym segmencie rynku. Takie ograniczenia istnieją także w wielu państwach Unii Europejskiej, a zatem i w Polsce. W Stanach Zjednoczonych kapitał zagraniczny może stanowić zaledwie 20 proc. udziałów spółek medialnych. Prawodawstwa europejskie polegają na podobnym ograniczeniu pakietów właścicielskich, które mogą być w rękach firm pochodzących z Europejskiego Obszaru Gospodarczego. W Niemczech i we Francji wynoszą one odpowiednio 10 proc. i 20 proc., podczas gdy w Polsce obecnie limit ten wynosi 49 proc. USA do tego obszaru nie należą, a koncern Discovery po prostu obszedł to, co można nazwać duchem obowiązującego prawa, tworząc spółkę zależną w strefie EOG. Ta zaś jest formalnie właścicielem TVN. Zwracano uwagę, że wobec tego TVN nie powinien dostać koncesji już wtedy, gdy Discovery przejmowało stację od Scripps International Network, a może nawet, gdy ta druga korporacja przejmowała nadawcę od ITI.

„To, że państwo nie zadziałało, kiedy Amerykanie kupowali ponad 49 proc. udziałów, to nie znaczy, że mamy na to przymykać oczy. I treści czy profil redakcyjny konkretnej stacji nie mają z tym nic wspólnego. Druga sprawa, że jako partnerzy musimy traktować się po partnersku. Jeśli Amerykanie mają swoje limity w zagranicznych udziałach w mediach, to my też mamy do tego prawo" – trudno Fogielowi nie przyznać przynajmniej częściowej racji. Jednocześnie cała sprawa po raz kolejny pokazuje lekceważący stosunek Amerykanów do relacji z Polską. A przecież to zwieńczenie wcześniejszych kuriozalnych interwencji USA w sprawy Polski. Przypomnijmy je i dodajmy, że były skuteczne: nowelizacja ustawy o IPN, interwencja w sprawie opodatkowania przemysłu cyfrowego, a ostatnio uderzający bezpośrednio w polską rację stanu zwrot w sprawie ukończenia Nord Stream 2. Warszawa mogła zobaczyć na własne oczy, że może być całkowicie pomijana w polityce europejskiej Wielkiego Brata. Tylko wspomnę, że zarówno amerykańska ambasada, jak i amerykańskie koncerny w Polsce uprawiają swoistą akcję kolonizacyjną suflującą postulaty politycznego ruchu homoseksualnego sprzeczne z naszą konstytucją. Sojusz ze Stanami Zjednoczonymi stał się dla nas problematyczny i dobrze, żeby Amerykanie to odczuli. TVN w tej chwili dla USA nie tylko ma wymiar biznesowy, lecz także jest siłą, która wspiera zaprowadzenie w naszym kraju porządków cywilizacyjnych, które akurat Amerykanom są na rękę. Zatem warto by było dzięki tej sprawie zaznaczyć swoją odrębność.

W czasie debaty z 11 sierpnia szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz powiedział, że ustawa PiS „jest wymierzona w wolność i bezpieczeństwo". „Po sześciu latach waszych rządów myślałem, że jednego nie zepsujecie – relacji z USA. Że może wypchniecie nas z Unii. Ale psuć relacje ze Stanami Zjednoczonymi?" – pytał szef PSL. Niestety, wypowiedź ta nie świadczy najlepiej o politycznej świadomości lidera ludowców. To nie polski rząd bezpośrednio stoi za pogarszającymi się relacjami ze Stanami Zjednoczonymi, ale sami Amerykanie. Dzisiaj wydaje się coraz bardziej wątpliwe, by zabiegali oni nie tylko o naszą wolność, lecz także o nasze bezpieczeństwo. Choć zachowują się tak, jak gdyby wycofywali pieczę nad Europą, to nie zamierzają tracić profitów, które osiągnęli dzięki dawnej sile. Dziś nawet takie państwa jak Polska powinny tę sytuację weryfikować. Krytyka uprawiana przez opozycję jest czymś naturalnym i właściwym w polityce, ale opozycja konstruktywna powinna polegać na proponowaniu lepszych rozwiązań, np. jeśli chodzi o wywieranie nacisku na USA, by traktowały nas bardziej partnersko. Chwalenie się brakiem orientacji w sytuacji strategicznej naszego kraju jest czymś fatalnym.

NICZYM ROSYJSKIE GROŹBY

A Amerykanie nie przebierają w środkach – nauczyli się, że wystarczy zagrać kartą bezpieczeństwa od wschodu, by Polacy na wszystko się zgodzili. W dniu debaty sejmowej pojawiła się zapewne kontrolowana informacja o tym, że „na Kapitolu rozmawia się o relokacji części wojsk do Rumunii". Jarosław Gowin zaś relacjonował swoje kontakty z Amerykanami: „Przyjęcie tej ustawy zamrozi stosunki polsko-amerykańskie. O szczegółach restrykcji nie rozmawialiśmy". Mówiąc szczerze, coraz bardziej przypomina to rosyjskie groźby.

Pojawia się pytanie, czy kolejne kompromitacje nie zaczną coraz mocniej uzmysławiać nieradykalnym wyborcom prawicy, że rządy PiS są nieskuteczne i cała narracja o suwerenności nie jest tylko gadaniną. Skoro jednego dnia obronę Izby Dyscyplinarnej przed wyrokiem TSUE porównuje się do Westerplatte z homilii Jana Pawła II, gdzie metafora ta oznaczała sprawy, których moralnie nie można porzucić, a następnego dnia zapowiada się demontaż tej obrony, to jaki podaje się obywatelom przekaz? Razem z konstatacją o nieskuteczności może pojawić się myśl, że skoro „suwerenna" polityka obozu centroprawicy nie przynosi Polsce tyle dobrego, co zapowiadała, to może lepiej mieć spokój i być zadowolonym wasalem berlińsko-waszyngtońskiego centrum.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

Maciej Pieczyński

Długie ręce Mińska

FOT. ADOBE STOCK

Łukaszenka ma doświadczenie w fizycznej likwidacji swoich przeciwników politycznych. Co grozi białoruskim opozycjonistom, którzy przebywają w Polsce?

Na początku sierpnia w jednym z kijowskich parków znaleziono ciało Witalija Szyszowa, szefa tamtejszego Domu Białoruskiego. Aktywista powiesił się albo – co o wiele bardziej prawdopodobne – został powieszony. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy miała wcześniej ostrzegać białoruskich działaczy przed agentami z Mińska. Według ustaleń Radia Swoboda na śmierci Szyszowa mogło zależeć rosyjskim służbom. A to dlatego, że z antyłukaszenkowską emigracją na Ukrainie powiązany jest Siarhiej Karotkich, Białorusin walczący w Donbasie w szeregach pułku „Azow". Jednak większość komentatorów szuka śladów w Mińsku. Ewentualnie – we współpracy KGB i FSB.

Według ustaleń Witolda Jurasza z Onetu niedawno w Poznaniu grupa białoruskich opozycjonistów miała być śledzona. Tak ostentacyjnie, że najwyraźniej chodziło nie o to, by inwigilować, tylko o to, by wystraszyć. Szef Domu Białoruskiego w Warszawie Aleś Zarembiuk przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy", że sam niejednokrotnie był w podobnej sytuacji. Na przykład w kwietniu, we Wrocławiu. To było spotkanie działaczy domów białoruskich – tamtejszego oraz warszawskiego. – Usiedliśmy na ławce w parku. Było nas czworo – ja, kolega i dwie koleżanki. Po 15 minutach na sąsiedniej ławce usiadł mężczyzna w ciemnych okularach i maseczce. Koleżanki miały nagrać krótki filmik na temat jednej z inicjatyw w ramach naszego programu pomocy dla Białorusinów, do publikacji w mediach społecznościowych. Żeby im nie przeszkadzać, wraz z kolegą poszliśmy na spacer. Nieznajomy mężczyzna wstał i poszedł za nami. Obserwował nas, ale też odwrócił się w stronę dziewczyn. Jedna z nich zauważyła, że znacząco kiwnął głową, jakby dawał znak komuś, kto był po drugiej stronie parku – opowiada Zarembiuk. – Podobną sytuację miałem niedługo po tym, jak porwany został Raman Pratasiewicz. To było przy ul. Francuskiej w Warszawie, niedaleko nowej siedziby Domu Białoruskiego – dodaje.

POLSKI AZYL

Historie Białorusinów, którzy przed represjami uciekli do Polski, opowiedzieli Miłosz Gocłowski i Tomasz Chaciński w filmie pt. „Uchodi. Naród niepotrzebnych". Jednym z bohaterów dokumentu był Maksym Nowikow z Homla. Dwa dni po wyborach, późnym wieczorem, wracał z baru z kolegą. Nie brali wtedy udziału w żadnym proteście. Nagle napadło na nich ośmiu funkcjonariuszy OMON, zaczęli ich bić, potem zabrali na komisariat. Maksym był torturowany. Po kilku dniach został wypuszczony. Widząc, że pętla się zaciska, postanowił uciec. Ruszył w kierunku Wilna. – Z przekazów medialnych wywnioskowałem, że Litwa nie jest jeszcze gotowa do przyjęcia uchodźców, a Polska już zaczęła ułatwiać Białorusinom przekraczanie granicy. Zmieniłem więc kierunek. Zamiast w stronę Wilna, pojechałem w stronę Grodna, na polską granicę – wspomina Maksym w rozmowie z „Do Rzeczy". Pierwsze tygodnie spędził w obozie dla uchodźców w Białej Podlaskiej. Mógł zostać tam dłużej, ale – mając wybór – postanowił na własną rękę poszukać pracy i mieszkania. Najpierw w Warszawie. Obecnie mieszka i pracuje w Szczecinie. Objęty jest ochroną uzupełniającą. To rodzaj zgody na pobyt przyznawanej cudzoziemcom, którzy nie otrzymali statusu uchodźcy i w przypadku powrotu do kraju byliby realnie narażeni na poważne zagrożenie dla życia lub zdrowia. Oprócz tego otrzymuje wsparcie z Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, w ramach programu indywidualnej integracji. Nie ukrywa się, nie milczy, publicznie opowiada o represjach, jakich doznał ze strony reżimu, bierze udział w wydarzeniach organizowanych przez białoruską emigrację w Polsce. – Nie mam żadnej ochrony ani jej nie potrzebuję. Wiadomo, że zawsze jest jakiś strach, ale po pierwsze, nie chcę żyć w paranoi, a po drugie, tutaj, w Szczecinie, trochę na uboczu, nie czuję się szczególnie zagrożony – przyznaje Maksym.

– Rząd w Warszawie od sierpnia ubiegłego roku naprawdę bardzo się stara, aby zapewnić bezpieczeństwo białoruskim opozycjonistom, przebywającym na terenie Polski. Nie mam żadnych zarzutów w tej sferze – zapewnia Aleś Zarembiuk. – Już od samego początku protestów powy-

eprasa.pl 10bcd3ca63

borczych naszego biura przy ul. Wiejskiej strzegli policjanci z sąsiedniego posterunku. We wrześniu, jak wiadomo, otrzymaliśmy od premiera Morawieckiego nową siedzibę, przy ul. Krynicznej 6. Również tam czuwają wzmocnione patrole policyjne. Co jakiś czas policja wymaga ode mnie, bym podpisał specjalne oświadczenie, że nie czuję się zagrożony – dodaje.

– W tej chwili nie mamy żadnej osobistej ochrony, ale to nie znaczy, że po ostatnich wydarzeniach wciąż nie będziemy takiej ochrony potrzebowali. Pełna ochrona oznaczałaby ograniczenie swobody funkcjonowania, ale jeżeli będzie konieczna, to będziemy o nią wnioskować. W sytuacji z ochroną trudno byłoby organizować różne przedsięwzięcia w ramach działalności Domu Białoruskiego, ale bezpieczeństwo jest również ważne – mówi Aleś Zarembiuk. Zaznacza jednak: – Na razie jesteśmy „tylko" obserwowani i patrole pod siedzibami Domu Białoruskiego wystarczą. Wielokrotnie przedstawiciele policji nieoficjalnie proponowali nam zwiększenie ochrony. Jeśli uznamy, że sytuacja jest naprawdę groźna, a naszemu zdrowiu i życiu zagraża niebezpieczeństwo, to oczywiście skorzystamy z pomocy, nie jesteśmy wariatami.

ŚRODKI OSTATECZNE

To wszystko jednak nie oznacza, że Białorusini w Polsce mogą czuć się zupełnie bezpiecznie. – Z pewnością Łukaszence zależałoby na tym, żeby właśnie na terenie Polski dorwać któregoś z opozycjonistów, aby skompromitować kraj, który tak mocno pomaga jego przeciwnikom politycznym – mówi Aleś Zarembiuk.

Wokół siedzib Domu Białoruskiego w Warszawie dość często mieli się kręcić podejrzani ludzie. – Kamery zarejestrowały, jak kurier, idąc po klatce schodowej do góry, ni stąd, ni zowąd złapał za klamkę do naszego biura, sprawdzając, czy jest otwarte. Podobnych sytuacji było więcej. Regularnie informowaliśmy o tym policję. To trochę pomogło. Policjanci zaczęli spisywać podejrzanie wyglądających ludzi i w końcu chyba nasi „obserwatorzy" się przestraszyli, bo coraz rzadziej się pojawiają, ale nie wykluczam, że zawsze mogą wrócić i kogoś z nas zamordować – mówi Zarembiuk.

„Ostatni dyktator Europy" w ciągu ćwierćwiecza swojego panowania udowodnił już, że w walce z przeciwnikami politycznymi nie cofa się przed środkami ostatecznymi. Styczeń 2002 r.: 23-letni Jurij Korban, działacz opozycyjnego Białoruskiego Frontu Ludowego „Odrodzenie" z Witebska, wyszedł z domu i już nie wrócił. Kilkakrotnie kontaktował się telefonicznie z rodzicami, uspokajał ich, że wszystko jest w porządku. Na prośbę syna matka Jurija zebrała sporą sumę pieniędzy i przyjechała do Mińska, by w umówionym miejscu przekazać je konkretnym ludziom. Nikt jednak się nie zjawił. Potem zadzwonił jeszcze raz, by przekazać, że nigdy się już nie zobaczą. Jego los do dziś nie jest znany.

7 maja 1999 r. były minister spraw wewnętrznych Białorusi Juryj Zacharanka został porwany przez nieznanych sprawców, przy użyciu siły wciągnięty do samochodu i wywieziony w nieznanym kierunku. To oficjalna wersja. Śledztwo zostało wszczęte dopiero cztery miesiące później. Wszystko wskazuje na to, że Zacharanka został zamordowany, ale do tej pory ciała nie odnaleziono, morderców nie skazano. Zacharanka „zdradził" Łukaszenkę. Był członkiem jego sztabu podczas wyborów prezydenckich w 1994 r. Pierwszych i jedynych, które późniejszy dyktator wygrał uczciwie. Szefem MSW był przez rok. Potem popadł w konflikt z otoczeniem Łukaszenki. Stracił stanowisko, a ze stopnia generała został zdegradowany do stopnia pułkownika. Oficjalnym powodem jego dymisji były nadużycia finansowe. Prawdopodobnie jednak prawdziwym powodem przejścia Zacharanki do opozycji były różnice światopoglądowe, dzielące go z Łukaszenką. Były szef MSW założył niezależną od władz organizację Związek Oficerów. Pełnił funkcję szefa Komitetu Bezpieczeństwa w opozycyjnym sojuszu pod nazwą Narodowy Komitet Wykonawczy. Prawdopodobnie miał stawić czoła Łukaszence podczas wyborów w 2001 r. Po jego zaginięciu Rada Koordynacyjna Sił Demokratycznych ogłosiła, że jego porwanie to początek rozprawy z opozycją.

O zabójstwo Zacharanki Łukaszenkę oskarżył też Uładzimir Baradacz, były oficer białoruskiego wywiadu, który po odejściu ze służby aktywnie działał we wspomnianym Związku Oficerów. Niedługo przed wyborami prezydenckimi w 2010 r. uczestniczył w pracach społecznego komitetu zajmującego się badaniem sprawy zaginięcia byłego szefa MSW. Dwa lata później na antenie Radia Swoboda Baradacz stwierdził, że według jego ustaleń Zacharankę „porwał łukaszenkowski eskadron śmierci. Został on poddany okrutnym torturom, był bity, odurzany specjalnymi środkami psychotropowymi. Na generale wymuszano, by się przyznał, że przygotowywał zamach stanu. Gdy zrozumieli, że w sądzie nie potwierdzi swoich (wymuszonych) zeznań, rozstrzelali go". Baradacz miał ustalić, że ciało Zacharanki spłonęło w krematorium przy cmentarzu Północnym w Mińsku. Informacja pochodziła z pierwszej ręki. Baradaczowi przekazał ją sam naczelnik krematorium, który przyznał, że osobiście spalił szczątki eksministra na rozkaz funkcjonariuszy służb specjalnych. Do kolejnej rozmowy nie doszło. Nieznani sprawcy pobili naczelnika, oblali benzyną i podpalili. Baradacz zrozumiał wówczas, że nie tylko nie ma szans wyjaśnić śmierci opozycjonisty, lecz także może podzielić jego los. Uciekł do Niemiec.

Wiktar Hanczar, polityk opozycyjny, i jego przyjaciel, wspierający opozycję biznesmen Anatol Krasouski, po raz ostatni byli widziani w Mińsku, 16 września 1999 r. Wracali z bani [rosyjska odmiana sauny – przyp. red.]. Na miejscu prawdopodobnego porwania znaleziono kawałki szkła i ślady krwi porwanych. Trzy dni później Hanczar miał wziąć udział w zebraniu deputowanych do rozwiązanej przez Łukaszenkę Rady Najwyższej, którego celem miało być rozpoczęcie kampanii na rzecz odsunięcia „Baćki" od władzy. Cztery miesiące wcześniej z kolei opozycjonista zorganizował nieuznane przez Mińsk wybory prezydenckie. Miesiąc przed zaginięciem ogłosił koniec kadencji Alaksandra Łukaszenki. W styczniu 2003 r. białoruska prokuratura umorzyła śledztwa w sprawie zniknięć Zacharanki, Hanczara i Krasowskiego. W grudniu 2019 r. były funkcjonariusz MSW, Juryj Harauski, w niemieckim filmie dokumentalnym opowiedział o tym, jak to kierowany przez niego specjalny oddział milicji porwał i zlikwidował wszystkich trzech przeciwników politycznych Łukaszenki.

Ewentualny udany zamach na jednego z mieszkających nad Wisłą przeciwników Łukaszenki byłby spektakularną klęską Warszawy jako zachodniego patrona „biało-czerwono-białej" rewolucji. I skuteczną odpowiedzią „Baćki" na sukces polskiej dyplomacji, jakim było „przechwycenie" Krysciny Cimanouskiej. Nie wiadomo, czy patrole policyjne są jedyną formą ochrony, jaką Warszawa zapewnia przebywającym w Polsce białoruskim opozycjonistom. Na pytania, wysłane w tej sprawie do biura prasowego koordynatora służb specjalnych, do momentu wysłania tego numeru „Do Rzeczy" do druku nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką *przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza*

Do stoczniowej stołówki zamienionej w salę zgromadzeń strajkujących przyjeżdżały wszystkie tuzy opozycji FOT. JACEK PIOTROWSKI

Zapowiedź Okrągłego Stołu

JAN HLEBOWICZ: Skończmy wątek strajku majowego 1988 roku. Może Mazowiecki miał rację? Władze z „młodymi" nie chciały negocjować, a reszta kraju się nie ruszyła?

PIOTR SEMKA: Z perspektywy lat patrzę na decyzję doradców z maja 1988 roku inaczej. Rzeczywiście strajkujących było niewielu. Może tysiąc, może tysiąc pięćset. Stocznia nie porwała kraju. Były też na rzecz zakończenia strajku racjonalne przesłanki, między innymi brutalna pacyfikacja protestu w Hucie imienia Lenina. Trzeba jednak pamiętać, że w stanie wojennym wyjechało około miliona ludzi i tego miliona zabrakło w roku 1988. Władza zorientowała się, że fala strajkowa jest na tyle duża, by brać ją pod uwagę, a jednocześnie pokazała, że stara opozycja nie jest już tak bojowa i zdolna do gromadzenia wokół siebie milionów jak dawniej. Z tego między innymi powodu już wówczas ujawniła się niechęć do radykalniejszych od starej opozycji z lat 1980–1981 młodych liderów strajkowych. Widziałem u weteranów opozycji swoistą obawę, że rewolta młodych może wymknąć się spod kontroli przywódców Sierpnia '80 i odwrócić do góry nogami dotychczasową hierarchię opozycji. Wtedy jednak nam się wciąż wydawało, że „starzy" są nasi. Obawa i chęć jak najszybszego pertraktowania z władzą objawiły się w pełnej krasie dopiero trzy miesiące później.

Ostatecznie przy pośrednictwie przedstawicieli biskupa Tadeusza Gocłowskiego oraz mecenasa Władysława Siły-Nowickiego wynegocjowany został kompromis gwarantujący spokojny wymarsz ze stoczni i brak represji wobec strajkujących. Co wówczas czuliście?

Smutno-gorzko żartowaliśmy, że protest został stłumiony za pomocą siły... Siły Nowickiego. Nastroje jednak nie były najgorsze. Pierwszy niesmak pojawił się dopiero parę tygodni potem, chyba pod koniec czerwca 1988 roku czy może na początku lipca, po kolejnej mszy w kościele Świętej Brygidy, na tradycyjnym miniwiecu na dziedzińcu parafii. W pewnym momencie zaczął przemawiać Zbigniew Bujak, uważany wówczas za radykała. Mówił: „Z obozu władzy pojawiają się rozmaite propozycje. Oferują nam miejsca na listach wyborczych do Sejmu: dwadzieścia, trzydzieści procent miejsc. Ale my nie ustąpimy". „»Kura«, o czym on chrzani?" – zapytałem wówczas Kurskiego. Wzruszył ramionami. Postanowiliśmy zapytać u źródła, czyli Bujaka. Podał nam dłonie i też wzruszył ramionami. „Tak mi się tylko powiedziało" – usłyszeliśmy. Dziś myślę, że mało wyrobiony Bujak ujawnił wówczas mimowolnie jedną z pierwszych propozycji władz PRL na temat wyborów proporcjonalnych.

Z perspektywy czasu to zapowiedź Okrągłego Stołu i Magdalenki. Jednak wtedy myślało się raczej o wciąż napiętych stosunkach z władzą. W sierpniu wybuchł kolejny strajk w gdańskiej stoczni. Była to reakcja na protesty w śląskich kopalniach, porcie szczecińskim i Hucie Stalowa Wola. Tym razem protest został zaplanowany przez Wałęsę i regionalne władze Solidarności.

Ale i on nie udałby się bez entuzjazmu młodych stoczniowców. W sierpniu 1988 roku byłem we Włoszech na pielgrzymce

eprasa.pl 10bcd3ca63

organizowanej przez KUL. Wróciłem, przepakowałem się i pojechałem na strajk. To był zupełnie inny protest niż ten z maja. Od początku kluczową rolę odgrywali doradcy. Solidarność wpadła w pułapkę głównego hasła, które miała na sztandarach od grudnia 1981 roku: „Chcemy doprowadzić do rozmów". Młodzi, którzy zamierzali zrobić zadymę, byli coraz bardziej niepotrzebni. A wręcz zaczynali przeszkadzać.

W tym kontekście Wałęsa podjął decyzję o przyjęciu zaproszenia na rozmowy z Czesławem Kiszczakiem.

Było to 31 sierpnia wieczorem. Lider Solidarności wobec komitetu strajkowego i doradców postawił sprawę jasno: „Przyjąłem propozycję rozmów na temat Okrągłego Stołu i opuszczam strajk". Było to postawienie stoczni pod ścianą. Nie było żadnych konsultacji. Pamiętam twarze moich kolegów, młodych stoczniowców. Byli w szoku. Paktowanie z Kiszczakiem? Przyjmowali to jako upokorzenie. Wierzyli, że strajk można wygrać. Część płakała. Twardzi, ideowi, bezkompromisowi faceci ryczeli jak bobry. „Dlaczego Lechu, nasz Lechu, w ogóle nie liczy się z naszym zdaniem?". Kiedy Wałęsa ogłaszał swoją decyzję rozpoczęcia rozmów z władzami, w tłumie pojawiły się pierwsze gwizdy ze strony robotników. Te gwizdy zaniepokoiły Wałęsę, ale nie zmieniły jego determinacji, by zasiąść z Kiszczakiem do Okrągłego Stołu.

Co na to wszystko doradcy?

Zależy którzy. Z dzisiejszej perspektywy to, jak wówczas przebiegała linia podziału, jest niezwykle interesujące. Decyzji Wałęsy o podjęciu rozmów bronili między innymi Lech Kaczyński i Krzysztof Wyszkowski. Wątpliwości miał Borusewicz, który podkreślał, że taki finał strajku to żaden sukces. Przy okazji opowiem pewną anegdotę. W 2008 roku, po jednym z moich tekstów poświęconych strajkom z roku 1988, zadzwonił do mnie właśnie „Borsuk", by podziękować za artykuł przypominający sylwetki młodych robotniczych przywódców. Czułem, że nie do końca jest mu dobrze z tym, jak się ostatecznie zachował wobec stoczniowców. Borusewicz był wtedy doktorem Jekyllem i panem Hyde'em. Z jednej strony czuł, że swoją decyzją Wałęsa i intelektualiści zdradzają robotników, a z drugiej był wierny środowisku KOR-owskiemu i z tego powodu jakoś szczególnie mocno nie protestował wtedy przeciwko zakończeniu protestu. Dodam też, że strajk sierpniowy po raz pierwszy tak wyraźnie ukazał podziały w kręgach opozycyjnych i swoistą hierarchię. Nie zapomnę sceny, gdy doradca Wałęsy Andrzej Celiński wyszedł przed strajkujących, aby przekonać ich do zakończenia protestu. Stoczniowcy zaczęli krzyczeć: „Zdrada, spierdalaj!". Celiński zszedł wtedy z podestu i odreagował złość, sycząc do pozostałych doradców: „Widzicie tych pajaców, durniów. Oni nic nie rozumieją". Pozostając pod ogromnym wrażeniem patriotyzmu i woli walki młodych robotników, byłem oburzony i zszokowany słowami Celińskiego. Zastanawiałem się: Czy doradca Wałęsy zdaje sobie sprawę z tego, że gdyby nie protest „durniów", być może żadnych rozmów by nie było? Dopiero ex post patrzę na tamto wydarzenie jako na symbol pewnej cezury obowiązującego do dziś podziału: „my" i „oni". Starzy działacze w obliczu coraz bliższych rozmów z władzą zaczęli otwarcie mówić o robotnikach i młodych opozycjonistach: „oni". Wcześniej wszyscy byliśmy: „my". „Jesteśmy na dobrej drodze, by w końcu wynegocjować z dygnitarzami partyjnymi dobre warunki transformacji, a ci radykałowie wszystko mogą popsuć" – tak wówczas musieli myśleć doradcy.

Kto więc najwięcej ugrał na strajkach w 1988 roku?

Paradoksalnie wybuch niezadowolenia młodych stoczniowców, do którego przyłączyli się studenci i członkowie struktur młodzieżowych, był bardzo na rękę „starym", z Wałęsą na czele. Umacniał ich pozycję w negocjacjach z władzą: „Widzicie, co się dzieje? Dogadajcie się z nami, bo w przeciwnym razie poleje się krew".

A może było odwrotnie? To władzy i służbom specjalnym PRL na rękę były strajki majowy i sierpniowy? Dzięki nim nastraszyli starą opozycję: „Widzicie? Jak za chwilę się nie dogadamy, to poleje się krew. A wtedy te wszystkie wasze bajki o pokojowym, wolnościowym zrywie prysną jak bańka mydlana". Może to komunistyczni decydenci wykreowali te strajki po to, by przyspieszyć korzystny dla nich proces transformacji?

Ja nie kupuję takiej interpretacji. To, co wydarzyło się w 1988 roku, wymknęło się spod kontroli komunistycznych władz i starej Solidarności. Nikt się tego

do końca nie spodziewał. A w stoczni naprawdę wiało grozą. Dlatego powtórzę, że chociaż stara Solidarność nie panowała nad strajkiem w pierwszej fazie, to w dalszym rozrachunku robotniczy protest młodych okazał się jej niezwykle na rękę. Gdy młodzi opozycjoniści i stoczniowcy zrobili swoje, zabrakło dla nich miejsca przy Okrągłym Stole. Dawne elity solidarnościowe zapomniały o korzeniach. Wszak Sierpień '80 był robotniczy. Opozycja przez osiem lat trwania w PRL spod znaku Jaruzelskiego zaczęła zmieniać priorytety. Robotnicy przestali się liczyć. W górę poszły akcje dążących do kompromisu tak zwanych intelektualistów – Wielowieyskiego, Stelmachowskiego, Siły-Nowickiego, Mazowieckiego, Geremka et cetera. Generacja młodych miała zamiar inaczej przeprowadzić transformację. Jednak społeczeństwo, wymęczone ośmioma latami apatii i zamordyzmem generała Jaruzelskiego, nie chciało żadnych radykalnych posunięć. Głos młodych nie przemówił więc do ogółu opinii publicznej i bez wsparcia starych elit solidarnościowych – przepadł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- ***„Jak Semkowie Polskę wybrali"*** – nr 16/2021
- ***„Dziadek Jan i dziadek Józef"*** – nr 17/2021
- ***„Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową"*** – nr 18/2021
- ***„Niepokorna Topolówka"*** – nr 19/2021
- ***„Dramatyczny czas"*** – nr 20/2021
- ***„Licealna konspira"*** – nr 21/2021
- ***„Koledzy z konspiry"*** – nr 22/2021
- ***„Prywatna wojna z komunizmem"*** – nr 23/2021
- ***„Uciekaliśmy od bezruchu"*** – nr 24/2021
- ***„Pobudzający mętlik idei"*** – nr 25/2021
- ***„Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk"*** – nr 26/2021
- ***„Pierwsze niepokojące sygnały"*** – nr 27/2021
- ***„Spełnione marzenie młodego opozycjonisty"*** – nr 28/2021
- ***„Era młodych"*** – nr 29/2021
- ***„Eksperyment Borusewicza się opłacił"*** – nr 30/2021
- ***„Niebezpieczne związki"*** – nr 31/2021
- ***„Ramię w ramię ze strajkującymi"*** – nr 32/2021

eprasa.pl 10bcd3ca63

W Muzeum Nietypowych Rowerów w Gołębiu można wypróbować kilkadziesiąt modeli tych pojazdów

FOT. WOJCIECH PACEWICZ/FORUM

Agnieszka Niewińska

Zbiór zabawnych tablic z poprzedniej epoki, a może lekcja muzealna z przejażdżką rikszą lub rowerem treningowym dla pilotów? W ofertach nietuzinkowych polskich muzeów można przebierać

Nietypowe muzea oblężone przez turystów

Nie ma tu gablot, kapci dla zwiedzających ani pilnujących ich strażników. Tu eksponatów nie tylko można dotknąć, lecz także wręcz należy na nie wsiąść i się nimi przejechać. W Gołębiu – miejscowości położonej między Dęblinem a Puławami – działa Muzeum Nietypowych Rowerów. W tym nietuzinkowym miejscu można obejrzeć i wypróbować kilkadziesiąt modeli tych pojazdów. Są rowery transportowe, cyrkowe, użytkowe, poziome, bicykle, riksze czy rowery treningowe dla pilotów, na których można spróbować pedałowania głową w dół. Większość z nich została skonstruowana przez twórcę muzeum – Józefa Majewskiego.

DĘBLIN NA „CUDAKACH"

Rowery towarzyszyły panu Józefowi od dziecka. Na damce mamy jeździł do pobliskich Puław, zanim jeszcze dosięgał do siodełka. Gdy był starszy, wsiadł na kolarzówkę czeskiej produkcji zakupioną w GS-ie. Przez lata był jej wierny. Pracował w technikum w Dęblinie, gdzie uczył obróbki metali i maszynoznawstwa. Pod wpływem Marka Utkina, popularyzatora nauki i techniki publikującego w „Świecie Młodych", zaczął konstruować poziome rowery i zachęcił do tego uczniów. – Poziome rowery szybko rozpanoszyły się w Dęblinie. Ówcześni milicjanci podejrzewali nawet mnie i uczniów, że mamy coś wspólnego z ginącymi w mieście jednośladami, że to z nich konstruujemy rowery poziome. Jeden odgrażał się nawet: „Jak nie przestaną ginąć rowery, to nie będziecie na tych cudakach jeździć" – wspomina Józef Majewski. I dodaje, że interaktywne muzeum stworzył, jeszcze zanim stało się to modne.

– Rowery to niejedyna moja pasja. Interesują mnie także turystyka, krajoznawstwo. Jako student byłem licencjonowanym przewodnikiem po Warszawie, później oprowadzałem turystów po Kazimierzu. Uznałem, że warto wypromować także leżący blisko Kazimierza, Puław i Nałęczowa mój rodzinny Gołąb, który może pochwalić się najpiękniejszym kościołem renesansowym w Polsce i jednym z najpiękniejszych domów loretańskich w Europie. Poza tym jest moda na ekologię, a rower to najbardziej ekologiczny pojazd. Nie tylko dlatego, że nie potrzebuje paliwa. Do jego wyprodukowania zużywa się mniej stali, mniej wody niż w przypadku samochodu. Nawet ze ścierających się rowerowych opon jest nieporównanie mniej pyłów niż z samochodowych – tłumaczy motywy powołania muzeum Józef Majewski.

Muzeum Nietypowych Rowerów zorganizował w gospodarstwie rodziców, w którym się wychował. Jednoślady wyeksponował w budynku, który dawniej służył za stajnię. Rowery nie tylko pokazuje zwiedzającym, lecz także podczas muzealnych lekcji opowiada ich historię, zdradza tajniki konstrukcji. Można się dowiedzieć np., że popularne w ostatnich latach rowerki biegowe dla dzieci to żadna nowość. – Pierwszym rowerem była maszyna biegowa skonstruowana przez niemieckiego wynalazcę Karla von Draisa na początku XIX w. Działała ona na tej samej zasadzie jak dzisiejsze rowerki biegowe – mówi muzealnik z Gołębia.

Muzeum Nietypowych Rowerów w Gołębiu to jedna z wielu oryginalnych placówek na mapie Polski. Bo choć przy-

eprasa.pl 10bcd3ca63

Muzeum Przestróg, Uwag i Apeli mieści się w dawnej kopalni złota w mieście Złoty Stok

FOT. MUZEUM PRZESTRÓG, UWAG I APELI

bywa nam wielkich muzeów, to w wielu zakątkach kraju znajdziemy placówki, często prywatne, które potrafią zadziwić swoimi kolekcjami. A Polacy coraz chętniej odwiedzają muzea. Od 2004 r. frekwencja w muzeach systematycznie rosła. W 2017 r. odwiedziło je 37,5 mln zwiedzających. W 2019 r. już 40,2 mln. Rok 2020 przyniósł spadek (16,6 mln odwiedzin), ale dane z roku pandemicznego nie są miarodajne.

ZWIEDZANIE ZA TABLICĘ

Oblężenie w czasie letniego sezonu przeżywa Złoty Stok w województwie dolnośląskim. „Namawiając do palenia i picia, obciążasz swoje sumienie", „Porządek w miejscu pracy to gwarancja bezpieczeństwa", „Po skończonej pracy załóż majtki" – to tylko kilka haseł z tablic wyeksponowanych w tamtejszym Muzeum Przestróg, Uwag i Apeli, które mieści się w dawnej kopalni złota. Historia muzeum liczy już niemal dwie dekady. – Na pomysł tej inicjatywy wpadliśmy, tworząc trasę turystyczną w kopalni – opowiada Michał Bagiński, przewodnik. – Szefowa uznała, że warto byłoby zawiesić w kopalni tabliczki z nietypowymi hasłami. Pierwsze znaleźliśmy w zamkniętych okolicznych zakładach. Potem pojawił się pomysł, by o różnego rodzaju tablice prosić odwiedzających nas turystów. W zamian za przywiezioną do nas tablicę z ciekawym hasłem mogą oni bezpłatnie zwiedzić kopalnię. Tak zaczęły trafiać do nas kolejne tabliczki z przestrogami, uwagami i apelami. Dzisiaj mamy ich ponad 200. To muzeum jest tworzone przez turystów – mówi Michał Bagiński.

Tablice z Muzeum Przestróg, Uwag i Apeli to głównie wspomnienia z minionego systemu. Wypisane na nich hasła zachęcają do podnoszenia efektywności na linii produkcyjnej czy przypominają o przestrzeganiu zasad BHP w zakładach („Noszenie chustki ochronnej obowiązuje każdą kobietę zatrudnioną przy maszynie"). Są i treści edukacyjne skierowane do rolników: „Rolniku! Nie myj jaj przed skupem", „Rolniku! Daj krowie, krowa da tobie". Wśród zgromadzonych tablic nie brakuje i tych o uniwersalnym przesłaniu – „Prosimy nie sikać do zlewu".

Kolekcjonować można nie tylko tablice, lecz także guziki. Poważnymi zbiorami tych ostatnich dysponuje Muzeum Guzików w Łowiczu. Ich część stanowią guziki osób znanych. W swoich zbiorach placówka ma m.in. guzik Dalajlamy i Jana Pawła II, Władysława Andersa i Ryszarda Kaczorowskiego, Katarzyny Bondy i Remigiusza Mroza, Aleksandra Doby i Tony'ego Halika. W ostatnich miesiącach placówka pochwaliła się na Facebooku serią sądowniczą – guzikami byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego Andrzeja Rzeplińskiego, sędziego Igora Tulei (i to nie byle jakim, bo od sędziowskiej togi!), a także jego pełnomocnika, mec. Jacka Dubois.

KUBEK DLA WĄSACZY

Będąc na Śląsku, koniecznie trzeba zajrzeć do Radzionkowa w powiecie tarnogórskim. Tam od 20 lat działa Muzeum Chleba, Szkoły i Ciekawostek. To efekt kolekcjonerskiej pasji założyciela – Piotra Mankiewicza. W muzeum, w którym zgromadził tysiące eksponatów, poczujemy się jak w dawnej piekarni. Wszystkiego można dotknąć – form, wag, koszy, łopat do chleba. – U nas jest inaczej niż w pozostałych muzeach. My nie mówimy zwiedzającym, do czego służą zgromadzone u nas przedmioty, my ich o to pytamy – opowiada Mankiewicza.

Zwiedzający oglądają specjalnie przygotowany film o chlebie, biorą udział w warsztatach formowania i wypieku plecionek z ciasta chlebowego i mogą wypieków spróbować.

W programie jest też prelekcja o szacunku do chleba oraz lekcja w odtworzonej dawnej klasie szkolnej, w której można nie tylko zasiąść w dawnych drewnianych ławach szkolnych, lecz także spróbować pisania rysikami na kamiennych tabliczkach. Na półkach gromadzących różne ciekawe przedmioty znajdziemy specjalny kubek dla wąsaczy (skonstruowany tak, by pijąc, nie umoczyli wąsa) i wahadłową pralkę.

– Dzieci podczas wizyt u nas tak wspaniale reagują, że nauczycielki nie mogą się nadziwić. Zachęcam też 40–50-latków, by zabrali do nas swoich rodziców. Zgromadzone u nas przedmioty pamiętają ze swojej młodości i nieraz widzę, że na ich widok mają mokre oczy. Ja zresztą też – mówi Piotr Mankiewicz. I dodaje, że kiedy wpadł na pomysł otwarcia muzeum, ludzie byli sceptyczni, pytali go, kto będzie chciał przyjść do muzeum w Radzionkowie. Tymczasem placówkę odwiedziło już 700 tys. zwiedzających.

W podróż do przeszłości można się udać, odwiedzając Muzeum Dobranocek w Rzeszowie. Powstało na bazie prywatnej kolekcji Wojciecha Jamy. Placówka chwali się unikatowymi zbiorami związanymi z historią polskiej i zagranicznej animacji dla dzieci. Starsi z nostalgią zajrzą do pokoju Misia Uszatka, przypomną sobie Reksia, Misia Coralgola czy Pingwina Pik-Poka, dla najmłodszych muzeum przygotowuje atrakcyjne warsztaty – m.in. takie, na których można poznać tajniki animacji, wprawić w ruch rysunki. Zainteresowanie placówką jest tak duże, że bilety najlepiej rezerwować on-line.

Wspominane tu muzea to zaledwie kilka z długiej listy tych nietuzinkowych. W Szklarskiej Porębie zaprasza Muzeum Taniego Wina, w Żabiej Woli znajdziemy Muzeum Żaby. W Muzeum Filumenistycznym w Bystrzycy Kłodzkiej można obejrzeć kolekcję przedmiotów do niecenia ognia oraz opakowania zapałek z całego świata.

Radość odwiedzających jest gwarantowana. Jak mówi Michał Bagiński, przewodnik z Muzeum Przestróg, Uwag i Apeli, od nich zwiedzający zawsze wychodzą uśmiechnięci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

Odmienne wojny 1920 r.

Krzysztof Dybciak

Zaskakujące jest niedocenianie historycznej wagi wojny polsko-sowieckiej. Wielu wybitnych pisarzy zupełnie pominęło ten temat, inni potraktowali go zbyt pobieżnie. Odmienność wartościowania wojny polsko-sowieckiej przez literatów i historyków daje do myślenia

Okres poprzedzający stulecie wojny polsko-bolszewickiej przyniósł sporo popularnych i naukowych publikacji historycznych traktujących o tym wydarzeniu dziejowym, w tym kilka niezwykle wartościowych, jak książki Andrzeja Nowaka i Grzegorza Nowika. Natomiast w zakresie literatury pięknej nie pojawiły się nowe dzieła na ten temat, mogliśmy tylko przeczytać czasem fragmenty większych utworów przedstawiające wydarzenia tamtej przełomowej kampanii wojskowej; w tej optyce najwybitniejsza estetycznie okazała się powieść Wiesława Helaka „Nad Zbruczem" wydana w 2017 r. Miłośnicy i badacze literatury skazani zostali na ponowne lektury wcześniej opublikowanych utworów – stuletni dystans umożliwiał nowe odczytania i zmiany wartościowania.

Cenne również były przypomnienia i nowe interpretacje literatury związanej z wojną Polski z sowiecką Rosją, w tym obszarze szczególne znaczenie ma pierwsza synteza artystycznego piśmiennictwa poświęconego temu wielkiemu wydarzeniu historycznemu – wedle określenia autora „zarys monograficzny", czyli liczący 338 stron (z załączoną antologią utworów, bibliografią oraz „Indeksem osób i tytułów" aż 647 stron) Macieja Urbanowskiego „Rok 1920 w literaturze polskiej" [Warszawa 2020 (właściwie 2021), Instytut Pamięci Narodowej i Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji]. Profesor Urbanowski dokonał analizy oraz interpretacji bardzo wielu utworów różnych gatunków i rozmaitej wartości.

eprasa.pl 10bcd3ca63

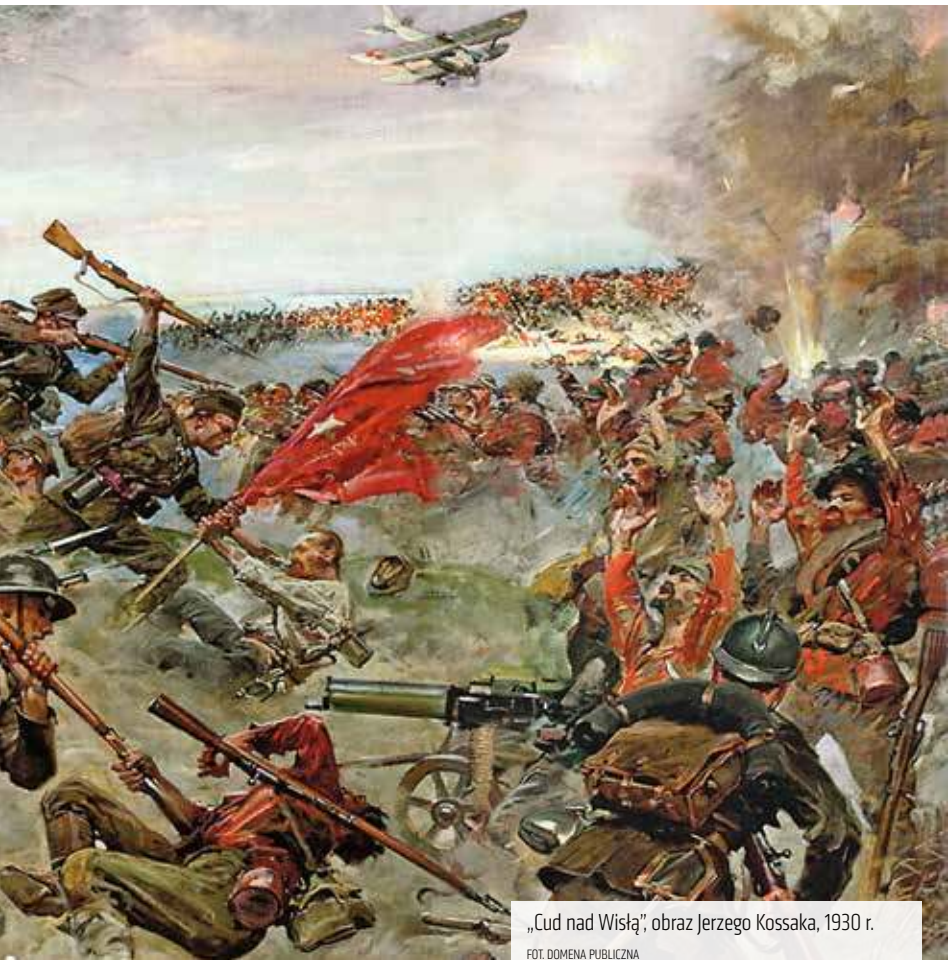

„Cud nad Wisłą", obraz Jerzego Kossaka, 1930 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dzięki jego poszukiwaniom i opisom możemy poznać niezwykle bogaty i cenny nurt naszej literatury XX-wiecznej.

Okazuje się, że o wojnie polsko-bolszewickiej pisali czołowi pisarze reprezentujący główne pokolenia i gatunki. Są tu niespodzianki, bo obok znanych i wcześniej komentowanych dzieł prozaików (Żeromski, Małaczewski, Rembek, J. Mackiewicz) swoje teksty poświęcili zwycięskiej kampanii najwybitniejsi poeci, zarówno koryfeusze okresu Młodej Polski, tacy jak Kasprowicz i Leśmian, jak też debiutujący w międzywojennym dwudziestoleciu skamandryta Kazimierz Wierzyński oraz czołowi lirycy awangard: pierwszej (krakowskiej) Julian Przyboś oraz drugiej (wileńsko-lubelskiej) Józef Czechowicz i Józef Łobodowski.

KONIEC I KLĘSKA

Porównanie dorobku pisarzy z dokonaniami historyków prowadzi do kilku wniosków natury ogólnej. Najlepsze dzieła literackie – na czele trzeba postawić powieści Józefa Mackiewicza „Lewa wolna" i Stanisława Rembeka „W polu" – ukazują ciemną stronę tamtej wojny o historycznym znaczeniu nie tylko dla Polski. Ich dzieła traktują o ciężkim życiu żołnierzy i cywilnej ludności: cierpieniach, strachu, zniszczeniach, głodzie, pocie i krwi. Kampania wojenna, która zadecydowała o przyszłości przynajmniej środkowej Europy (a w perspektywie następnych paru lat także zachodniej Europy), została przedstawiana, w fabularnej prozie najwybitniejszych pisarzy, jako niezwykle okrutna walka odczłowieczająca jej uczestników. Dodatkowo podkreślano problematyczność polskiego zwycięstwa, ponieważ nie osiągnięto celów politycznych i cywilizacyjnych – zagrażający światu w następnym okresie totalitaryzm rosyjskiego komunizmu nie został unicestwiony czy choćby odrzucony na pogranicze Europy i Azji. Ponadto Ukraina nie została wyzwolona, a kresowi Polacy znaleźli się poza granicami Rzeczypospolitej, nakreślonymi w traktacie ryskim, zmuszeni do życia w sowieckim państwie terroru (szczególnie akcentowany aspekt w „Nadberezyńcach" Floriana Czarnyszewicza oraz „Wojnie i sezonie" Michała Kryspina Pawlikowskiego). Jak skonkludował Maciej Urbanowski: „Rok 1920 ukazywany jest w »Nadberezyńcach« jako koniec i klęska. Nieprzypadkowo też powieść urywa się w styczniu tegoż roku" (s. 267).

Zwycięska wojna zapewniająca wolność kontynentalnej Europie została we wspomnianych czołowych dziełach literackich (albo we fragmentach większych utworów czołowych pisarzy, np. u Dąbrowskiej w „Przygodach człowieka myślącego" oraz „Sławie i chwale" Iwaszkiewicza) pozbawiona blasku i wielkości; wspomniani powieściopisarze rzadko opisywali heroiczny wymiar służby wojskowej czy świadomość żołnierzy uczestniczenia w tworzeniu historii, i to po dobrej stronie. U Józefa Mackiewicza obecna jest wyraźna chęć pomniejszenia wartości militarnej, zwłaszcza na poziomie dowodzenia, odmawiał szczególnie Piłsudskiemu oryginalności koncepcji strategicznej i taktycznej. Jego zdaniem plan Bitwy Warszawskiej był powtórzeniem manewru niemieckich wojsk z początku pierwszej wojny światowej. Celnie scharakteryzował powieść Mackiewicza o roku 1920 Andrzej Nowak: „Nie jako wielkie polskie zwycięstwo, ale rok utraconego honoru".

NARODOWY WYSIŁEK POLAKÓW

Inaczej patrzą i opisują wojnę 1920 r. historycy. Ich prace oparte na dokumentach, analityczne, coraz częściej porównawcze, wykazują dziejową wartość tej wojny, wyjątkową sprawność wojska i genialność pomysłów dowódców – zjawiska unikatowe na tle poprzednich dwóch wieków polskiej historii porażek militarnych. Im więcej czasu upływa, im więcej znamy faktów, tym bardziej rośnie wartość wojny z komunistyczną Rosją w latach 1919–1920. Teksty historyków prezentują mocne dowody ujawniające bohaterstwo żołnierzy, ofiarność i skuteczność wielofunkcyjnej działalności społeczeństwa, niezwykłe talenty generałów... Pracowicie i pomysłowo odtwarzana przez badaczy prawda tamtej rzeczywistości ujawnia znacznie więcej pozytywów niż negatywnych zjawisk.

Najnowsze badania historyków udowadniają, że rok 1920 nie był głównie wybuchem irracjonalnego patriotyzmu, emocjonalnego uniesienia, nieco archaicznej waleczności (na koniu z szablą w dłoni) i zmarnowanych szans. Owszem, czytamy o słabościach dowodzenia niektórych odcinków frontu w pierwszym okresie kampanii (zwłaszcza podczas

eprasa.pl 10bcd3ca63

odwrotu), o patriotycznej obojętności sporych grup społecznych i błędach pokoju zawartego w Rydze… Ale nowe badania odkrywają przede wszystkim walory narodowego wysiłku Polaków – ofiarną walkę synów ludu, sprawność kadry oficerskiej, umiejętne korzystanie z wiedzy naukowej i najnowszych osiągnięć technicznych. Co ważniejsze, nie tylko wykorzystywano osiągnięcia innych, lecz także twórczo rozwiązywano problemy, dokonywano oryginalnych wynalazków. Coraz więcej wiemy o dużej roli, jaką odegrało lotnictwo, a wtedy była to broń równie nowoczesna, jak po drugiej wojnie światowej pociski międzykontynentalne z głowicami jądrowymi. Ogromny wpływ na sukces wojenny miały dokonania naszych matematyków oraz inżynierów i techników, co udowodniły nowatorskie prace prof. Grzegorza Nowika – „Zanim złamano »ENIGMĘ« – rozszyfrowano »REWOLUCJĘ«. Polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918–1920" (cz. 1, Warszawa 2004; cz. 2, Warszawa 2010). Złamanie kodów wroga i możliwość odczytywania sowieckich szyfrogramów dały bezcenną wiedzę o ich zamiarach i ruchach wojsk – pozwoliło to uzyskać przewagę informacyjną skutkującą przewagą czysto militarną.

Literackie niedoszacowanie wojny z lat 1919–1920 wynikało również z kilku przyczyn niezależnych od pisarzy. Kampania polsko-bolszewicka nastąpiła zaraz po wielkiej wojnie, nazwanej później pierwszą wojną światową, co na pewno zmniejszyło wyjątkowość tej kampanii, jednak krótszej oraz angażującej mniej ludzi i materialnych środków. Naturalnym zjawiskiem jest też istnienie różnicy w czasie między wydarzeniami historycznymi a dojrzałymi artystycznie dziełami literackimi. To nie tylko przypadek „Wojny i pokoju" Lwa Tołstoja, ale prawidłowość powtarzająca się także w naszej literaturze. Pierwsza znakomita powieść o zbrojnym konflikcie polsko-komunistycznym to „W polu" Rembeka z 1937 r. (przypomnijmy, że pierwsza wybitna powieść o wielkiej wojnie „Sól ziemi" Józefa Wittlina ukazała się tylko rok wcześniej). Druga wojna światowa znów zrelatywizowała skalę kampanii z bolszewikami, a skutki dziejowego kataklizmu w postaci komunistycznego zniewolenia uniemożliwiły pisanie na ten temat autorom mieszkającym w kraju.

MACIEJ URBANOWSKI „ROK 1920 W LITERATURZE POLSKIEJ" KRAJ 2020

Mimo wspomnianych wyżej okoliczności zaskakuje nas jednak niedocenianie historycznej wagi wojny polsko-sowieckiej. Wielu wybitnych pisarzy zupełnie pominęło ten temat, inni potraktowali go zbyt pobieżnie. Znakomite pisarki obdarzone epickim talentem – Maria Dąbrowska i Zofia Kossak – wolały poświęcić swe cykle powieściowe wydarzeniom przeszłości: bliższej w „Nocach i dniach" oraz dalekiej w epopei o wyprawach krzyżowych (poza dydaktycznym opowiadaniem Kossak „Pod Zadwórzem"). Także najważniejsze dzieło późnej twórczości Stefana Żeromskiego mające ambicje prezentacji procesów i wydarzeń początków niepodległości potwierdza powyższe spostrzeżenie o niedocenianiu wagi tamtej wojny. W „Przedwiośniu" autor poświęca jej mało miejsca, co można udowodnić obiektywnie, wręcz liczbowo. Fragment wojenny z 1920 r. liczy sześć stron, natomiast opis ziemiańskiego balu aż 20 (w wydaniu z 1971 r. liczącym 230 stron tekstu).

Rewizjonizm pisarski i postawa krytyczna prowadziły do podobnych pesymistycznych wniosków twórców zajmujących skrajnie odmienne stanowiska estetyczne, polityczne i światopoglądowe. Przeczerniony obraz kampanii 1920 r. znamienny jest dla antykomunistów Mackiewicza, Pawlikowskiego, Sergiusza Piaseckiego, a także dla politycznego koniunkturalisty i filozoficznego pesymisty Iwaszkiewicza, nie wspominając o autorach komunistycznych.

NIEPRZEWIDZIANY PARADOKS

Ta odmienność wartościowania wojny polsko-sowieckiej przez literatów i historyków daje do myślenia. Można nawet wyciągać ogólne wnioski o naturze historiografii i nowoczesnej literatury (zwłaszcza powieści), nade wszystko tej o tematyce historycznej. Naukowe odsłanianie mechanizmów, struktur i wydarzeń dziejowych oparte na rekonstruowanych faktach, zgodne z logicznymi zasadami i poznawczymi procedurami, ukazało obiektywnie wartość kampanii 1920 r. Natomiast literackie przedstawienie ówczesnej rzeczywistości, oparte na indywidualnym doświadczeniu autorów-uczestników wojennych wydarzeń, a więc subiektywne i poznawczo ograniczone, dało obraz pesymistyczny i demaskatorski, wizję krwawych wydarzeń nieprzynoszących sukcesów.

Stykamy się tu z paradoksem, chyba nieprzewidzianym przez znakomitych powieściopisarzy. Ich demitologizujące założenia i realistyczne realizacje miały zdemaskować romantyczną aurę otaczającą żołnierską walkę i (bez)sens wojny, nawet tej z lat 1919–1920. Ale ich dzieła przyznające rację perspektywie subiektywnej, broniące jednostki ludzkiej, jej biologicznego istnienia, wyolbrzymiające cierpienia lub zło działań uczestników wojny są w istocie stanowiskiem romantycznym, w jego filozoficznej istocie. Naturalistyczna technika służy humanitarnemu idealizmowi i przyznaje rację jednostkowemu doświadczeniu, pomijając polityczny (czyli dotyczący wspólnego dobra) i historiozoficzny sens zwycięskiej kampanii – nawet za cenę historycznej prawdy oraz wbrew logice wojennych wydarzeń i dalszych skutków.

Los kilkuset tysięcy rodaków pozostających, po zawarciu pokoju w Rydze, w komunistycznym państwie przysłonił literatom ocalenie wolnego bytu kilkuset milionów Europejczyków, nawet jeśli ludność środkowej Europy zyskała swobodę tylko na 20 lat. Krwawe rzemiosło i cierpienia kilkuset tysięcy żołnierzy (w dużej części ochotników) nie mogą przeważyć faktu ocalenia od cierpień milionów mieszkańców krajów zagrożonych wtedy komunistycznym zniewoleniem. Nasi autorzy powinni pamiętać, że w całej historii ludzkości militarne działania były konieczną ceną zachowania istnienia i rozwoju społeczeństw. Artystyczna siła prozy czołowych prozaików piszących o polsko-bolszewickiej wojnie musi wywoływać pacyfistyczne nastroje i poglądy, których nie akceptowali Florian Czarnyszewicz, Józef Mackiewicz, Sergiusz Piasecki, Stanisław Rembek, którzy przecież wiedzieli, iż są okoliczności zmuszające do prowadzenia wojny, szczególnie z XX-wiecznymi totalitaryzmami.

Po lekturze utworów o wojnie z komunistycznym totalitaryzmem w latach 1919–1920 nasuwa się jeszcze jeden wniosek, najogólniejszy i nawet krzepiący. Ludzkie działania widziane i przeżywane od środka przez uczestników lub bezpośrednich świadków mogą często wydawać się daremne, bolesne, przynoszące zło. Ale obserwowane z zewnątrz, oceniane z czasowej i przestrzennej perspektywy, ukazują swój sens i obiektywną wartość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

Najlepsze książki o naszej historii!

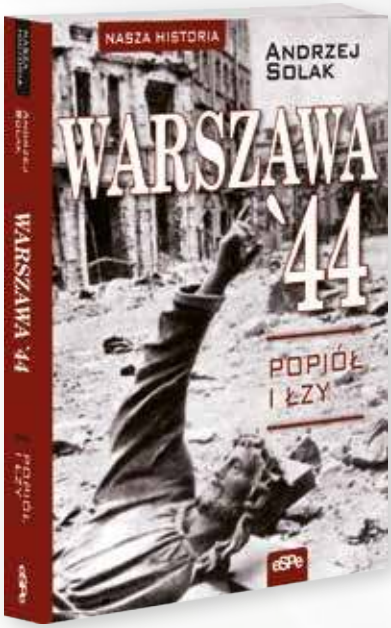

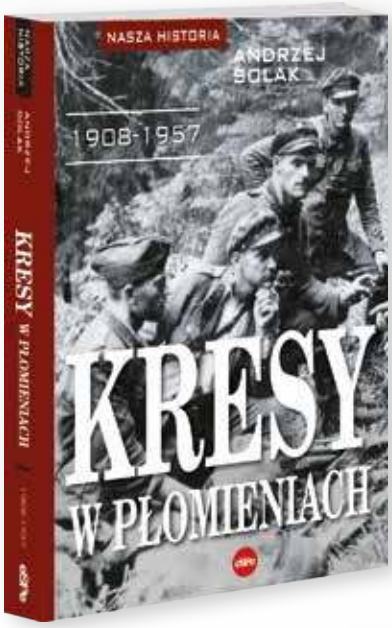

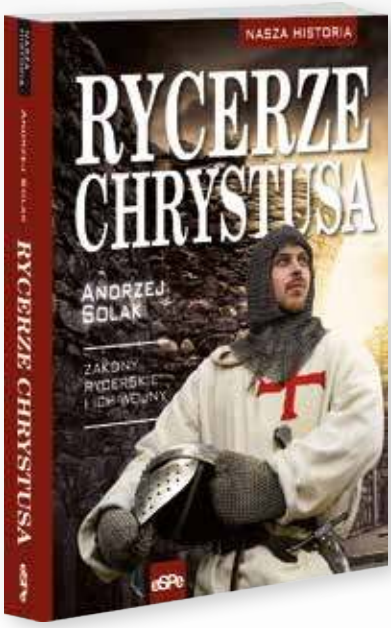

Zapraszamy na

boskieksiążki.pl

Dodatkowy rabat 10% z kodem ESPE

Przesyłka GRATIS dla zamówień pow. 100 zł!

eSPe

Zamawiaj telefonicznie: **603 957 111**,
mailowo: **ksiegarnia@boskieksiazki.pl** lub na: **boskieksiazki.pl**

eprasa.pl 10bcd3ca63

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Dusza na ramieniu

★★★★☆☆

REŻ. PETE DOCTER I KEMP POWERS
„CO W DUSZY GRA" („SOUL")
USA 2020

animowany, DVD i Blu-ray

W przededniu życiowego przełomu (angażu w znanym zespole jazzowym) podrzędny pianista zamiast na scenę trafia w zaświaty. Śmierć nie wybiera, nie znamy dnia ani godziny. Zbuntowany Joe nie chce jednak wraz z innymi duszyczkami ruszyć w stronę światła, lecz desperacko walczy o powrót do świata żywych. Wkrótce jego los okaże się powiązany z innym buntownikiem: duszyczką numer 22, której dotąd nikt nie był w stanie wysłać na Ziemię.

Wizerunek zaświatów w nowym filmie Pixara jest nieco niepokojący. Z jednej strony to dobrze, że Hollywood przyznaje, iż dusza istnieje. Z drugiej sugestia, że dziwaczne istoty wyglądające jak szkice Picassa decydują o tym, kto urodzi się z jakim charakterem i talentem, brzmi jak pomysł autora jakiejś metafizycznej antyutopii. No i skoro istnieją prócz zaświatów także przedświaty, gdzie duszyczki są selekcjonowane i trenowane jeszcze przed ich wysłaniem na Ziemię, to jak wygląda kwestia aborcji? W której chwili duszyczki zaczynają swoją karierę? Aha, jeszcze jedno – dlaczego załoga zaświatowego statku pomagającego zagubionym duszom to wyłącznie jakieś pajace New Age?

„Co w duszy gra" koncentruje się na innej kwestii: co właściwie jest w życiu ważne. Jak w niejednym hollywoodzkim hicie dostaniemy zderzenie dwóch punktów widzenia: jeden z bohaterów zbyt zafiksowany jest na swojej obsesji, by dostrzec coś więcej, drugi oczami niewinnymi widzi piękno świata. Obaj będą się mieli czego od siebie nauczyć. Amerykańscy krytycy chwalą też film za to, że jego główny bohater jest czarnoskóry i że mnóstwo jazzowej muzyki to odpowiednia afirmacja czarnej kultury, której w animacjach dotąd brakowało. Muzyka świetna (nagrodzona Oscarem), ale złośliwie wytknę, że w zaświatach wszyscy, jak się okazuje, niezależnie od narodu, wiary i rasy, są niebiescy i lekko świecą – czy to aby nie afront?

Jest to opowieść najlepsza w chwilach, gdy idzie w absurdalny humor (łącznie z biurokratyczną koncepcją życia po śmierci), słabsza robi się tam, gdzie ma chwytać za serce i wyciskać łzę, bo opowiastek o zamianie dusz trochę już w kinie widzieliśmy. Na szczęście koncept służy nie tylko komediowym gagom, czego dowodem scena u fryzjera, kiedy to samotnik Joe odkrywa, że trzeba umieć słuchać, by być wysłuchanym, i rozumieć – by być zrozumianym. ©℗

NOWE SERIALE: „CUDOTWÓRCY: SZLAK OREGOŃSKI"

Trzeci sezon prześmiewczej antologii wedle pomysłu pisarza i satyryka Simona Richa. Każdy opowiada inną historię, zachowując trzon obsady. „Szlak oregoński" to opowieść, której akcja rozgrywa się w roku 1840. Mieszkańcy miasteczka dotkniętego nieurodzajem i zarazą ruszają w podróż do Oregonu. Ich przewodnikami są dobroduszny ksiądz (Daniel Radcliffe) oraz poszukiwany przez stróżów prawa złoczyńca (przezabawny Steve Buscemi). Humor w stylu komedii „Milion sposobów, jak zginąć na Zachodzie", czyli niewybredny. ©℗ *Piotr Gociek*

- *sezon 3 „Cudotwórcy: Szlak oregoński", USA 2021*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 2 „Truth Be Told", USA 2021* tv
- *reż. John Sheedy „Szczęściara" („H Is for Happiness"), Australia 2019* CINEMAX
- *reż. Gregory Kirchhoff „Syndrom Baumbachera" („Baumbacher Syndrome"), Niemcy 2019*

eprasa.pl 10bcd3ca63

Jak zostać królem

KINO

Magia i miecz z przewagą magii. Bożonarodzeniową ucztę zakłóca wizyta dziwacznego rycerza. Intruz rzuca zebranym wyzwanie, które podejmuje syn królewskiej siostry Gawen, wałkoń, moczymorda i cudzołożnik. Autorzy filmu bezwstydnie przenicowali okołoarturiańską legendę, którą w swoim czasie zachwycił się J.R.R. Tolkien. Gawen, zmierzając ku przeznaczeniu, musi wykazać się cnotami wojownika i chrześcijanina (co czasem bywa sprzeczne), zachowując przy tym głowę na karku. W średniowiecznym poemacie wyszedł z tych prób zwycięsko. Tutaj wędrówka młodziana przez posępne lasy i zamglone wzgórza rychło zamienia się w antybaśń o zdradzie ideałów, która (do pewnego momentu) popłaca. „Zielony rycerz" jest ucztą dla oka. Lowery skomponował kadry godne prerafaelitów. Dev Patel, dzieciak z oscarowego „Slumdoga", wyrósł na dobrego aktora. Fantasmagoryczny spektakl z pewnością ucieszy estetów tudzież tropicieli ukrytych sensów i symboli. Reszta populacji machnie nań ręką. W Polsce rycerski etos zaistniał słabo, więc i jego dekonstrukcja mało kogo kręci. Odwieczny dylemat: czy martwy lew jest lepszy od żywego psa, wolimy rozważać na przykładzie powstań narodowych i żołnierzy wyklętych. Okrągły stół nie kojarzy nam się zaś z królem Arturem, lecz z gen. Kiszczakiem. Taki mamy klimat. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. DAVID LOWERY
„ZIELONY RYCERZ" („GREEN KNIGHT")
IRLANDIA/USA 2021

wyst. Dev Patel, Alicia Vikander, Sean Harris

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POLSKA KROWA

KINO

O Wandzie, co nie chciała Helweta, chociaż bardzo lubiła franki szwajcarskie. Film odwołuje się do, rozpowszechnionego już w czasach ancien régime'u, przekonania, że lokaje mają mniej zryte berety od swych chlebodawców. Obowiązki opiekunki 70-letniego, schorowanego biznesmena Wanda wypełnia wzorowo, jednak wprowadza tęgie zamieszanie w już i tak dysfunkcyjnej familii. Za jej sprawą willa nad alpejskim jeziorem stanie się niemym świadkiem serii skandali. Niestety, gdy na ekranie pojawia się (w towarzystwie krowy Matyldy) Cezary Pazura, dochodzi do fabularnego tąpnięcia. To nie wina aktora, lecz scenarzystów, który beztrosko przekraczają granicę dzielącą lekką komedię od ciężkiej farsy. Za dużo tu zwrotów akcji oraz żonglowania stereotypami. Jeśli emigracja zarobkowa wciąż jawi się Polakom jedyną szansą na godne życie, to może warto by nakręcić remake „Biletu powrotnego" Petelskich?

★★★☆☆☆

REŻ. BETTINA OBERLI
„MOJA CUDOWNA WANDA" („WANDA, MEIN WUNDER")
SZWAJCARIA 2020

wyst. Agnieszka Grochowska, Marthe Keller, André Jung

MISJA: PRZEŻYĆ

vod.pl

Niepotrzebna bitwa być może niepotrzebnej wojny to wspaniały temat dla pacyfisty, który szczęśliwie trafił w ręce fachowców. „Kamdesh" (książka i film) swoje powstanie zawdzięczają irracjonalnej decyzji jankesów, by jedną z afgańskich baz zbudować w miejscu podatnym na ataki, po czym zapomnieć o jej umocnieniu i dozbrojeniu załogi. Talibowie skorzystali z zaproszenia, co zaowocowało zaciętą i krwawą batalią. O wyniku zadecydował czynnik ludzki. Akcja wolno się rozkręca, lecz ponoć taka właśnie jest wojna: najpierw nuda, potem rollercoaster. Jak na mój gust, cywila, Lurie i spółka popełnili dzieło realistyczne i odarte z patosu, choć lejące miód na serca fanów US Army. Zabawne, że nuristańskie krajobrazy znaleziono w Bułgarii. Progenitura Eastwooda, Jaggera i Gibsona też stanęła na wysokości zadania. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★★★☆

REŻ. ROD LURIE
„KAMDESH. AFGAŃSKIE PIEKŁO" („THE OUTPOST")
USA/BUŁGARIA 2020

wyst. Scott Eastwood, Orlando Bloom, Caleb Landry Jones

GRA TYGODNIA: „MICROSOFT FLIGHT SIMULATOR"

★★★★★★

Dostajemy do dyspozycji cały świat. Możemy polecieć nad Himalaje, obejrzeć z bliska piramidy, manewrować między wieżowcami metropolii czy wylądować hydropłazem pośród rajskich wysepek. Dokąd większość graczy wybiera się w pierwszy lot? Sądząc po komentarzach w sieci (i bazując na własnym doświadczeniu) – szukać dachu własnego domu. Najnowszy „Microsoft Flight Simulator" trafił na PC przed rokiem, niedawno wylądował na Xbox Series X/S. Nie trzeba być pasjonatem lotnictwa, by pokochać tę grę. Prezentuje się obłędnie (zwłaszcza na XSX), pozwala bawić się pogodą, działa płynnie i dostarcza rozrywki na wiele godzin... Jeśli dziś poniedziałek, to jestem w Rzymie. Ciao! ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Symulator lotniczy*
- ***Platforma:*** *XSX, XS, PC*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Asobo Studio, Xbox Game Studios*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 10bcd3ca63

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Będziecie jako bogowie

Tę książkę trzeba mieć w domowej bibliotece, bo bez wiedzy o dwutysiącletniej historii chrześcijaństwa, o dziejach Kościoła nie zrozumiemy nie tylko naszej przeszłości, lecz także teraźniejszości. Tym bardziej że autor „Świętości, upadków i nawróceń", prof. Wojciech Roszkowski, nie zasklepia się w swoich rozważaniach w archiwaliach, a „wczoraj" interesuje go głównie z uwagi na to, jaki wpływ wywiera na „dziś". Dlatego też radzę, by tę jego „Historię chrześcijaństwa", zanim odłożymy ją na półkę regału, od razu przeczytać. Bo i czas mamy dla takiej lektury wprost wymarzony.

Nie możemy się przecież oprzeć wrażeniu, że znaleźliśmy się w bardzo ważnym, a także niebezpiecznym punkcie dziejów chrześcijaństwa, a Kościoła katolickiego w szczególności. Wierni pocieszają się, że z Boską pomocą nie z takich terminów wcześniej się wydobył, ale na własne oczy widzimy, jak – nie tylko z powodu pandemii – świątynie pustoszeją. Także w Polsce. Profesor Roszkowski uspokaja nas, przytaczając dane statystyczne, wskazujące na to, że rzeczywiście ilościowo czy procentowo sytuacja w świecie niewiele się zmieniła, a jednak udział katolików w ludności Europy maleje. O tym zaś, że koszula najbliższa jest ciału, nie trzeba nikogo przekonywać. Niepokoi to, że zwłaszcza w młodym pokoleniu rośnie poparcie dla małżeństw homoseksualnych, aborcji na życzenie, eutanazji czy genderyzmu. „Hasło, że »człowiek sam się stwarza«, najlepiej pokazuje, jak dalece współczesne społeczeństwa zachodnie uległy pokusie węża z Księgi Rodzaju, który obiecywał, że »będziecie jako bogowie«".

Niemal w każdej sprawie mającej związek z Kościołem zderzamy się z dezinformacją. Trudno o bardziej wymowny przykład jak ten, który m.in. znalazł się w książce Wojciecha Roszkowskiego: oto masa ludzi, także wiernych, przekonana jest, że Galileusz za swoje poglądy został spalony na stosie. Owszem, poddany był aresztowi domowemu, skłoniono go do wyparcia się głoszonych wcześniej poglądów, ale męczennikiem jako żywo nie był. Skąd więc wzięło się to przeświadczenie? Charakterystyczne jest, że inny znakomity umysł swojej epoki, sławny chemik Antoine Lavoisier, został w 1794 r. zgilotynowany, a sędzia orzekł: „Rewolucja nie potrzebuje uczonych". Tak się jednak składa, że wiedza o tym fakcie jest znikoma.

FOT. MICHAŁ WOZNIAK/EAST NEWS

Za sprawą niechętnych Kościołowi, za to chętnie pouczających go mediów, zgotowano Watykanowi mocno negatywny PR. Przy każdej okazji, a i bez niej, wyciągane są na wierzch ciemne sprawy inkwizycji oraz prawdziwe i wymyślone grzechy jezuitów, który to zakon bez sensu rozwiązał papież Klemens XIV w XVIII w. A już fascynujące dzieło jezuickie – republika Guaranów w Ameryce Południowej – jest mało spopularyzowane, mimo tego że był to – cytuję – „najbardziej udany, choć fatalnie zakończony kolektywistyczny eksperyment społeczny w historii".

Z historii należy wyciągać wnioski. Pewien francuski uczony pisał: „Znak czasu. Polska została unicestwiona – mówimy o zaborach – przez trzech władców należących do trzech wyznań chrześcijańskich: katolickich Habsburgów, prawosławnych Romanowów i protestanckich Hohenzollernów. Europa nie zadrżała, papież nie zdobył się na żaden skuteczny gest. Królowali Machiavelli i Wolter". No właśnie, na koniec dochodzimy do papieży i – nie waham się użyć tego słowa – ich jakości.

Przypomnę tu, że izraelski Kneset w 1998 r. zażądał wstrzymania procesu beatyfikacyjnego Piusa XII. Jakim prawem? Papież Benedykt jednak w pewnym momencie wstrzymał ów proces. A przecież Pius XII, pogardliwie i niezgodnie z faktami nazywany papieżem Hitlera, dopomógł uratowaniu od śmierci tysięcy Żydów, za co dziękowała mu m.in. Golda Meir, a rabin Rzymu przeszedł na katolicyzm. Z drugiej strony niewierzący i osobiści nieprzyjaciele Pana Boga biją dziś brawo papieżowi Franciszkowi za te jego posunięcia, które ewidentnie sprzyjają ograniczeniu bądź likwidacji kościelnego sacrum. Oczywiście można przekształcić świątynie w galerie wystawowe i sale teatralne, tylko że niech kto inny tym się zajmuje. Nie brakuje katolików, dla których są to miejsca, w których odprawiane powinny być msze święte, te trydenckie również lub przede wszystkim.

W końcowej partii świetnej książki prof. Roszkowskiego natknąłem się na fragment, który ma moc przesłania: „Postmodernizm zabił filozofię. Jest ona dziś najczęściej oderwana od rzeczywistości. Irracjonalnie zajmuje się sama sobą przy użyciu wymyślanych ad hoc, nic niewyjaśniających pojęć. […] Człowiek, który używa rozumu, musi dojść do przekonania, że ponieważ wiedza nie daje pewności, wiara jest nadal niezbędna". Niech Państwo przemyślą te słowa. ©℗

★★★★★★

WOJCIECH ROSZKOWSKI „HISTORIA CHRZEŚCIJAŃSTWA. ŚWIĘTOŚCI, UPADKI I NAWRÓCENIA" TOM 1 – „OD URODZIN JEZUSA DO UPADKU KONSTANTYNOPOLA" TOM 2 – „OD XVI DO XXI WIEKU"
BIAŁY KRUK, KRAKÓW 2021

CZYTAJ TAKŻE FELIETON WOJCIECHA ROSZKOWSKIEGO NA STRONIE 81

eprasa.pl 10bcd3ca63

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Diabelska alternatywa

Po wielokroć przywołuje Wierzbicki hasło „Bóg, honor, ojczyzna" – po to, by tłumaczyć, że środkowej części już nie da się traktować poważnie (stąd tytuł książki). Utracona cześć to zarazem utracona suwerenność – oby nie było z nią tak jak z honorem, który można stracić, lecz nie można go zdobyć. Coś niedobrego dzieje się z Europą, a coś głęboko niepokojącego z Polską, skoro dawny orędownik integracji europejskiej dziś pisze paszkwil na Unię, w którym nie tylko gorzko ocenia działania brukselskich elit, lecz także ma olbrzymie pretensje do prawicy o to, że nie broni nas przed europejskim zamordyzmem. Dostrzega także tragizm wyboru: poddanie się procesom federalizacyjnym w UE jest dla polskiej niepodległości i niezależności śmiertelnie niebezpieczne, ale wyjście w Unii niczego nie rozwiązuje. Można dyskutować – tak wynika z argumentacji Wierzbickiego – czy byłoby to zło równie wielkie czy mniejsze.

Wszelkie te rozważania okazują się diabelską alternatywą i naznaczone są tragizmem. Wierzbicki broni wyboru z roku 2004, gdyśmy do UE wstępowali, wie doskonale, czym groziło wówczas pozostanie poza strukturami europejskimi. Tym boleśniejsza jest świadomość, w jak bardzo innej (i w zwinny sposób „zjednoczonej") Europie dziś się znajdujemy. Dobrym wyjściem byłoby twarde walczenie o prawa swoje i innych wewnątrz. W końcu – jak śpiewał Młynarski – „Kto się stawia, ten ma z tego mimo wszystko jakiś zysk, a kto słucha i ulega, ten najpierwszy bierze w pysk". Tyle tylko że każda próba utwardzenia stanowiska wywołuje histeryczną kontrakcję miejscowych brukselczyków.

Nie o pieniądze europejskie tu chodzi, nie o hierarchie władzy, lecz o sfałszowanie demokracji. Która kiedyś była po prostu demokracją, teraz może być tylko „liberalna" – dziwi się Wierzbicki. „A gdy wybory wygrywają, powiedzmy, konserwatyści czy chrześcijańscy demokraci? Przymiotnik »liberalna« jest właśnie warunkiem zaporowym wymierzonym w podobne sytuacje" – wyjaśnia autor. Znów w dziejach Europy nadeszła chwila, gdy „demokracja zaczyna przeszkadzać". Co robić? W którąkolwiek stronę spojrzeć, powtórzę, diabelska alternatywa. ©℗

★★★★☆☆
PIOTR WIERZBICKI „BEZ HONORU" WYDAWNICTWO SIC! 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

To nie jest opowieść o transmutacji substancji, lecz o tym, jak w biznesie i marketingu zręczne wykorzystanie wiedzy o ludzkich zwyczajach, przesądach i niekonsekwencjach przynosi zaskakująco dobre rezultaty. Bądźmy czujni.

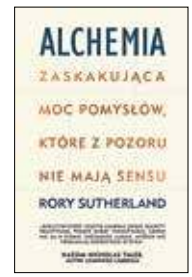

RORY SUTHERLAND „ALCHEMIA" ZYSK I S-KA

Antologia bardzo osobista: poeci polscy i zagraniczni, współcześni i klasycy, żyjący i nieżyjący. Każdego reprezentuje jeden wiersz wzbogacony o opowieść Ilga albo o znajomości z autorem, albo o powodach zauroczenia jego dokonaniami.

JERZY ILG „MÓJ PRZYJACIEL WIERSZ" ZNAK

„Wszystkie nasze ciała to księgi krwi: Gdy nas otworzyć, widać czerwień" – tym hasłem pisarz podbił świat horroru, wydając w latach 1984–1985 sześć zbiorów oryginalnych opowiadań. Wznowienie w twardej oprawie i dwóch częściach.

CLIVE BARKER „KSIĘGI KRWI" WYDAWNICTWO MAG

Autor „Stulecia chirurgów", „Stulecia detektywów" i innych bestsellerów non-fiction tym razem o początkach transplantologii – znakomitym stylem i ze znawstwem. Wznowienie książki wydanej po raz pierwszy w Polsce w 1973 r. ©℗ ***Piotr Gociek***

JÜRGEN THORWALD „PACJENCI" WYDAWNICTWO MARGINESY

KOMIKS TYGODNIA: „SEKRET NADLUDZKIEJ SIŁY"

Świetnie narysowana i opowiedziana kronika pewnej obsesji, która zamienia się w coś na kształt politycznego credo współczesnej lewicy. Komiksowe alter ego Bechdel przez ponad pół wieku zmaga się ze słabościami ciała, zanurzając się coraz bardziej w fitness wszelkiego rodzaju. „W zdrowym ciele zdrowy duch" – to Polacy wiedzą od dawna (z praktyką gorzej), ale nie zgodziliby się z tezą autorki, że nieodzownymi dodatkami do ćwiczeń fizycznych muszą być buddyzm, miłość do Partii Demokratycznej oraz ruchu Black Lives Matter. Bechdel wierzy w to, co pisze – dla nas to ciekawa okazja, by zajrzeć w duszę liberała. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

ALISON BECHDEL „SEKRET NADLUDZKIEJ SIŁY" TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2021

eprasa.pl 10bcd3ca63

Folk, naturalnie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

– Folk to muzyka, która nie potrzebuje myślenia. Siedzisz sobie w kuchni albo przy jakimś ognisku, a folk po prostu gra. Ta muzyka płynie – mówiła w rozmowie z Czwórką urodzona w Kanadzie Paula Bialska z indie-folkowego duetu Paula i Karol. – W Kanadzie są oczywiście festiwale muzyczne, ale także mnóstwo mniejszych wydarzeń. Po prostu w sobotę możesz przyjść i posłuchać albo pograć. Nikt się nie spina. Ludzie ze sobą grają, nie ma musu, żeby skończyć szkołę muzyczną, trzymać się wiernie kanonów. Muzyka jest wszędzie i z tego wynika tam folk – dodawała.

Do Polski Paula przyjechała w wieku 22 lat. To tu zaczęła grać na poważniej. Karola Strzemiecznego poznała w Warszawie przez swoje współlokatorki. Od początku duet tworzył w języku angielskim. Bo i nie ograniczał się tylko do polskich scen. To w kraju nad Wisłą dali najwięcej koncertów, ale występowali też m.in. w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, we Francji, w Norwegii czy Holandii. Zanim otworzyły się dla nich międzynarodowe sceny, własnymi siłami wydali swój pierwszy album, epkę „Goodnight Warsaw". Chwyciło. Jeszcze w tym samym, 2010 r., wydali krążek „Overshare", tym razem już we współpracy z wytwórnią. Duet wzmacniał się współpracą z kolejnymi muzykami, owocującą coraz bardziej urozmaiconymi brzmieniami. W roku 2012 wypuścili „Whole Again", dwa lata później epkę „Someday", później „Heartwash" (także 2014 r.), a w 2017 r. „Our Town".

Niedawno pojawił się piąty w historii zespołu długogrający album – „Lifestrange". To osiem utworów napisanych i wykonanych przez duet, które Karol określa jako utwory, w których obecny jest folk, ale które „inspirowane są latami 70., zabarwione soulowo, troszkę beatlesowskie". Projekt współtworzą Jakub Czubak (bas), Igor Nikiforow (perkusja) i Krzysztof Pożarowski (gitara elektryczna). ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Publiczne dorastanie

Jest laureatką siedmiu nagród Grammy i trzech MTV Video Music Awards otrzymanych za debiutancki album „When We All Fall Asleep, Where Do We Go?". Płyta przyniosła siedem singli i rozeszła się w ponad sześciomilionowym nakładzie. W Polsce sprzedano 80 tys. krążków.

Eilish, wchodząc w dorosłe życie, nie poddała się presjom i nagrała z pomocą brata – producenta Finneasa – osobistą płytę, na której eksperymentuje, mieszając muzyczne gatunki. Wprawdzie dominują na niej nostalgiczne trip-hopowe i boom-bapowe brzmienia, ale jednocześnie Billie znalazła inspirację w twórczości choćby gwiazd lat 50. – śpiewającej aktorki Julie London i piosenkarki Peggy Lee.

Na drugim albumie Eilish przeobraziła się z nastolatki przerażającej sąsiadów w pewną siebie młodą kobietę z problemami egzystencjalnymi. W kolejnych piosenkach opisuje doświadczenia związane z: byciem sławnym („Getting Older"), mizoginią („Your Power"), hejtem („Not My Responsibility") czy uprzedmiotowieniem przez media („OverHeated"). Atmosferę nastrojowych medytacji burzy kilka klubowych nagrań w rodzaju singlowego „Therefore I Am", pulsującego głębokim basem i gęstym beatem „Oxytocin" czy rozpoczynającego się anielskimi chórkami „Goldwing". W utworze tytułowym Eilish wraca do swych alt-rockowych korzeni. Jako całość album udowadnia, że Billie Eilish z pewnością nie będzie gwiazdką dwóch sezonów. ©℗

★★★★★☆

BILLIE EILISH
„HAPPIER THAN EVER"
DARKROOM/ INTERSCOPE

★★★☆☆

RÓŻNI WYKONAWCY
„MĘSKIE GRANIE 2010–2019"
MYSTIC

Płyta podsumowująca 10 lat istnienia objazdowego festiwalu zawiera 10 hymnów „Męskiego Grania". Od „Wszyscy muzycy to wojownicy" Wojciecha Waglewskiego do „Sobie i wam" Katarzyny Nosowskiej i Marcina Bacuka sprzed dwóch lat.

★★★★☆☆

PRINCE
„WELCOME 2 AMRICA"
SONY

Pierwotnie album miał się ukazać w 2010 r. Książę wydał jednak marną płytę „20Ten", która była rozdawana w Wielkiej Brytanii wraz z tabloidem „Daily Mirror". „Welcome" to typowy album dla ostatniej dekady twórczości Prince'a. Miło się go słucha, ale wielkich nagrań tu nie ma. ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

TR Warszawa – solidny mieszczański teatr

FOT. NATALIA KABANOW

Grzegorz Kondrasiuk

W październiku „Cząstki kobiety" wrócą na scenę. Naprawdę warto się wybrać do ATM Studio na ten smutny, ale i dający cień nadziei spektakl

W lipcu TR Warszawa na festiwalu w Awinionie pokazywał jedną ze swoich przedpandemicznych premier, „Cząstki kobiety" w reżyserii Kornéla Mundruczó. Spektakl zebrał znakomite recenzje, owacje na stojąco, gratulacje francuskich artystów, zaproszenia na kolejne wielkie europejskie festiwale. Rzecznik prasowy teatru Roman Pawłowski, który na bieżąco relacjonował te sukcesy w mediach społecznościowych, zaapelował o zorganizowanie oficjalnego, państwowego powitania zespołu na Okęciu, z udziałem prezydenta (to nie żart!). Uroczyste państwowe powitanie, o ile wiem, nie odbyło się, natomiast przed początkiem kolejnego sezonu koniecznie trzeba o istnieniu tego znakomitego dzieła, piszę to bez ironii, przypomnieć. W październiku „Cząstki kobiety" wrócą na scenę. Naprawdę warto się wybrać do ATM Studio na ten smutny, ale i dający cień nadziei spektakl. Teatralne oszustwo służy w nim do obnażenia prawdziwych, dotykalnych dramatów egzystencji: śmierci w rodzinie i obumierania więzi z najbliższymi.

„Cząstki kobiety" opowiadają historię rodzinną, bliską powszechnym doświadczeniom, która mogłaby rozegrać się tuż obok, za ścianą, w najbliższym sąsiedztwie. Konflikty pokoleniowe, mąż utracjusz, różne sposoby emancypowania się córek, wredni zięciowie, demony przeszłości, zdefraudowane pieniądze… Ale ponad poziom dramatu obyczajowo-psychologicznego, stworzonego trochę jakby z Zapolskiej, a trochę z Ibsena (schematy do całkowitego sprania maglowane przez telenowele), wznosi ten spektakl styl reżyserski Kornéla Mundruczó, a przede wszystkim – wysokiej próby gra aktorska. Większość scen rozgrywa się w czasie realnym – jak rozpoczynająca spektakl długa hipnotyzująca sekwencja porodu ze stopniowo napędzającą się dramaturgią. Bez reszty angażuje, chociaż w teatrze jest pokazywana jako film wyświetlany na scenografii – transmisja z wnętrza mieszkania. Werystyczna scenografia i kostiumy (Monika Pormale), aktorskie granie realistyczne, z pełnym prawdopodobieństwem psychologicznym, pełna dyscyplina w opowiadaniu historii, od początku do końca, szacunek dla widza – te konwencjonalne środki wciąż działają znakomicie, jeśli przełamie się je momentami surrealnymi, scenami malującymi pejzaże introspekcyjne, wizji, halucynacji i koszmarów.

Ten świat znakomicie uwiarygadniają aktorzy: para głównych bohaterów, Mai i Larsa (Justyna Wasilewska, Dobromir Dymecki), położna w sekwencji filmowej (Monika Frajczyk), siostra Mai wraz z mężem (Agnieszka Żulewska, Sebastian Pawlak), kuzynka (Marta Ścisłowicz), wreszcie seniorka – Magdalena Kuta. Ta nieduża obsada od początku do końca utrzymuje na scenie wysoki poziom intensywności, odkrywając scena po scenie skomplikowany świat relacji rodzinnych, w którym każdy zasiada przy rodzinnym stole z własną osobnością, poglądami, z własnymi dziwactwami, świat, w którym ludzie sobie kłamią, kłócą się o politykę, zdradzają się i za sobą tęsknią. Wokół stołu rodzinnego – który staje się centrum akcji w drugiej części przedstawienia – rozgrywa się więc dramat, depresja po utracie dziecka, odchodzenie matki, wzajemna obcość niegdyś bliskich sobie sióstr. Sekret dobrego aktorstwa (wobec którego język krytyka pozostaje bezradny), tkwi w tym, by odsłanianie i odgrywanie tych mikrodramatów pozbawić banału. I to się aktorom Teatru Rozmaitości udało. Nie dziwię się, że spektakl podoba się i publiczności, i krytykom. Rzadka to sytuacja. Wielu się może w nim odnaleźć, bo są i jakość artystyczna, i rzeczywiste ludzkie problemy, no i danina spłacona warszawskiej publiczności. Maja jest feministką organiczną, w sposób oczywisty i niedeklaratywny, i to właśnie jej twórcy przyznają wyłączne prawo do tragizmu, w przeciwieństwie do prawackiej części rodziny, pokazanej lekko karykaturalnie i schematycznie. Ale i tak można się tylko cieszyć, że lewicowa Warszawa w końcu odkrywa metafizykę macierzyństwa, a teatralna Europa doceniła solidne, psychologiczne aktorstwo. Zapewne Tadeusz Boy-Żeleński byłby tym spektaklem zachwycony, bo to solidny, mieszczański, socjologizujący teatr.

I jeszcze jedno. Coraz częściej krytycy teatralni – niezależnie od preferencji politycznych i estetycznych – przyznają, że w ostatnich latach najlepsze spektakle zrobili w polskim teatrze reżyserzy z zagranicy – Węgier Mundruczó, ostatnio Belg Luk Perceval. Spektakle, w których reżyser pozwala aktorom grać, umie wyzwolić ich potencjał, a nawet go przekroczyć. Dlaczego tak rzadko udaje się to reżyserom polskim? ©℗

„Cząstki kobiety", reżyseria: Kornél Mundruczó, tekst i dramaturgia: Kata Wéber, tłumaczenie tekstu: Jolanta Jarmołowicz; premiera: 13 grudnia 2018 r. w TR Warszawa

eprasa.pl 10bcd3ca63

Twardo wobec Brukseli

Marcin Masny

Groźba polexitu jest znakomitym argumentem przetargowym w rozmowach z Brukselą. Jeszcze skuteczniejsza byłaby koalicja Europejczyków na rzecz Europy zintegrowanej, ale bez wszechwładnej eurokracji

Dwaj liderzy prawicowej opinii, pilnie słuchani w twardym elektoracie PiS – Paweł Lisicki i Rafał A. Ziemkiewicz – odczarowują właśnie słowo „polexit". Jest to nadal brzydkie słowo dla całej klasy politycznej łącznie z Konfederacją. Głośne sugerowanie wyjścia Polski z UE rodzi zawsze pytania, co dalej i czy przypadkiem nie jest to ruch w objęcia Rosji. Polska gospodarka została ściśle połączona z niemiecką, a wyjście z UE miałoby oznaczać bolesne zerwanie, niczym niegdysiejsze odcięcie kwitnącej Warszawy i Łodzi od ich olbrzymiego rosyjskiego rynku w 1916 r. Lecz czy niepodległa Polska po 1918 r. przeżyła głębszą zapaść niż dawne państwa zaborcze, odcięta od ich krwiobiegu? Nie. A czy wykorzystanie rosyjskiego straszaka w negocjacjach z Brukselą byłoby czymś niegodziwym? Też nie.

Odczarowanie polexitu jest słusznym zabiegiem, bo uświadamia eurokratom, że w Polsce są siły skłonne negocjować z nimi twardo, a nie poddawać się bezwarunkowo. Dla obecnej ekipy rządzącej sprawność negocjacyjna, dotychczas skrzętnie ukrywana, jest właśnie ostatnią deską ratunku. PiS-owski rząd bowiem jest osaczony ze wszystkich stron. Nikt go nie lubi: ani Putin, ani Biden, ani Bruksela, ani Praga, ani wyborcy przynaglani do udziału w testach medycznych. Do takiej sytuacji doprowadziły niekonsekwentne posunięcia ostatnich blisko sześciu lat. Nie miało sensu zgrywanie prymusa w realizacji oczekiwań ponadnarodowych demiurgów za cenę nadmiarowych zgonów, bankructw i dezorganizacji. Dla demiurgów bowiem i tak lepszym wykonawcą ich polityki jest wysłany właśnie do Polski Donald Tusk. To było oczywiste

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 10bcd3ca63

rok temu i dlatego swym wątłym głosikiem apelowałem do rządzących, aby stanęli po stronie własnych obywateli. Co gorsza, nie tylko ekipa Kaczyńskiego-Morawieckiego jest osaczona. Polska jako taka też, bo ideologiczno-biznesowe plany UE w rodzaju „Fit for 55" są katastrofą dla polskiego państwa i ogółu polskich obywateli. I do Polaków dociera to wreszcie w ekspresowym tempie.

Z KLAPKAMI NA OCZACH

To dobrze, że w okolicach rządu snuje się koncepcja zwrotu w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Miałby paść rozkaz wygaszenia czwartej fali, normalizacji życia z końcem wakacji. Poziom wyszczepienia miałby zostać uznany za zadowalający. Niestety, wywiad Jarosława Kaczyńskiego dla PAP opublikowany 7 sierpnia każe sądzić, że prezes PiS i wicepremier nie rozumie sytuacji i krótkowzrocznie, uparcie prze ku realizacji własnych nieprzemyślanych koncepcji. Prawdopodobnie sądząc, że składa wielkim tego świata sprytną ofertę negocjacyjną, z jednej strony Kaczyński poddaje reformę sądów i agresywnie zapowiada postępy akcji szczepień, a z drugiej – jakby w zamian za te ustępstwa – zapowiada twarde przepchnięcie „lex TVN". Nietrudno się domyślić, że adresaci chętnie przyjmą dwie pierwsze ofiary. Skoro jednak ofiarnik składa je z entuzjazmem, to znaczy, że do negocjacji zostawia sobie tylko sprawę „lex TVN". I tutaj adresaci źle sformułowanej oferty, demiurdzy upadłego Zachodu, ustąpią najwyżej ociupinkę.

ANI POLEXIT, ANI EUROKOŁCHOZ

Odczarowanie polexitu nie przeszkadza w podjęciu drugiej akcji, którą po raz pierwszy zaproponowałem 24 stycznia 2018 r. w tygodniku „Niedziela" w tekście „Ani polexit, ani eurokołchoz". Podpowiedziałem wspólne, głośne działania poważnych i mniej na razie poważnych polityków z różnych państw członkowskich na rzecz powołania Europy narodów poza obecnymi traktatami, bez eurokracji i oktrojowanego przez Brukselę prawa. Pisałem wtedy, że dobra zmiana może oficjalnie grać na unijnym boisku, a nieformalnie szykować demontaż Unii. Zdemontujmy zrakowaciałą narośl na Europie – sugerowałem – nie demontując tego, co w integracji podoba się Polakom. „Obecna ekipa rządząca Polską [...] upomina się o powrót do dawnego modelu integracji [...]. Upomina się o coś niemożliwego. Unijna elita nie cofnie się. Prawdopodobnie naszemu rządowi chodzi o powstrzymanie federalizmu i zachowanie funduszy strukturalnych [...]. Kran z funduszami zostanie jednak przykręcony po brexicie oraz w ramach nowego budżetu UE na lata 2021–2026 [...]. Suchy kranik z funduszami może zatem przybliżyć elity do szarych Europejczyków, którzy nie tylko w Polsce odwracają się od UE". To się właśnie dzieje. Już w 2017 r. gotowość do zagłosowania w referendum za opuszczeniem UE deklarowała prawie jedna trzecia Polaków. Dziś rzetelne badanie wykazałoby na pewno odsetek znacznie większy.

EUROPA UMÓW MIĘDZYNARODOWYCH

Państwa europejskie mogą suwerennie uzgadniać wspólne korzystanie z osiągnięć integracji europejskiej w drodze porozumień dwustronnych i wielostronnych. Cztery swobody wspólnego rynku mogą doskonale funkcjonować bez ograniczania suwerenności państw, bez organów ponadpaństwowych, bez ustawodawstwa unijnego. Wszystkie pożyteczne przepisy prawa unijnego Polska, układając się z Węgrami, Czechami czy Danią, może włączyć jako klauzule do dwustronnych umów. Jeśli sieć umów dwustronnych jest konstrukcją zbyt skomplikowaną, to napiszmy nowy traktat europejski, gromadzący te osiągnięcia integracji, które nie kłócą się z pełną suwerennością poszczególnych państw. Prezes Jarosław Kaczyński w czerwcu 2016 r. powiedział, że zleca prawnikowi napisanie nowego traktatu. Obiecanki cacanki! Zwięzły projekt traktatu mogą zatem napisać eksperci pozarządowi. Aneksy zostawimy sobie na potem. Rozmów o przebudowie Europy zapewne nie podejmie duet Kaczyński-Morawiecki. Pilnie zatem potrzeba nowej siły politycznej gotowej się za to wziąć z wielkim hałasem, w interesie polskich negocjacji z Brukselą.

Europejską wieżę Babel można rozebrać bezpiecznie, pod kontrolą. Zamiast kosztownej rudery można postawić konstrukcję mniejszą, bezpieczniejszą, przyjazną. Sukcesy integracji troskliwie pielęgnujmy, ale już bez Komisji Europejskiej, biurokracji, ideologicznych sądów i wspólnej armii, za którą optował w 2016 r. Jarosław Kaczyński.

POZA UNIĄ JEST ŻYCIE

Wróćmy do polexitu. Jak odpowiadać na pytanie: „Co dalej?"? Brytania, oczywiście zawodnik z innej kategorii wagowej, ustami ministra handlu zagranicznego Liz Truss zapowiedziała 31 czerwca w rozmowie z Nikkei, że chce z końcem 2022 r. ukończyć uzgodnienia w sprawie członkostwa w Transpacyficznym Partnerstwie CPTTP zrzeszającym Australię, Brunei, Chile, Japonię, Kanadę, Malezję, Meksyk, Nową Zelandię, Peru, Singapur i Wietnam. Podstawą geograficzną członkostwa są maleńkie brytyjskie, niemal bezludne wysepki Pitcairn na Pacyfiku. Zaletą CPTTP jest nieobecność USA i Chin. CPTTP wraz ze Zjednoczonym Królestwem będzie miało PKB równe Chinom, czyli dwie trzecie PKB Stanów Zjednoczonych.

Po upadku globalnych negocjacji o cłach i handlu takich regionalnych porozumień handlowych jest bardzo wiele. Inne bloki jednak powstają, powstają i ruszyć nie mogą. Kończy się na uroczystościach podpisania deklaracji. CPTTP po odejściu USA dowodzi, że negocjacje i ratyfikacje (o ile proces w Chile zakończy się w ciągu pół roku) można zamknąć w czterech latach. Sześćdziesiąt dni po zamknięciu ratyfikacji w Chile blok zacznie normalnie działać. Nowy blok z udziałem państw europejskich też może powstać w ciągu kliku lat.

Brytyjczycy chcą oczywiście zaoferować blokowi potencjał City. Jeśli okażą się zbyt wymagający i napotkają opór, to i tak na tych negocjacjach wygrają. Amerykanie wycofali się z CPTTP pod naciskiem producentów i eksporterów realnych dóbr. Dla amerykańskich instytucji finansowych okołopacyficzny obszar szybkiego (poza zamierającą Japonią) rozwoju byłby ciekawym celem ekspansji. Wchodząc z rumorem na te rynki, Brytyjczycy sugerują Ameryce niedwuznacznie, że opłacałoby się jej wznowić intensywne rozmowy o brytyjsko-amerykańskim układzie handlowym, które utknęły ostatniej zimy. Bo tak właśnie, va banque, musi negocjować ktoś, kto sam potargał wszystkie subtelne nitki, zawęził pole manewru, sponiewierał potencjalnych sojuszników – instytucjonalnych i indywidualnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

Zakazane klatki

Łukasz Warzecha

Zdecydowana większość obywateli, którzy gotowi są nawet popierać zakaz chowu klatkowego – czy generalnie przejście na bardziej „zrównoważone" rolnictwo – nie łączy kropek i nie zdaje sobie sprawy, że oznacza to znaczny wzrost cen

FOT. ADOBE STOCK

Kardynalna zasad mówi: jeżeli słyszysz, że jakaś dziedzina życia ma być „zrównoważona", to szykuj się na zakazy, nakazy, a przede wszystkim podwyżki. Właśnie „zrównoważeniem" rolnictwa jest uzasadniany szykowany w UE zakaz chowu klatkowego, którym zachwyca się polski komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski, idąc tym samym ręka w rękę z Sylwią Spurek. Faktycznie będzie to armagedon dla dziesiątków tysięcy hodowców zwierząt, a dla konsumentów – nieuchronne i ogromne podwyżki cen.

Skąd wziął się ten kuriozalny pomysł? W prawie UE jest zapisana dbałość o dobrostan zwierząt hodowlanych, jednak w żaden sposób nie wynika z tego zakaz prowadzenia hodowli klatkowej. Takie hodowle od dawna są uregulowane, a normy dotyczą przestrzeni, jaką zwierzętom trzeba zapewnić. Komisja Europejska, która rozpoczęła konsultacje społeczne swojego projektu (mają trwać do 2022 r.), powołała się na obywatelską inicjatywę „End of Cages" („Koniec klatek"). To przedsięwzięcie rozpoczęte w 2018 r. zjednoczyło wiele organizacji prozwierzęcych w UE. W Polsce m.in. Fundację Viva!, z którą otwarcie sympatyzują Jarosław Kaczyński i minister rolnictwa Grzegorz Puda oraz Otwarte Klatki!

Pod inicjatywą zebrano – uwaga! – 1 397 113 podpisów. Unia Europejska ma ok. 440 mln mieszkańców, co oznacza, że inicjatywę zakończenia hodowli klatkowej poparło ok. 0,3 proc. jej obywateli. I to wystarczyło, żeby KE ruszyła do działania. Innymi słowy – mikroskopijny ułamek obywateli Unii zdecydował o tym, że zajęcie stracą setki tysięcy rolników, a setki milionów ludzi będą płacić drożej za produkty spożywcze. To niestety typowy przykład działania antydemokratycznego mechanizmu sojuszu aktywistów z politykami, coraz częściej kształtującego naszą rzeczywistość i wkomponowanego w unijne ustawodawstwo, które dla inicjatywy obywatelskiej wymaga raptem miliona podpisów. W całej UE. Maleńkie grupki aktywistów podejmują jakąś inicjatywę, robią wokół niej szum, z czego milcząca większość nie zdaje sobie sprawy. Następnie politycy traktują to jako podkładkę do realizacji swoich pomysłów, które być może już wcześniej w ich głowach kiełkowały. W istocie powstaje chora sytuacja, w której promile decydują o życiu setek milionów, dając uzasadnienia politykom, w tym z Komisji Europejskiej, nieposiadającej przecież demokratycznego mandatu. Nie inaczej jest choćby w przypadku polityki miejskiej – hałaśliwi miejscy aktywiści, stanowiący mikroskopijną część mieszkańców miasta, narzucają innym swój sposób myślenia.

ULEGANIE BAMBIZMOWI

O tym, jak postrzegane jest dzisiaj rolnictwo, pisałem już w „Do Rzeczy" m.in. przy okazji tzw. praw zwierząt. Większość skłonna jest łykać tkliwą prozwierzęcą narrację i traktować każdy właściwie rodzaj hodowli jak „niewolę" i „wyzysk" zwierząt, ponieważ tak wynika z demografii. Gospodarstw rolnych jest dzisiaj w całej UE tylko ok. 10,5 mln, z czego jedynie część to gospodarstwa hodowlane, a więc bardzo niewielka część obywateli ma do czynienia ze zwierzętami nie jako miejskimi pieszczochami, ale źródłem mleka, jajek, mięsa czy skór. Reszta łatwo ulega bambizmowi (przypominam: postrzeganie zwierząt przez pryzmat słodkiego jelonka Bambi z bajki Disneya).

Zdecydowana większość obywateli, którzy gotowi są nawet popierać zakaz chowu klatkowego – czy generalnie przejście na bardziej „zrównoważone" rolnictwo – nie łączy kropek i nie zdaje sobie sprawy, że oznacza to znaczny wzrost cen. To prosty mechanizm ekonomiczny. Jeżeli kury miałyby być trzymane wyłącznie na wolnych wybiegach, to na tej samej

eprasa.pl 10bcd3ca63

powierzchni będzie można ich trzymać znacznie mniej, a więc cena jajek będzie musiała wzrosnąć, a utrzymanie wielu gospodarstw będzie nieopłacalne. To samo dotyczy każdego innego rodzaju produktu poddanego podobnym restrykcjom.

Zarazem badania opinii pokazują, że większość konsumentów w UE nie jest gotowa płacić za jedzenie dużo więcej w imię ekologicznych racji. Europejska Organizacja Konsumencka zaprezentowała w zeszłym roku raport sporządzony na podstawie badań prowadzonych w 12 państwach wspólnoty. We wszystkich uwzględnionych krajach (nie było wśród nich Polski) więcej za ekologiczne jedzenie gotowa była płacić mniejszość. Średnia to jedynie 20 proc. respondentów.

PODŁOŻE IDEOLOGICZNE

Gdy mowa jest o hodowli klatkowej, większość ma przed oczami kury. Jaka jest różnica pomiędzy ceną jajek z wolnego wybiegu (które pod względem spożywczym nie są w niczym lepsze) a tych z chowu klatkowego, każdy może się przekonać w sklepie, o ile będzie jeszcze w stanie trafić na te drugie. Dla Polski uderzenie w chów klatkowy to szczególny problem, ponieważ w naszym kraju ten sektor jest wyjątkowo duży – tak hodowanych jest aż 81 proc. wszystkich kur w Polsce, 40 mln sztuk niosek. Duża część jajek nie trafia do konsumentów bezpośrednio, lecz służy jako surowiec do produkcji kosmetyków, pestycydów, barwników spożywczych, a nawet lekarstw. Jeśli ceny jaj pójdą w górę, to za nimi pójdą w górę ceny wszystkich wspomnianych produktów.

Ale projekt nie uderzy jedynie w hodowców kur, bo szeroko zdefiniowana hodowla klatkowa dotyczy wielu innych zwierząt i sytuacji. Były minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski w rozmowie z „Do Rzeczy" wskazuje, że rolnictwo od swojego zarania opierało się na jakiejś metodzie krępowania ruchów zwierząt i unijna batalia przeciwko chowowi klatkowemu ma podłoże ideologiczne. Szczególnie że dzisiaj stosowane klatki to nie jest żadna wolnoamerykanka – odpowiadają one normom dobrostanu wypracowanym przez naukowców.

– Poza tym – wskazuje Ardanowski – rolnikowi zwyczajnie opłaca się dbać o swoje zwierzęta, bo to przynosi mu zysk. Jeśli zdarzają się pojedyncze przypadki naruszania norm, to należy winnych karać, ale to nie jest powód, żeby wprowadzać tego typu regulacje.

Ardanowski podaje kilka przykładów dobrych rozwiązań, które zakaz chowu klatkowego zlikwiduje. To np. kojce porodowe dla loch. Locha po urodzeniu prosiąt wykazuje często coś w rodzaju poporodowego szoku, co może spowodować, że swoje młode zadusi, kładąc się na nich. Stosowany przez krótki czas po porodzie kojec daje jej możliwość karmienia, poruszania się w ograniczonym zakresie, położenia się – ale uniemożliwia uduszenie prosiąt. To rozwiązanie musiałoby zniknąć.

Inny ciekawy system to kojce do odchowu cieląt ras mlecznych. Bydło mleczne jest trzymane w oborach, w systemie pozwalającym przeprowadzać konieczne, regularne dojenie. Cielęta trzymane w tej samej przestrzeni bywały bardzo często zadeptywane – wyjaśnia były minister rolnictwa – więc stworzono dla nich specjalne kojce, gdzie w pierwszym okresie życia mogą dostawać najpierw mleko matki, a potem być karmione odpowiednio do swojego wieku i spokojnie się rozwinąć, aż będzie je można bezpieczne wprowadzić do przestrzeni wspólnej. To rozwiązanie również musiałoby zniknąć, choć służy bezpieczeństwu cieląt.

Można więc odnieść wrażenie, że ludzie kreujący rolniczą politykę unijną nie tylko stawiają ideologię ponad potrzebami ludzi, lecz także kompletnie nie znają się na tym, o czym decydują. Ardanowski potwierdza tę opinię.

– Obserwuję politykę rolną od lat, sam jestem rolnikiem – mówi „Do Rzeczy". – Ale takiego rozjazdu pomiędzy opiniami rolników czy hodowców a planami urzędników nie tylko w Brukseli, lecz także w Polsce, jaki jest teraz, nie pamiętam.

Wielkim orędownikiem zakazu chowu klatkowego jest Janusz Wojciechowski, polski komisarz ds. rolnictwa. Wojciechowski, choć wywodzi się ze wsi, a w PRL był działaczem koncesjonowanego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, rolnikiem nie jest i nie ma wykształcenia rolniczego.

„To bardzo mocne stanowisko Parlamentu Europejskiego, z którego bardzo się cieszę. 14 kwietnia występowałem w Parlamencie w czasie publicznej prezentacji obywatelskiej inicjatywy »Koniec Epoki Klatkowej – End the Cage Age« i zapewniłem o moim poparciu dla niej. Komisja Europejska jest za odejściem od tej metody chowu zwierząt i przedstawi swoją propozycję legislacyjną w tym zakresie w najbliższym czasie. Stanowisko Parlamentu jest bardzo dobre, idzie we właściwym kierunku. Stoimy przed wyborem, czy hodowla zwierząt to ma być agroprzemysł czy rolnictwo zrównoważone. Chów klatkowy jest prowadzony w ogromnych kombinatach przemysłowych. To ma tak naprawdę niewiele wspólnego z rolnictwem" – oznajmił Wojciechowski w czerwcu w rozmowie z „Rzeczpospolitą". Dodał też łaskawie, że owszem, dla tych, którzy zainwestowali w takie hodowle, powinny być jakieś rekompensaty. Rekompensaty, dodajmy, gdyby zakaz wszedł, byłyby oczywiście wypłacane z naszych pieniędzy. Nie tylko zatem zaczęlibyśmy płacić o wiele większe pieniądze za jedzenie i wiele innych produktów, opartych na jajkach, lecz także jeszcze musielibyśmy się składać na zadośćuczynienie dla hodowców. Jedna z największych i najlepiej prosperujących gałęzi polskiego rolnictwa po prostu zostałaby zlikwidowana.

Dlaczego polski komisarz jest zwolennikiem zniszczenia polskich hodowli klatkowych?

– Mogę tylko przypuszczać – stwierdza Jan Krzysztof Ardanowski – że to skutek jakichś osobistych doświadczeń ze wsi z dzieciństwa, gdy rolnictwo wyglądało całkiem inaczej niż dzisiaj. Wojciechowski słucha chętnie organizacji prozwierzęcych niż rolniczych – podsumowuje nasz rozmówca.

WYRAŹNY KONTRAST

W wypowiedzi Wojciechowskiego pobrzmiewa narracja, która ze strony polityków PiS pojawiała się już wielokrotnie, począwszy od momentu, gdy Krzysztof Jurgiel jako minister rolnictwa nazywał właścicieli dużych gospodarstw „obszarnikami". Co ciekawe, Jurgiel – dziś europoseł – jako jedyny eurodeputowany PiS w ramach grupy EKR 10 czerwca tego roku głosował przeciwko rezolucji Parlamentu Europejskiego, wspierającej wprowadzenie zakazu chowu klatkowego. Prawdopodobnie, będąc rolnikiem, jako jedyny w pełni rozumiał konsekwencje.

Dla stanowiska Wojciechowskiego najpewniej duże znaczenie ma też osobiste upodobanie Jarosława Kaczyńskiego do animalsowych kampanii. Ono było źródłem „piątki dla zwierząt". I tak jak wówczas, tak i w przypadku stanowiska europosłów PiS uderzający jest w tej sprawie kontrast pomiędzy decyzjami a zapewnieniami, że rolnicy są dla rządzących najważniejsi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Tłuste koty prezesa

Jan Fiedorczuk

Uchwała „sanacyjna" ma przywrócić PiS wizerunek partii reprezentującej „zwykłych Polaków". Wdrożenie antynepotycznych zapisów w życie może okazać się jednak trudniejsze, niż zakłada to Jarosław Kaczyński

Widok lidera rządzącej koalicji, który po sześciu latach sprawowania władzy publicznie beszta parlamentarzystów własnej partii, nie należy do nazbyt częstych. Właściwie to ciężko znaleźć podobny przypadek w historii III RP. Podczas lipcowego kongresu PiS Jarosław Kaczyński nie szczędził cierpkich słów politykom Zjednoczonej Prawicy, wskazując na nepotyzm trawiący władzę.

– To zjawisko jest bardzo szkodliwe. Jeżeli budzi zainteresowanie i gniew wśród społeczeństwa, to jest to słuszny gniew. Musimy to wiedzieć, musimy to rozumieć i musimy się temu podporządkować. Trzeba się oczyścić. To my jesteśmy dla obywateli i narodu, a nie odwrotnie – podkreślał prezes PiS. Z doniesień medialnych wynika, że jeszcze ostrzej wypowiadał się na zamkniętym posiedzeniu klubu parlamentarnego w Przysusze, które odbyło się kilkanaście dni wcześniej.

Podczas lipcowego kongresu politycy rządzącej partii bez szemrania przyjęli tzw. uchwałę sanacyjną, która ma ukrócić nepotyzm w ugrupowaniu. Zgodnie z jej wytycznymi zakazane jest zatrudnianie w państwowych spółkach członków rodzin posłów i senatorów PiS (chodzi o małżonków, rodzeństwo, dzieci i rodziców parlamentarzystów). – Ta jednomyślność musi oznaczać także, że my ją wcielimy w życie. Czasem będzie to bolesne, czasem będzie to trudne, ale tu nie możemy się cofać – podkreślał Kaczyński.

Uderzenie się we własne piersi i posypanie głowy popiołem to z punktu widzenia politycznej mechaniki zręczne zagranie. Wokół sporu personalnego, który na nowo rozgorzał po powrocie Donalda Tuska, prezes PiS próbuje odgrzać stary podział na „Polskę liberalną" i „Polskę solidarną" czy też – mówiąc bardziej bezpośrednio – na stronnictwo elit oraz stronnictwo „zwykłych Polaków". A bez posypania głowy popiołem oraz odcięcia się od „błędów i wypaczeń" ostatnich lat odbudowanie tego „ludowego" wizerunku może okazać się niemożliwe.

ŁYŻKA NEPOTYZMU I BECZKA SUKCESU

Półmetek drugiej kadencji to wyjątkowo niewygodny okres dla partii rządzącej. Nikt nie wie o tym lepiej niż Platforma Obywatelska, której sondaże – i to przy całym wsparciu medialnym, którym wówczas dysponowała – zaczęły się załamywać właśnie w okolicach 2013 r. W ostatnich latach Platforma popełniła niezliczoną liczbę błędów, które uniemożliwiły jej powrót do władzy, jednak jednym z głównych uchybień był brak rozliczenia się z własnymi rządami. Ta arogancja była szczególnie widoczna w obu kampaniach 2015 r., gdy w PO odrzucano jakąkolwiek autokrytykę i całą energię poświęcano na straszenie

eprasa.pl 10bcd3ca63

PiS-em. I to w kontekście klęski PO należy odczytywać ruch Jarosława Kaczyńskiego z przeprowadzeniem tzw. uchwały sanacyjnej. Wszystko wskazuje na to, że kierownictwo PiS odrobiło lekcję Ewy Kopacz i Bronisława Komorowskiego.

– Ta łyżka [nepotyzmu – przyp. J.F.] jest ciągle bardzo mała w stosunku do beczki naszych sukcesów, ale mam wrażenie, że jest coraz większa, i trzeba jasno powiedzieć, że jeśli tego nie zmienimy, to nie mamy żadnych szans na to, aby wygrać wybory – wskazywał prezes PiS.

Biorąc pod uwagę sposób funkcjonowania aparatu państwowego, ciężko uznać to spostrzeżenie za szczególnie przenikliwe. Nepotyzm jest nieodłączną cechą publicznego życia III RP, wpisaną właściwie w samą strukturę państwa. Istotna wydaje się być zatem nie tyle wątpliwa oryginalność obserwacji Kaczyńskiego, ile sam fakt, że taka refleksja się pojawiła. PiS znajduje się obecnie na podobnym etapie, na jakim PO była na wysokości 2013 r., i nie byłoby nic prostszego, aby zastosować taktykę Kopacz i Komorowskiego à rebours i nie dostrzegając własnych wad, zacząć straszyć powrotem Donalda Tuska. Polityk bijący się w pierś to jednak pewne novum na polskiej scenie.

Kwestia nepotyzmu jest szczególnie niewygodna właśnie dla PiS, ponieważ uderza w samo serce partyjnej narracji. „Platforma jest rzecznikiem elit, celebrytów i wielkomiejskich arogantów, podczas gdy my bronimy Ciebie, przeciętnego Polaka" – w uproszczeniu tak brzmiała opowieść, którą rządzący serwowali społeczeństwu. Właściwie jeżeli w ostatnich latach cokolwiek poważnie zagroziło Zjednoczonej Prawicy, to – nie licząc zmiany prawa aborcyjnego, co ewidentnie zachwiało sondażami – była to głośna przemowa premier Beaty Szydło, która broniła premii ministrów. Słynne zdanie: „Te pieniądze im się po prostu należały" przebiło się do świadomości przeciętnego wyborcy bardziej niż wszystkie wpadki i afery z ostatnich lat, stając się niemal hasłem na miarę: „Zmień pracę, weź kredyt" Bronisława Komorowskiego.

Jakkolwiek słowa byłej premier były najgłośniejszym przykładem wyłamania się spod narracji własnej partii, to podobnych przykładów przecież nie brakowało. Opozycja od dłuższego czasu stara się znaleźć „PiS-owskie ośmiorniczki", które dowiodą, że Polską rządzi klika kolesiów, którzy nie mają moralnego prawa sprawować władzy. W ostatnim czasie widzieliśmy tego kolejną odsłonę, gdy politycy PSL opublikowali listę „tłustych kotów" – polityków, ich rodzin i znajomych zasiadających w państwowych spółkach. Na liście widnieje ponad 350 osób, co pokazuje zarazem skalę wyzwania, z jakim musi się mierzyć prezes PiS, jeżeli faktycznie postawi na „sanację" swojej partii.

Lista PSL uwypukla zresztą pewien problem z uchwałą PiS, o którym od dawna informują media. Obiecana przez Kaczyńskiego „sanacja" ma objąć co prawda najbliższą rodzinę parlamentarzystów, ale dalszych krewnych już nie dotyczy. Do tego uchwała nic nie mówi o załatwianiu posad znajomym oraz asystentom polityków. Kolejną kwestią jest z kolei sprawa „wyjątków", jakie przewidziano w uchwale, zgodnie z którymi „sanacja" nie obejmuje osób borykających się ze „szczególną sytuacją życiową". – Stworzyliśmy wyjątek, z którego teraz robi regułę, furtkę, która uczyni tę uchwałę bezskuteczną. To jest wyjątek zupełnie szczególny – tłumaczył Kaczyński, podkreślając, że sprawa dotyczy pojedynczych osób, które „można by policzyć na palcach jednej ręki". Nawet jeżeli prezes PiS ma rację, to nie zmienia to faktu, że zapis wygląda po prostu niezgrabnie i w percepcji społeczeństwa wyhamowuje pęd samej uchwały.

Pikanterii sytuacji dodaje sprawa Marka Martynowskiego, który po lipcowym kongresie złożył dymisję z funkcji szefa klubu senackiego PiS, przy okazji uderzając we własną partię i wprost nazywając Krzysztofa Sobolewskiego (awansowanego na sekretarza generalnego PiS) „twarzą nepotyzmu". Następnie polityk zdecydował się powrócić na stanowisko, tłumacząc, że Jarosław Kaczyński zapewnił go, iż sprawa Sobolewskiego „będzie załatwiona". Obrazu dopełniają Paweł Kukiz i jego ustawa antykorupcyjna, której realizacja zaczyna się przesuwać w bliżej nieokreśloną przyszłość. Jak przyznał sam polityk, nie można jej obecnie wdrożyć, gdyż prawdopodobnie oznaczałoby to konieczność rozpisania nowych wyborów samorządowych. – 80 proc. burmistrzów, wójtów i prezydentów ma drugą pensję w radach nadzorczych, w spółkach komunalnych, więc gdybyśmy ją tak z biegu wrzucili, to z połowa by zrezygnowała ze sprawowania urzędu – mówił Kukiz w rozmowie z Radiem Wrocław.

Oczywiście ciężko nie przyznać racji Kaczyńskiemu, że jeżeli PiS myśli poważnie o trzeciej kadencji, to z punktu widzenia taktyki politycznej rozwiązanie problemu nepotyzmu jest dla ugrupowania kluczowe. Platforma Obywatelska zaniedbała to w czasie swojej drugiej kadencji i do dzisiaj boryka się z piętnem „partii ośmiorczniczek", która jest zajęta sama sobą i nie ma Polakom nic do zaoferowania oprócz „walki o demokrację" i postulatu „żeby było, tak jak było". Kaczyński ewidentnie zdaje sobie z tego sprawę. Jednak problem „tłustych kotów" wbrew temu, co mówi prezes PiS, nie jest „bardzo małą łyżką" i próba rozwiązania go może napotkać potężną barierę również w samej partii (nie mówiąc już o koalicjantach). Fakt, że po ogłoszeniu uchwały z pracy zrezygnowało zaledwie kilkanaście osób, a kilka dni później PSL zaprezentowało listę kilkuset nazwisk na państwowych posadach, najlepiej obrazuje problematyczność zagadnienia. Posypanie głowy popiołem to dopiero wstęp do poważnej rozgrywki i jeżeli kierownictwo partii nie zdoła ukrócić nepotyzmu, to po całym nagłośnieniu sprawy, jakie oglądaliśmy w ostatnich tygodniach, spotka je najgorsza możliwa kara – śmieszność. Co jeszcze gorsze – przynajmniej z punktu widzenia Kaczyńskiego – będzie to oznaczać, że władza prezesa wcale nie jest tak niepodważalna, jak dotąd sądzono.

POLSKI ŁAD

Ukrócenie nepotyzmu jest konieczne również w perspektywie Polskiego Ładu, który ewidentnie wpisuje się w narrację o „Polsce solidarnej" i ma być nowym wielkim projektem torującym PiS drogę do kolejnej kadencji u władzy. Zarówno Kaczyński, jak i Morawiecki zaangażowali cały swój autorytet w jego promocję. Prezes PiS podkreślał, że Polski Ład ma wymiar cywilizacyjny i może zagwarantować państwu sukces „na miarę tysiąclecia". Problem w tym, że sondaże dowodzą, iż Polacy wcale nie są entuzjastycznie nastawieni do wielkiego planu PiS, a wielu z nich wręcz się boi, że na nim straci. W tej perspektywie uporanie się z nepotyzmem we własnych szeregach nabiera dodatkowego znaczenia. Jeżeli ten program jest skierowany do „zwykłych Polaków", to nie może być przecież nadzorowany przez ekipę „tłustych kotów". Nie da się być partią ludu, partią solidaryzmu społecznego, jednocześnie tolerującą nepotyzm i kolesiostwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

Kaja Godek

Obce mocarstwa nie chcą, aby polskie społeczeństwo się wzmacniało, ale by postępował jego rozkład moralny

W interesie Polski

Do Sejmu wpłynął projekt obywatelski „Stop LGBT” poparty przez 140 tys. obywateli. Nikogo nie powinna dziwić chęć realizacji konstytucyjnej zasady ochrony rodziny w przestrzeni publicznej, wszak art. 18 ustawy zasadniczej jasno stanowi: „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej”.

Problem w tym, że dziś państwo wielokrotnie staje po stronie grup, które rodzinę chcą przedefiniować, a w konsekwencji zniszczyć. Policja formuje kordon, aby przeprowadzić paradę LGBT wprost na błonia Jasnej Góry dokładnie w dniu, gdy odbywa się tam pielgrzymka dziecięcych kółek różańcowych. Traktuje gazem pieprzowym osoby protestujące przeciw paradom – w Częstochowie w czerwcu 2019 r. gazu użyto przeciwko dwojgu dzieci, które stały na trasie przemarszu. Prokuratury umarzają kolejne sprawy o profanacje symboli religijnych przez homoaktywistów, a odrażające wystąpienia homoseksualistów odbywają się pod patronatami prezydentów miast. Tak wygląda „ochrona i opieka” roztaczana przez państwo nad małżeństwem, macierzyństwem i rodziną.

NIE MOŻNA CZEKAĆ

Kampania społeczna prowadzona przez lobby LGBT – radykalna w swej formie i treści – nie jest celem samym w sobie. Stanowi ona przygotowanie do postawienia żądań w sferze prawa – żądań ślubów i adopcji dla par jednopłciowych. Myli się ten, kto uważa, że na razie można poczekać, a reagować dopiero wtedy, gdy akcje LGBT przybiorą formę nacisku na ustawodawcę. Po pierwsze – ów nacisk już jest. Po drugie – społeczeństwo odpowiednio urobione stanie w jednym szeregu z homoaktywistami i będzie bronić ich „prawa do miłości”. A polityków sprzeciwiających się radykalnym zmianom odsądzi od czci i wiary. Także kosztem dobra dzieci, bo ta kategoria nie będzie już brana pod uwagę.

Pojawienie się projektu obywatelskiego jest zatem naturalnym ruchem obronnym w chwili, gdy nasz kraj znalazł się na celowniku deprawatorów. Zapisy ustawy „Stop LGBT” realizują polską konstytucję i są niekontrowersyjne. Wobec tego – nie mogąc zaatakować projektu od strony merytorycznej ani nie mogąc zanegować potrzeby jego wprowadzenia – zastosowano wobec niego swoiste „reductio ad Kremlum”. W tej operacji biorą udział prominentni działacze ruchu LGBT. Poseł Krzysztof Śmiszek powtórzył słowa „Kreml” i „Putin” już tyle razy, by nikt nie miał wątpliwości, że za akcją obywatelską nie stoją obywatele, ale siły zła sterowane z Moskwy.

Malującemu te mroczne obrazy działaczowi warto więc wyjaśnić, że to właśnie rozkład moralny polskiej rodziny, Kościoła, tradycji i kultury jest na rękę Kremlowi. I zawsze był. Swoją drogą jest to pokaz hipokryzji, gdy związki z Rosją insynuuje polityk, którego środowisko w świetle jupiterów jednoczy się z SLD. Oto nowa lewica brata się ze spadkobiercami PZPR, partii rządzącej przed laty komunistyczną Polską i ugrupowania całkowicie zależnego od moskiewskich mocodawców. To SLD było zaangażowane w obronę byłych funkcjonariuszy bezpieki i ich emerytur – również tych, którzy brali udział np. w akcji „Hiacynt” – akcji inwigilacji, rejestrowania, łamania i werbowania do współpracy homoseksualistów w latach 80. Dziś ręka w rękę stają w sześciokolorowym pochodzie i udają przyjaźń.

Garść faktów historycznych dla posła Śmiszka. Pierwszą rewolucję seksualną przeprowadzono na początku XX w. w Rosji sowieckiej na polecenie Włodzimierza Iljicza Lenina. Celem było rozbicie rodziny i narodu, aby łatwiej było wprowadzać

eprasa.pl 10bcd3ca63

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

komunizm. W tamtym czasie wielkie zasługi oddała Leninowi bolszewicka komisarz ludowa i feministka Aleksandra Kołłontaj – propagatorka aborcji i seksualnego „wyzwolenia". Przyrównywała ona zaspokajanie popędu płciowego do czynności tak banalnej jak wypicie szklanki wody. Lenin już w 1917 r. podpisał serię dekretów w praktyce unieważniających instytucję małżeństwa, zniósł też dotychczasowe kary za stosunki homoseksualne i zalegalizował wolną aborcję.

Drugą rewolucję seksualną w Europie, rewolucję 1968 r., robiono m.in. za pieniądze KGB i Stasi po to, aby rozbić i zatomizować społeczeństwa, które stawiały opór Sowietom. Podłoże ideologiczne dla rewolucji '68 w Niemczech zostało przygotowane przez uniwersytety pozostające pod wpływem myśli marksistowskiej. Główny periodyk niemieckich rewolucjonistów – studenckie pismo „Konkret", o imponującym nakładzie 200 tys. egzemplarzy, zostało wymyślone i sfinansowane przez Stasi. Napiszmy to wyraźnie: rewolta w RFN była robiona za pieniądze tajnych służb NRD bezpośrednio podległych Moskwie.

Wspieranie lewicowych wywrotowców Moskwa ćwiczy co najmniej od 100 lat. Jej polityka jest prosta – pomaga tym ruchom, które niszczą społeczeństwa i powodują konflikty. To jej się opłaca. Tak jest i teraz. Polska słaba, z niską dzietnością, rozbitymi relacjami międzyludzkimi, wszechobecną antyrodzinną propagandą jest na rękę Putinowi. Przy tym Rosją nie rządzą idioci. To, co wspierają na Zachodzie, u siebie tłumią, aby nie demolować własnego narodu, który ma do odegrania wielką rolę w realizowaniu ambicji geopolitycznych swoich włodarzy.

KGB ma na koncie także wspieranie ruchu hipisowskiego i anarchistycznego w Europie, bo każdy rodzaj rozkładu wewnętrznego Zachodu służył umacnianiu się pozycji Moskwy. Po roku 1968 Moskwa zaczęła wspierać i rozbudowywać struktury ruchów pacyfistycznych i zwalczających zbrojenia. Jest tu zauważalna spójność: ZSRS rywalizował z USA w kwestii potencjału nuklearnego i jednocześnie po cichu tworzył organizacje, które zwalczały odbudowę militarną na Zachodzie. Organizacje te często miały swój początek właśnie w rewolcie roku 1968 i ruchu hipisowskim.

SPECYFICZNIE ROZUMIANA WOLNOŚĆ

Dziś w Polsce lobby LGBT realizuje swoje cele, nie przebierając w środkach. Wpisanie wizerunku Matki Bożej z Jasnej Góry we flagę będącą symbolem zboczeń – żaden problem. Wydanie w tej sprawie wyroku uniewinniającego przez sędzię o politycznych powiązaniach – standard. Umarzanie zgłoszeń dotyczących nadużyć w trakcie homoparad – częsta praktyka prokuratorska. Niska szkodliwość czynu, swoboda ekspresji artystycznej, wolność słowa – to najczęstsze argumenty-wytrychy, dzięki którym pociągnięcie sprawców do odpowiedzialności graniczy z cudem. Specyficznie rozumianą wolność traktuje się jako wartość samą w sobie. Zresztą zanim prokuratura postawi zarzut i rozpocznie się sprawa w sądzie, z jednej instancji sprawa trafi do kolejnej – mijają miesiące i lata. Nikt już nie pamięta, o co chodziło, zjawisko powszednieje, a przecież o to chodzi, żeby spowszedniało. Nam wolno wszystko, a wam nie wolno nic z tym zrobić – tak można by streścić postawę, którą przyjmują aktywiści LGBT, gdy podejmuje się próbę ukrócenia ich wybryków.

Po drodze okazuje się, że ideologia równościowa tylko początkowo stawia na równi prawdę i kłamstwo. Po jakimś czasie to kłamstwo staje się narracją obowiązującą. Media obiegła niedawno informacja o hiszpańskim nauczycielu biologii Barronie Lopezie, który mówił na lekcjach, że płeć biologiczna jest niezmienna. Można zmienić operacyjnie genitalia, ale nie można wymienić chromosomów płci, nauka nie potrafi zaingerować w naturę do tego stopnia. Wypowiedzi Lopeza zostały uznane za niewłaściwe, zawieszono go w wykonywaniu zawodu nauczyciela na sześć miesięcy, a pensję pomniejszono o 600 euro.

Lewica próbuje nieudolnie narzucić narrację w sprawie projektu „Stop LGBT". Jest zresztą teraz w niezwykle kłopotliwej sytuacji. Każda kolejna parada będzie musiała odbywać się z poszanowaniem zasad obowiązujących w cywilizowanym społeczeństwie, a to osłabi jej przekaz. Jeśli dalej marsze równości będą obfitować w prowokacje, to każda z nich będzie argumentem za projektem obywatelskim, który tylko czeka na uchwalenie w parlamencie. Co robić? Prowokować jak zawsze czy odpuścić i przeczekać? Przecież nie planowali czekać, tylko przyspieszać realizację swojej agendy aż po jej finał. W takiej sytuacji nigdy jeszcze nie byli i ewidentnie nie mogą się w niej odnaleźć. Już w trakcie zbiórki podpisów organizatorzy parad przekładali je na późniejszy termin, być może wiedząc, że każde takie wydarzenie napędza zbiórkę. Prawdziwy pat. Wobec tego zaczynają udowadniać, że projekt został złożony z jakichś niecnych pobudek. Może z chęci wykluczenia jakiejś niewinnej grupy, „społeczności LGBT", jak lubią się określać homoaktywiści. Tym samym wykluczają 140 tys. sygnatariuszy projektu, tak jakby osoby te nie miały prawa do swoich poglądów ani do uczestnictwa w życiu publicznym w demokratycznym państwie. Innym chwytem jest sugerowanie, że projekt realizuje interesy Rosji, choć jest dokładnie przeciwnie – żadne wrogie Polsce państwo nie jest zainteresowane wzmacnianiem polskich rodzin ani przywracaniem chrześcijańskiego ładu w życiu publicznym.

W 2005 r. przeciwko paradzie LGBT wystąpił ówczesny prezydent Warszawy Lech Kaczyński. Zabrakło mu jedynie narzędzi prawnych. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie powie, że Lech Kaczyński działał na zlecenie Kremla...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest członkiem zarządu Fundacji Życie i Rodzina, która złożyła w Sejmie obywatelski projekt „Stop LGBT".

eprasa.pl 10bcd3ca63

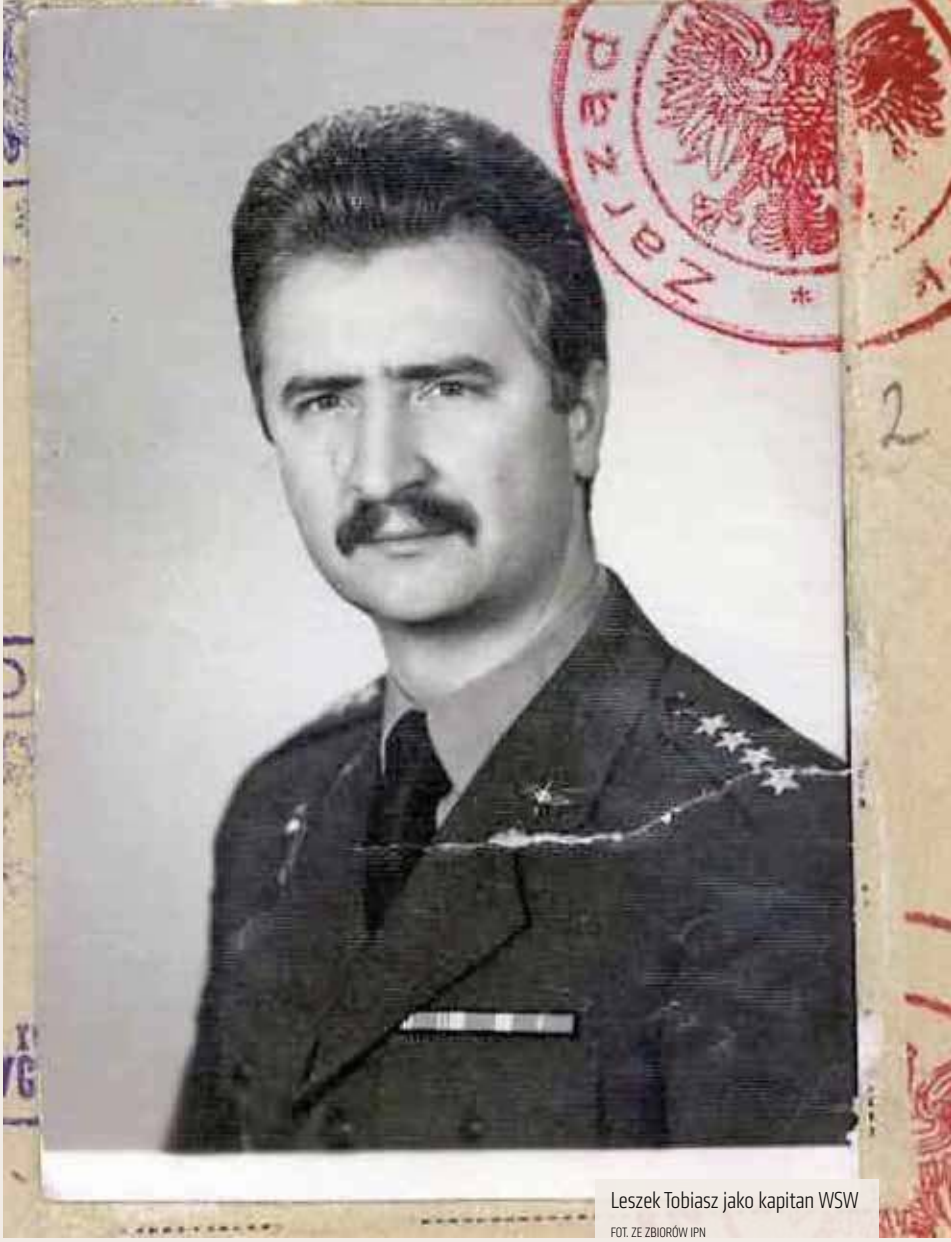

Leszek Tobiasz jako kapitan WSW

FOT. ZE ZBIORÓW IPN

Prowokator – rzecz o Leszku Tobiaszu

Sławomir Cenckiewicz

Wciąż nie są do końca jasne kulisy prowokacji, którą na przełomie lat 2006 i 2007 zainicjował oficer Wojskowych Służb Informacyjnych płk Leszek Tobiasz. Kim był człowiek, który skutecznie wstrząsnął polską polityką na przełomie lat 2007 i 2008?

Jak to możliwe, że jeden człowiek był w stanie zrealizować prowokację, w której wyznaczył kierunki działania służbom specjalnym i prokuraturze, z czołowych polityków Platformy Obywatelskiej i niektórych dziennikarzy uczynił zaś bezwolne narzędzia w swoim planie. A może Tobiasz wcale nie działał sam, a jego plan wpisywał się w projekt polityczny koalicji PO-PSL? I dlaczego nagle zmarł?

ŻYCIE NIEJAWNE

Pułkownik Leszek Tobiasz – rocznik 1957. Był podobny do wielu żołnierzy WSI z komunistyczną przeszłością. Pochodził z małorolnej rodziny lojalnej wobec PRL. W okresie nauki w technikum zawodowym w Pułtusku działał w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i ZHP. Do wojska wstąpił w 1977 r. Zaledwie rok po skończeniu Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Jeleniej Górze i krótkiej służbie w Terenowych Grupach Operacyjnych województwa siedleckiego już w stanie wojennym został skierowany na kurs do Centralnego Ośrodka Szkolenia Wojskowej Służby Wewnętrznej w Mińsku Mazowieckim.

Odtąd całe swoje życie związał z wojskowymi służbami specjalnymi. Służąc w jaczejkach kontrwywiadu WSW w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju, spełniał wszystkie wymagania ideowe, począwszy od członkostwa w PZPR, a skończywszy na studiach na wydziale religijno-etycznym na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu w Mińsku Mazowieckim. Potwierdzają to liczne opinie służbowe z końcówki PRL, w których podkreśla się silną identyfikację Tobiasza z „wartościami ideologii marksistowsko-leninowskiej" oraz jego „bezkompromisowość i pryncypialność w realizacji generalnej linii partii".

W ten sposób w 1990 r., już po symbolicznym liftingu wojskowych tajnych służb, polegającym na wymianie starych nazw na Zarząd II Wywiadu i Kontrwywiadu Sztabu Generalnego WP, kapitan Tobiasz rozpoczął służbę w wolnej Polsce. Za zgodą służb został skierowany m.in. na studia magisterskie w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Jak wszyscy żołnierze WSW nie podlegał jakiejkolwiek weryfikacji, więc w 1991 r. trafił do nowo powstałych Wojskowych Służb Informacyjnych. Tobiasz został wkrótce dostrzeżony przez

eprasa.pl 10bcd3ca63

kierownictwo WSI, w 1993 r. awansował do stopnia majora i od 1994 r. aż do końca istnienia WSI (w 2006 r.) służył w pionie kontrwywiadu (Zarządzie III) już wyłącznie w centrali tej służby, z przerwą na trzyletni pobyt na placówce w ataszacie RP w Moskwie (1996–1999).

ZAUFANY

Jeszcze podczas pobytu w Moskwie Tobiasz został awansowany na podpułkownika, mimo że zwrócił na siebie uwagę kontrwywiadu ze względu na „podejrzane kontakty". Sprawa była na tyle poważna, że okresowo prowadzono w związku z tym procedurę kontrwywiadowczą o kryptonimie Siwy. Oficjalnie jednak wszystko było w należytym porządku: w Moskwie „wzorowo wykonywał stawiane zadania" i „w pełni potwierdził swoją przydatność do pracy w aparacie zagranicznym MON". Później było jeszcze lepiej: „dzielnie realizował procedury operacyjne", „proponowane przez niego rozwiązania pozwoliły osiągnąć wymierne efekty operacyjne" i – co ważne – „posiada umiejętność samodzielnego działania w złożonych warunkach". Wkrótce zauważył go szef WSI gen. Marek Dukaczewski i Tobiasz został pułkownikiem (w 2003 r.), stając się jednym z autorów reorganizacji strukturalnej pionu kontrwywiadowczego WSI, specjalistą od zagadnień terrorystycznych, a w dodatku „wypracował ciekawe sytuacje na głównym kierunku zagrożenia wywiadowczego". Było to już po realizacji sprawy wymierzonej w abp. Juliusza Paetza, której materiały złożono w Teczce Nadzoru Szczególnego o kryptonimie Anioł w 2002 r. Mając taką pozycję, Tobiasz ściągnął do służby w WSI swojego syna. Jeszcze w marcu 2006 r. płk Tobiasz awansował z polecenia gen. Dukaczewskiego i został szefem oddziału antyterrorystycznego w Zarządzie III WSI o kompetencjach wykraczających poza ramy powierzonej komórki kontrwywiadu.

Cieszył się zaufaniem szefostwa na tyle, że zupełnie oficjalnie – formalnie w imieniu Dukaczewskiego – usiłował nawet prowadzić dialogi operacyjne z dziennikarzami. Nawet już w trakcie likwidacji i weryfikacji żołnierzy WSI, powołując się wprost na Dukaczewskiego (który formalnie pozostawał już w rezerwie kadrowej), Tobiasz skontaktował się z dziennikarzem „Wprost" Jarosławem Jakimczykiem „celem wyselekcjonowania wiedzy, związanej z ukazywanymi się artykułami dotyczącymi weryfikacji i likwidacji WSI". „Tobiasz wydał mi się osobą, która chciała mnie wykorzystać instrumentalnie do celów znanych tylko jemu i jego przełożonym. Uznałem, że powinienem go traktować z ostrożnością i czujnością" – zeznał później w prokuraturze Jakimczyk.

Karierę i wpływy przerwała likwidacja WSI. 28 września 2006 r. płk Tobiasz został przeniesiony do rezerwy kadrowej. Kiedy już realizował swoją prowokację wobec likwidatorów WSI, 29 sierpnia 2007 r. Tobiasz złożył wypowiedzenie stosunku służbowego, prosząc o zwolnienie z wojska z dniem 31 stycznia 2008 r.

PROWOKATOR

Oczywiście u zarania opisanego tydzień temu w „Do Rzeczy" scenariusza prowokacji legła osobista sprawa płk. Leszka Tobiasza. Chodzi o niemal pewną jego negatywną weryfikację, zwłaszcza po tym, jak pod koniec 2006 r. Komisja Weryfikacyjna WSI złożyła zawiadomienie do prokuratury wojskowej w sprawie nieprawdziwego oświadczenia weryfikacyjnego Tobiasza. Było też drugie zawiadomienie, złożone z kolei przez podwładnych Tobiasza, w sprawie fałszowania dokumentów. Jedno z nich zakończyło się zresztą w 2011 r. prawomocnym wyrokiem sądowym skazującym Tobiasza na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata za to, że w październiku 2004 r. wydał fikcyjne polecenie służbowe żołnierzowi kontrwywiadu, którego wezwał do centrali WSI, by uniemożliwić mu w ten sposób powrót do Mińska Mazowieckiego i wzięcie udziału w nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Gminy Cegłów, naruszając zasadę apolityczności Sił Zbrojnych RP, działając na szkodę interesu publicznego i poszkodowanego.

W każdym razie, jeśli nawet – dość naiwnie uznamy – że prowokacja Tobiasza miała jedynie wymiar osobistej zemsty i że był on jej jedynym pomysłodawcą, to niewątpliwie wypchnięcie go z tajnych służb mogło się stać bezpośrednim motywem do podjęcia całego szeregu działań operacyjno-prowokacyjnych. Gdyby nawet założyć zasadność powyższej hipotezy, to i tak wydaje się oczywiste, że chociażby ze względu na skalę podjętej gry, przynajmniej od czasu wciągnięcia w nią marszałka Sejmu, szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i podsekretarza stanu koordynatora służb specjalnych w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Tobiasz musiał korzystać z całego systemu znajomości, naprowadzeń i analiz umożliwiających efektywność podjętych działań.

Wydaje się, że najistotniejszy był drugi etap prowokacji, czyli moment, kiedy już po wygranych przez PO wyborach jesienią 2007 r. Bronisław Komorowski, Krzysztof Bondaryk i Paweł Graś zdecydowali się autoryzować wynurzenia Tobiasza, a zebrane przez niego dowody rzekomego przestępstwa popełnionego w Komisji Weryfikacyjnej WSI uznać za „wiarygodne", jak napisał szef ABW w zawiadomieniu do prokuratury z 27 listopada 2007 r. Ich postawa, jak się wydaje, na wiele lat przesądziła o stanowisku prokuratury, która uznała Tobiasza nie tylko za wiarygodnego świadka fikcyjnego przestępstwa, lecz także – jak stwierdził w 2015 r. sąd – „wbrew przepisom kodeksu postępowania karnego" przyznała mu status pokrzywdzonego, przez co mógł on manipulować śledztwem przez kilka lat, znając jego kierunki, a nawet treść zeznań świadków i oskarżonych. Mało tego, co

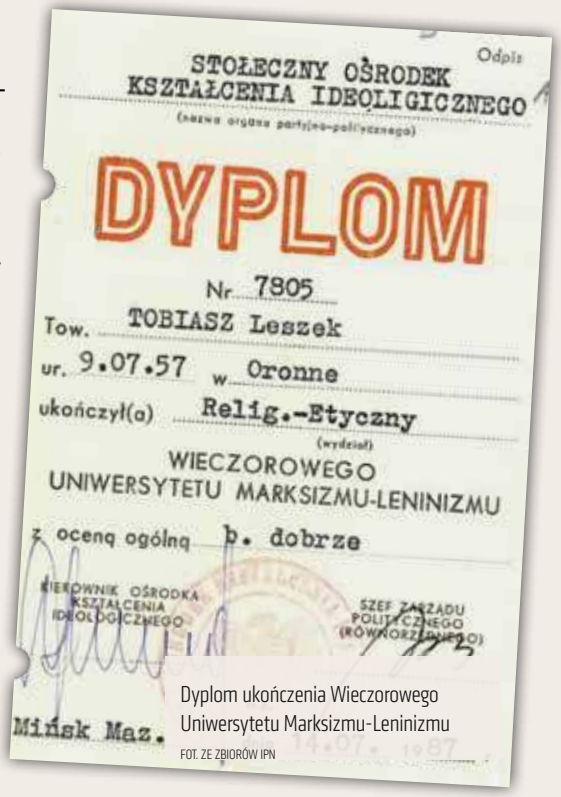
Odpis

STOŁECZNY OŚRODEK KSZTAŁCENIA IDEOLIGICZNEGO

(nazwa organu partyjno-politycznego)

DYPLOM

Nr 7805

Tow. TOBIASZ Leszek

ur. 9.07.57 w Oronne

ukończył(a) Relig.-Etyczny (wydział)

WIECZOROWEGO UNIWERSYTETU MARKSIZMU-LENINIZMU

z oceną ogólną b. dobrze

KIEROWNIK OŚRODKA KSZTAŁCENIA IDEOLOGICZNEGO

SZEF ZARZĄDU POLITYCZNEGO (RÓWNORZĘDNEGO)

Mińsk Maz. 14.07.1987

Dyplom ukończenia Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu

FOT. ZE ZBIORÓW IPN

eprasa.pl 10bcd3ca63

warto podkreślić, Tobiasz realizował swoją prowokację już po formalnym rozpoczęciu śledztwa przez prokuraturę, spotykając się dalej z Lichockim i Pietrzakiem (także incydentalnie z Wojciechem Sumlińskim), których w dodatku nagrywał.

FAŁSZ ZEZNAŃ

Polityczny parasol rządzących Polską uczestników prowokacji Tobiasza (z których jeden został w międzyczasie prezydentem RP!) sprawił, że aż do czasu procesu sądowego i wyroku z grudnia 2015 r. śledczy trzymali się fałszywie obranej w 2007 r. (potwierdzonej aktem oskarżenia z 2009 r.) drogi, broniąc do końca wszystkich błędów, które popełnili. Skalę manipulacji śledztwa ukazuje zmienność zeznań Tobiasza, wskazywanie nowych pól zainteresowania i przestępstw, sposób traktowania dowodów w sprawie rzekomego przestępstwa i sprzeczności w zeznaniach głównych aktorów prowokacji. Nawet pobieżna analiza zeznań Tobiasza w prokuraturze pozwala ukazać stronniczość śledczych, nie mówiąc już o wiarygodności głównego świadka. Już w pierwszym zeznaniu z 24 listopada 2007 r. Tobiasz, powołując się na nagranie rozmowy z płk. Aleksandrem Lichockim ze stycznia 2007 r., stwierdził, że Piotr Bączek, Piotr Woyciechowski, Leszek Pietrzak i Sławomir Cenckiewicz mieli być pomocni przy jego weryfikacji i byli gotowi przyjąć łapówkę, podczas gdy na nagraniu w ogóle nie ma takich informacji (pomijając inne rzeczowo-faktograficzne błędy tej opowieści)!

Następnie Tobiasz zeznał (powołując się z kolei na rozmowę z Lichockim z 20 listopada 2007 r.), że wie o tym, iż Bączek sprzedał aneks do weryfikacji żołnierzy WSI spółce Agora, choć tłumaczy się, że faktycznie nie ma na to dowodu, gdyż nie wszystkie rozmowy z interlokutorami utrwalał na taśmach (m.in. z braku miejsca!). Innym razem (17 grudnia 2007 r.) uzupełniając swoje zeznania, Tobiasz zaczął podkreślać, że podczas swoich rozmów z Pietrzakiem nigdy nie słyszał, żeby żądał on od niego pieniędzy! Z kolei 29 kwietnia 2008 r. Tobiasz stwierdził w prokuraturze, że nie może znaleźć fundamentalnego dowodu, o którym opowiadał, czyli oświadczenia Lichockiego o zaciągniętej pożyczce. „Być może zniszczyłem ten dokument wraz z oryginalną listą członków Komisji WSI" – zeznał Tobiasz.

Wycofał się wówczas z opowieści o rzekomym handlu aneksem do raportu z weryfikacji żołnierzy WSI, stwierdzając wprost, że „blefował" w tej sprawie, a wiedzę czerpał z mediów. 18 kwietnia 2008 r. Tobiasz opowiedział śledczym plotkę o 300 tys. euro za wykreślenie dwóch nazwisk z raportu o weryfikacji WSI, aby kilka tygodni później (6 maja 2008 r.) powrócić do wynurzeń o łapówkach dla „zespołu" Bączka, Woyciechowskiego, Pietrzaka i Cenckiewicza, choć wiedział, że nigdy nie było takiego zespołu, a Cenckiewicz nie był nawet nigdy członkiem Komisji Weryfikacyjnej. Szczytem bredni będzie informacja o niedoszłym członkostwie Lichockiego w Komisji Weryfikacyjnej WSI (zeznanie z 7 października 2008 r.) i długiej rozmowie z Antonim Macierewiczem, który miał mu zaproponować wyjazd na placówkę w Uzbekistanie, ale przez przypadek skasował tę rozmowę (zeznanie z 29 października 2008 r.).

Ludzie WSI wprost deklarowali swoje poparcie dla ekipy realizującej politykę „resetu" z Rosją. Wracali do pracy w specsłużbach nawet pomimo wcześniejszej negatywnej weryfikacji

PLATFORMA WSI

Niespójność wynurzeń płk. Leszka Tobiasza wywróciłaby każde śledztwo prowadzone zgodnie z zasadami sztuki prokuratorskiej, gdyby nie fakt, że oficera WSI uwiarygadniali politycy PO, ukrywając w dodatku liczbę spotkań, treść i przebieg własnych rozmów z Tobiaszem. Pomagał im w tym sam Tobiasz, starając się dopasować własne zeznania. Podczas jednej z wizyt w prokuraturze zeznał, że z zachowanych przez niego notatek wynika, że z Komorowskim widział się 27 listopada 2007 r., podczas gdy do pierwszego spotkania z marszałkiem Sejmu doszło już na początku listopada („w dzień roboczy po 31 października 2007 r."), a następnie 21 listopada. Później Komorowski prostował swoje zeznania w sprawie spotkań z Tobiaszem, przyznając 21 stycznia 2009 r., że polegał na własnej pamięci i mógł się pomylić. Dodał w przypływie pamięci, że „spotkań takich było kilka. Nie potrafię dokładnie, ile. […] Zakładam, że Leszek Tobiasz może mieć bardziej precyzyjną wiedzę".

W ten sposób ani śledczy, ani później sąd nie byli w stanie ustalić podstawowych faktów związanych z liczbą spotkań polityków PO z Tobiaszem. W toku zeznań ewoluował również przebieg spotkań z Tobiaszem. W jednej z wersji w pierwszym spotkaniu Tobiasza z Komorowskim mieli uczestniczyć starosta powiatu warszawskiego zachodniego Jan Żychliński (miał nawet przywieźć Tobiasza do Komorowskiego) i Jadwiga Zakrzewska (zeznanie Tobiasza z 7 października 2008 r.), w innych zaś jest mowa jedynie o obecności Pawła Grasia (zeznanie Grasia z 27 listopada 2008 r.). Wszyscy na ogół byli natomiast zgodni co do tego, że kiedy Komorowski zobaczył zdjęcie Lichockiego okazane przez Tobiasza podczas drugiego spotkania, to „się uśmiechnął", stwierdzając, że opowieści oficera WSI „zostały uwiarygodnione", i do sprawy włączył szefa ABW, który swoim zawiadomieniem do prokuratury przesądził o „wiarygodności informacji" Tobiasza.

HIPOTEZA

Wiele wskazuje na to, że przynajmniej w wymiarze osobistym płk Leszek Tobiasz obawiał się groźby negatywnej weryfikacji, utraty dostępu do wiedzy tajemnej, możliwości operacyjnych i pozycji społeczno-zawodowej. Martwił się także o los syna, który przeszedł pozytywną weryfikację i został wyznaczony na nowe stanowisko w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego. Jednak znajomość związków towarzysko-koleżeńskich Tobiasza i jego pozycji w WSI tuż przed likwidacją tej służby każe wykluczyć możliwość działania w pojedynkę. Mało prawdopodobna wydaje się również sytuacja, w której Tobiasz odegrałby rolę nieświadomego narzędzia w rękach zakulisowych aktorów z byłych WSI.

Natomiast nie wykluczyłbym prawdopodobieństwa braku świadomości co do zakulisowych aktorów inspirowanych lub nawet bezpośrednio zaangażowanych przez obcy wywiad. W tym wypadku należałoby jednak raz jeszcze przeanalizować całą ścieżkę zawodową Tobiasza, którego – co warto przypomnieć – oficjalnie żegnali przedstawiciele ambasady rosyjskiej w Polsce, co w przypadku oficerów WP zaangażowanych formal-

eprasa.pl 10bcd3ca63

PŁK LESZEK TOBIASZ
(stopień, imię i nazwisko)
516093164-kom.
(telefon)
Rezerwa kadrowa
Minister Obrony Narodowej

Warszawa, dnia 29.08. 2007 r. 1/3

ZESPÓŁ OBSŁUGI ADMINISTRACYJNO-PERSONALNEJ
Nr 1182/07
Wpłynęło 29 08 2007
Zał. — Ark./Str. 1

MINISTER OBRONY NARODOWEJ
Warszawa

WYPOWIEDZENIE

Wypowiadam stosunek służbowy zawodowej służby wojskowej i oświadczam, że znane mi są ustawowe warunki wypowiedzenia stosunku służbowego dokonanego przez żołnierza zawodowego.

Jednocześnie wnoszę o skrócenie okresu wypowiedzenia i zwolnienie mnie z dniem 31 STYCZNIA 2008 r.

płk L. TOBIASZ
29.08.2008 r.

płk Leszek TOBIASZ
Dyspozycja
Departament Kadr MON

Warszawa, dnia 15 stycznia 2008 r. 1

MINISTER OBRONY NARODOWEJ
Pan Bogdan KLICH
Warszawa

WNIOSEK

Uprzejmie proszę Pana Ministra o wycofanie mojego wypowiedzenia stosunku służbowego zawodowej służby wojskowej złożonego w sierpniu 2007 r. i anulowanie decyzji Ministra Obrony Narodowej o zwolnieniu z zawodowej służby wojskowej.

Biorąc pod uwagę moje doświadczenie zawodowe i kwalifikacje uprzejmie proszę o wyznaczenie mnie na stanowisko służbowe.

U góry: wypowiedzenie Tobiasza z wojska (2007 r.), a poniżej wycofanie wypowiedzenia (2008 r.)

FOT. ZE ZBIORÓW WBH

nie w działalność specjalną na kierunku rosyjskim się zwyczajnie nie zdarza. Nie bez podstaw byłoby przyjrzenie się bliżej okoliczności i przyczynie śmierci Tobiasza, który umarł nagle w nocy z 10 na 11 lutego 2012 r., kiedy niebawem miał zostać przesłuchany i skonfrontowany w sądzie z prezydentem Komorowskim.

Istnieje wreszcie hipoteza polityczna, w której nie chodzi jedynie o zemstę samego Tobiasza i wciągnięcie we własną prowokację polityków PO w oparciu o dość czytelne reguły wojny z PiS. Może mieć ona w tym wypadku szerszą płaszczyznę realizacji, w której centrum jest antycypowana wówczas przez polityków Platformy polityka „resetu" w relacjach z Rosją. Innymi słowy, jeśli z jakichś powodów (choćby konstelacji międzynarodowej, do której pretendował nowy rząd) ktoś wówczas chciał strategicznego resetu z Federacją Rosyjską, to równie oczywista byłaby potrzeba uderzenia w środowiska antyrosyjskie w Polsce, choćby przy wykorzystaniu do tego sprawy WSI i sowiecko-rosyjskich „ogonów" tej służby. W tym sensie „afera marszałkowa" byłaby w takim ujęciu idealnym narzędziem, by skompromitować Antoniego Macierewicza, PiS i kojarzone z nim koncepcje i środowiska z definicji nieufne wobec Rosji.

Nie będzie przesadą ani tym bardziej już hipotezą stwierdzenie, że w początkowym okresie rządów PO-PSL (a zwłaszcza po 10 kwietnia 2010 r.) zaproponowano Rosji „reset" na warunkach niezależnych od polityki Zachodu. Miał wówczas miejsce proces „rusyfikacji" instytucji państwowych: usuwano lub spychano na margines ludzi o wyraźnej orientacji niepodległościowej i prozachodniej, ściągano różnego rodzaju rusofilów, posuwając się do importowania ludzi wywodzących się z mniejszości białoruskiej i indyferentnych narodowo, demonstrowano bezpośrednie relacje z politykami rosyjskimi, w tym z przedstawicielami służb specjalnych, polityka pamięci zaczęła odwoływać się do zwycięstwa Sowietów nad niemieckim faszyzmem, co wydatnie wpłynęło na zmianę kwalifikacji ludobójstwa katyńskiego w zbrodnię wojenną, a dawny paradygmat polityki zagranicznej Polski nakazującej udzielenia wsparcia wszystkim państwom regionu dla ich aspiracji prozachodnich zastąpiła poprawność relacji z Rosją…

Przez cały czas towarzyszył temu procesowi z jednej strony klimat zawodu związanego z likwidacją WSI, z drugiej natomiast nieustannie ponawiana obietnica rozliczenia wszystkich osób zaangażowanych w proces likwidacji tej służby. Ludzie WSI wprost deklarowali swoje poparcie dla ekipy realizującej politykę „resetu" z Rosją. Wracali do pracy w specsłużbach nawet pomimo wcześniejszej negatywnej weryfikacji. Dla zobrazowania tego wsparcia środowiska WSI odwołam się do przykładu samego płk. Tobiasza, który w piśmie z 15 stycznia 2008 r. do ministra obrony narodowej Bogdana Klicha wycofał swój wniosek o zwolnienie z wojska i prosił o wyznaczenie na nowe stanowisko służbowe w wojskowych służbach specjalnych. Cdn...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Żydzi ofiarą Sowietów

Z problemem tym pierwszy raz zetknąłem się dobre kilkanaście lat temu. Napisałem wówczas dla „Rzeczpospolitej" serię artykułów o Izraelczykach polskiego pochodzenia, którzy domagali się przyznania im przywilejów „ocalałych z Holokaustu". Wywoływało to spore kontrowersje, bo ludzie ci byli ofiarami Sowietów, a nie Niemców.

Bolszewicy w latach 1939–1941 wywieźli ich ze wschodniej Polski na Syberię i do Kazachstanu. Tam przeszli przez piekło łagrów i kołchozów. Na „nieludzkiej ziemi" stracili wielu bliskich. Udało im się uratować dzięki armii Andersa. Przez Teheran i Irak trafili do Palestyny.

Tragiczne doświadczenia tych ludzi spotykały się z nierozumieniem izraelskiej opinii publicznej. Ich przeżycia nie pasowały bowiem do znanego schematu, w którym jedynymi katami narodu żydowskiego byli Niemcy. W schemacie tym dla Sowietów zarezerwowana była wyłącznie rola wyzwolicieli.

O sprawie tej przypomniałem sobie, czytając wzruszającą książkę – „Ku wolności" autorstwa australijskiej dziennikarki Sue Smethurst. To opowieść o miłości młodej żydowskiej szwaczki Mindli Lewin (która przed wojną mieszkała w Warszawie przy ul. Muranowskiej 17) i Mojżesza „Kubusia" Horowitza. Klauna ze słynnego Cyrku Braci Staniewskich.

Para wzięła ślub krótko przed 1939 r. i została rozdzielona przez wojenną zawieruchę. Mindla została aresztowana przez NKWD w okupowanym przez Sowietów Białymstoku. Jej synek został zamknięty w straszliwym sowieckim sierocińcu. „Kubuś" tymczasem wrócił do Warszawy i nie zastawszy w domu rodziny, wyruszył na Wschód, aby ją uratować.

Akcja opowieści dzieje się w Związku Sowieckim, a potem w trakcie pełnej niebezpieczeństw podróży przez Bliski Wschód i Afrykę. Rodzina Horowitzów osiadła ostatecznie w Australii. Mindla do końca życia – umarła w roku 2015 – mówiła po angielsku z silnym polskim akcentem.

Autorka książki – Sue Smethurst – przegadała z Mindlą długie godziny. Jest bowiem żoną jej wnuka. Dzięki temu uzyskała dostęp do unikalnych rodzinnych dokumentów i zdjęć. „Ku wolności" to ciekawa historia jednostek ludzkich wciągniętych w wir wielkiej historii. ©℗

★★★★★★
SUE SMETHURST „KU WOLNOŚCI" REBIS

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć Wilna

Stolica Litwy jest miastem, które należy zwiedzać powoli, bez zbytniego pośpiechu. To miejsce, gdzie należy spędzić co najmniej kilka dni, gdyż zbyt wiele tutaj zabytków i polskich śladów, by wizytę zmieścić w ciągu dnia lub dwóch. Miasto może nie oszałamia liczbą mieszkańców (527 tys. według danych z 2011 r.), ale jednak jego starówka zajmuje obszar 225 ha. Na jej terenie znajduje się ponad 1,5 tys. zabytkowych obiektów, a niemal każdy z nich związany jest z historią naszego kraju.

> **Wilno jest piękne, zwłaszcza oglądane ze szczytu baszty Giedymina**

Wilno nazywano miastem baroku i faktycznie większość jego historycznych budowli reprezentuje ten styl architektoniczny. To efekt straszliwego kataklizmu, kiedy to 7–8 sierpnia 1655 r. Moskale i Kozacy rozbili w pobliżu siły litewskie, a następnie opanowały litewską stolicę. Była to największa katastrofa w dziejach Wilna, ponieważ grabież trwała trzy doby, a miasto płonęło jeszcze przez następne 17 dni. Zginęło wówczas 20 tys. mieszkańców (blisko połowa ludności), a w zniszczonym grodzie zapanował taki głód, że jeszcze przez kolejne dwa lata dochodziło do aktów kanibalizmu. Miasto już nigdy nie odzyskało swojego znaczenia i pół wieku później liczyło zaledwie 4 tys. mieszkańców. Czekać trzeba było jeszcze kolejne dwa stulecia, by Wilno osiągnęło liczbę ludności porównywalną z tą sprzed rosyjskiego najazdu.

Dlatego przetrwało niewiele zabytków z poprzednich epok, a miasto odbudowano w stylu baroku. Dzisiejszy szczyt Góry Zamkowej to w rzeczywistości dawny dziedziniec górnego zamku. Za czasów Jagiełły i Witolda powstała tutaj warownia otoczona murami z potężnymi basztami, ale zniszczona została podczas kataklizmu z sierpnia 1655 r. i od tej pory pozostała zabezpieczoną ruiną.

Wilno jest jednak piękne i gdy wejdziemy na szczyt baszty Giedymina i spojrzymy na południową stronę miasta, zobaczymy ogromną liczbę dachów pokrytych czerwoną dachówką oraz liczne wieże kościołów. Wielka sylwetka uniwersyteckiego kościoła św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelisty, niedaleko od niego świątynie pod wezwaniem św. Katarzyny i św. Ducha, potężna kopuła kościoła św. Kazimierza.

Byłem w Wilnie wielokrotnie i mam nadzieję, że będę jeszcze tutaj wracał. Nawet bowiem mało entuzjastyczny (delikatnie mówiąc) stosunek miejscowych Litwinów do turystów z Polski nie potrafił mnie zrazić do tego miasta. Wilno jest przepiękne, a fakt, że na stałe zapisało się w dziejach Polski, podnosi jeszcze jego wartość. ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

PIEKŁO NA BARYKADZIE. PORUSZAJĄCY WYWIAD Z WETERANEM POWSTANIA '44

Piotr Zychowicz – **Hitler na haju**
Norman Ohler – **Wunderwaffe w pigułce**
Jacek Bartosiak – **Polska musi liczyć na siebie**
Tomasz Stańczyk – **Spór o lekarza z Auschwitz**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Batorego**
Mikołaj Iwanow – **Wanda Wasilewska i Stalin**
Radosław Golec – **Inwazja III Rzeszy na Anglię**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Kłamanie prawdą**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 10bcd3ca63

Jan Hlebowicz

Od morza do morza

Wielką miłością Mariusza Zaruskiego, kojarzonego przede wszystkim z Tatrami i Bałtykiem, było Morze Czarne. O „pierwszym harcerzu i żeglarzu Rzeczypospolitej" pamiętają Polacy mieszkający w Odessie

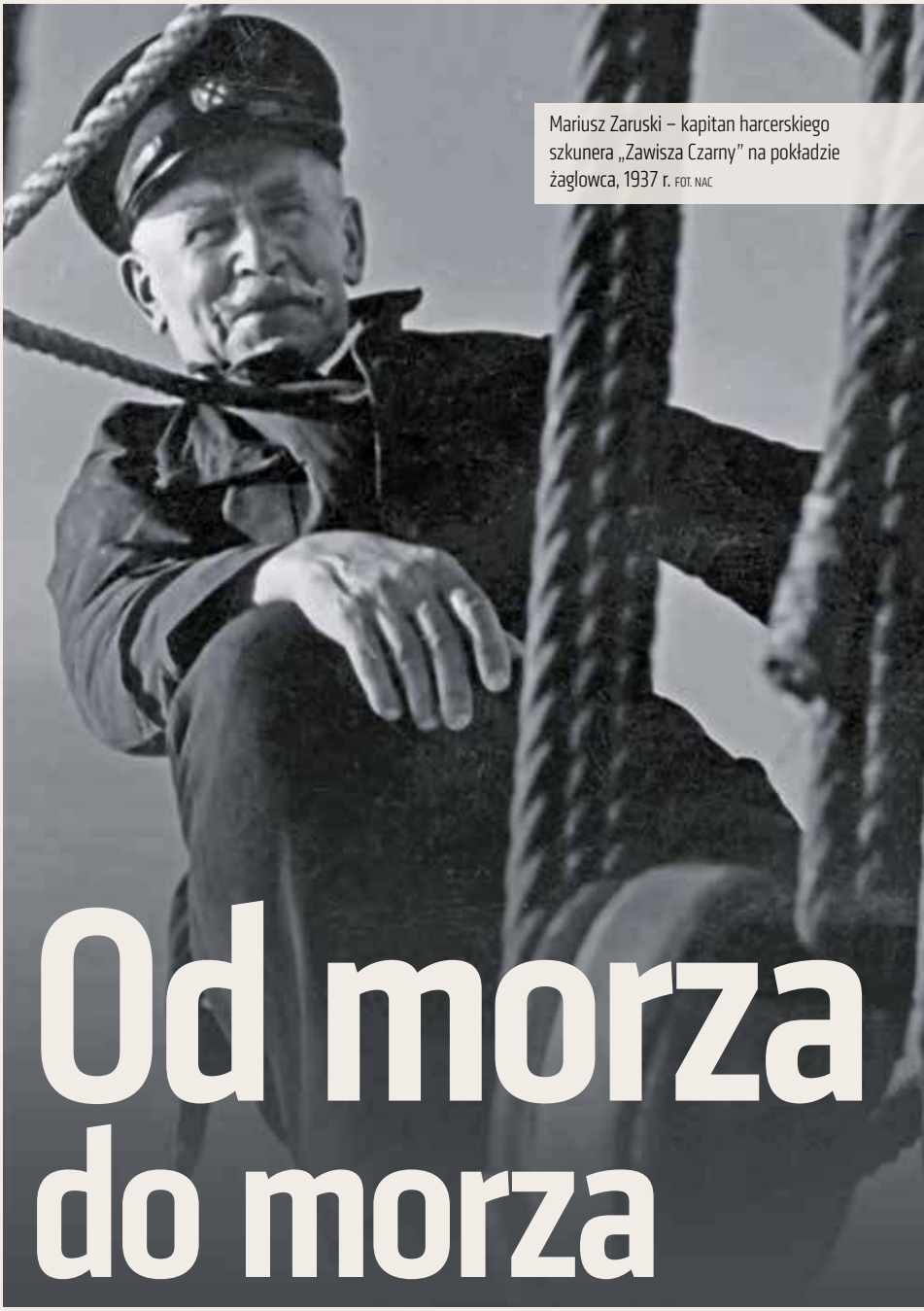

Mariusz Zaruski – kapitan harcerskiego szkunera „Zawisza Czarny" na pokładzie żaglowca, 1937 r. FOT. NAC

Najpierw była osada i twierdza o nazwie Chadżybej zamieszkiwana przez Greków, Genueńczyków, Gotów, Hunów, Awarów, Bułgarów, Madziarów, Tatarów i Turków. Przez pewien czas teren dzisiejszej Odessy znajdował się pod panowaniem Wielkiego Księstwa Litewskiego, sprzymierzonego z Koroną Polską. Wtedy powstało pojęcie „Polska od morza do morza". Miasto, w kształcie znanym obecnie, założone niewiele ponad 200 lat temu, gwałtowny rozwój zawdzięcza pierwszemu gubernatorowi Armandowi Emmanuelowi de Richelieu, arystokracie francuskiemu, wrogowi rewolucji w swoim kraju, uchodźcy i wreszcie generałowi w służbie rosyjskiej. Za jego rządów w ciągu niecałej dekady (1804–1813) liczba mieszkańców wzrosła z 8 do 35 tys. Zanim miasto zostało zajęte przez bolszewików w lutym 1920 r., Polacy stanowili kilkanaście tysięcy mieszkańców.

W Odessie funkcjonował Dom Polski, istniały dwie księgarnie polskie, a jedną z największych aptek prowadzili Gajewski i Popowski. Działało tu wielu polskich lekarzy, adwokatów i inżynierów. W Odessie przez pewien czas przebywali Julian Ursyn Niemcewicz, Józef Ignacy Kraszewski oraz najwybitniejsi poeci romantyczni – Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. Z miastem swoje kariery związali także znani architekci: Lew Włodek, Feliks Gąsiorowski i Mikołaj Tołwiński. To postaci znane miejscowym. Od niedawna ważnym punktem odniesienia dla odeskiej Polonii jest również inny Polak, którego losy silnie splotły się z historią miasta – Mariusz Zaruski.

„ROBINSON CRUSOE" I MORSKIE PRZYGODY

Rówieśnik Józefa Piłsudskiego. Z jednej strony konspirator, legionista i ułan, z drugiej społecznik, wychowawca i przyjaciel młodzieży. Pionier polskiego taternictwa i żeglarstwa. „Gdy stanę przed św. Piotrem i ten zapyta, jak mnie zameldować, odpowiem: »Łamałem młotem wrzeciądza niewoli, prowadziłem Polaków w góry i na morze, ażeby stali się twardzi jak granit, a dusze mieli czyste i głębokie jak morze«" – pisał w 1935 r. na kartach „Wśród wichrów i fal".

Jednak – o czym niewielu dziś pamięta – zanim Bałtyk stał się treścią jego życia, pierwszą wielką miłością było Morze Czarne. Do Odessy – największego portu Cesarstwa Rosyjskiego – Zaruski przybył wprost z Podola. Dla młodego chłopaka, który dotąd nie widział nic poza stepowym krajobrazem, kosmopolityczne miasto jawiło się jako wielkie okno na świat. Z „Robinsonem Crusoe" i książkami Juliusza Verne'a w podręcznej walizce Zaruski marzył o morskich przygodach i dalekich podróżach po krańce Ziemi. Zanim to nastąpiło, utrwalał na płótnie podpatrzone sceny z życia portowego i piękno fal morskich. Zachęcony udanymi próbami marynistycznymi wstąpił do odeskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Aby w końcu spełnić swoje marzenia o realnych morskich wyprawach, w czasie studenckich wakacji zaciągał się do pracy na statkach

eprasa.pl 10bcd3ca63

handlowych. Jako majtek okrętowy odbył wiele egzotycznych podróży do Syrii i Egiptu, Indii, Chin i Japonii.

Zafascynowany Siemionem Nadsonem, Zaruski próbował swoich sił jako poeta. Wiersze opisujące jego morskie przygody nie wzbudzały jednak większego zainteresowania. Nie zrażając się tym, podczas jednej z podróży postanowił, że zostanie kapitanem żaglowca. Z tego powodu przerwał studia malarskie i rozpoczął naukę w Szkole Morskiej w Odessie.

ZSYŁKA NA PÓŁNOC

Student Zaruski chłonął rewolucyjną atmosferę Odessy. Jego mieszkanie przy ul. Bazarnej stało się jednym z miejsc spotkań konspiracyjnych. Na tajnych zebraniach czytano i omawiano przemycone z zagranicy manifesty polityczne i odezwy. Przede wszystkim jednak przygotowywano się do walki – pod pretekstem ćwiczeń gimnastycznych wprawiano się we władaniu bronią i wojskowej musztrze. Jak wskazuje Bartosz Januszewski, autor publikacji poświęconej Zaruskiemu, historyk związany z Instytutem Pamięci Narodowej Oddział w Gdańsku, niewykluczone, że Zaruski, który w 1891 r. zgłosił się ochotniczo do służby wojskowej w carskiej armii, zrobił to na polecenie swojej organizacji.

Po rocznej służbie, już jako praporszczik zapasa (chorąży rezerwy), mógł bowiem przekazywać kolegom zdobyte informacje oraz nowinki z dziedziny wojskowości. Równolegle utrzymywał kontakt z innymi organizacjami niepodległościowymi, m.in. z Ligą Polską i Polskim Towarzystwem Gimnastycznym „Sokół".

Działalność Zaruskiego ostatecznie została zdekonspirowana. W połowie 1894 r., podczas jednego z zebrań w domu przy ul. Bazarnej, grupę spiskowców aresztowano i osadzono w odeskiej turmie. Zaruski – oskarżony o udział w odeskich strukturach „Sokoła" oraz „innych polskich bezprawnych stowarzyszeniach" – został skazany na pięć lat zsyłki „pod ścisłym nadzorem".

W Archangielsku uzyskał zgodę miejscowego gubernatora na udział w rejsach dalekomorskich. Zamustrował się na szkunerze „Dierżawa" („Mocarstwo"), kursującym do portów Dalekiej Północy z drewnem i futrem, a następnie rozpoczął służbę jako dowódca „Nadieżdy" („Nadziei"), pływając w obszarze Arktyki. W czasie jednego z postojów na przylądku Nordkap wybrał się w swoją pierwszą wyprawę górską na szczyt lodowca. Przygody z tego okresu opisał w sonetach, publikowanych m.in. w „Tygodniku Ilustrowanym".

HETMAN TATR, ŻEGLARZ I „ELEMENT NIEBEZPIECZNY"

Z zsyłki powrócił do Odessy, gdzie poznał córkę miejscowego lekarza – Izabelę Kietlińską. Po ślubie w 1901 r. małżonkowie przenieśli się do Krakowa, a następnie do Zakopanego. Góry szybko stały się kolejną pasją przyszłego generała. Zaruski dokonał śmiałego przejścia przez Zawrat. Zaliczył również pierwsze zimowe wejście na Skrajną i Pośrednią Turnię. Do jego osiągnięć należał też spektakularny zjazd na nartach z Rysów, Kościelca, Zawratu i Koziego Wierchu. W 1909 r., wobec rosnącej liczby turystów, utworzył Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Nazywany był Mesjaszem, Królem lub Hetmanem Tatr.

Ostatecznie jednak wygrało morze. „Generał-Kapitan był wymagający, w wolnych chwilach siadał wśród grupy żeglarzy na pokładzie i wspólnie obierał ziemniaki […]. W takich chwilach byliśmy zasłuchani w jego opowieściach i opowiadaniach bądź z wypraw żeglarskich po morzach północy, bądź z wypraw na jachtach po Bałtyku" – wspominał jeden z uczestników rejsów „Zawiszy Czarnego".

Z Bałtykiem i wychowaniem morskim Mariusz Zaruski związał swoje życie na kilkanaście lat, dowodząc 17 rejsami, które dotarły do 26 portów w 10 krajach. Do legendy przeszła jego brawurowa odwaga jako kapitana statku. Na przykład podczas rejsu do Visby na Gotlandii Zaruski postanowił wejść do portu bez asysty holowników. W opinii jednego z uczestników tamtej wyprawy był to „czyn śmiały, niemal zuchwały". Perfekcja wykonanego manewru wzbudziła jednak entuzjazm zgromadzonych na nabrzeżu: „Wymachiwali czapkami nawet funkcjonariusze kapitanatu portu, piloci, marynarze statków znajdujących się w porcie, słowem – wszyscy bez wyjątku, kto tylko był i widział".

Wielką pasję generała, którą realizował przede wszystkim jako opiekun polskich harcerzy, przerwała wojna. Planowany na koniec sierpnia 1939 r. rejs został odwołany. Zaruski wyjechał z Gdyni i mimo zaawansowanego wieku zgłosił się do służby w mobilizowanej polskiej armii. Nieprzyjęty, udał się do majątku przyjaciół na Wołyniu, a następnie do Lwowa. Prawdopodobnie 10 grudnia 1939 r. (lub 31 marca roku następnego) ukrywającego się generała aresztowało NKWD.

Historia życia Mariusza Zaruskiego zatoczyła krąg. Trafił do sowieckiego więzienia w Chersoniu, koło Odessy, gdzie pół wieku wcześniej rozpoczął przygodę z morzem. Zarzucono mu, że „był oficerem byłej polskiej armii i posługiwał się fałszywymi dokumentami, pragnąc zataić swoją poprzednią działalność". W trakcie śledztwa został uznany za „element społecznie niebezpieczny" i skazany na pięć lat łagru.

Wiosną 1941 r. zachorował na krwawą dyzenterię i w ciężkim stanie trafił do szpitala więziennego. Mariusz Zaruski zmarł 8 kwietnia 1941 r. „Trup męski prawidłowej budowy ciała rażąco wyniszczony złym odżywianiem (głodem)" – napisano w akcie wystawionym przez lekarza szpitala więziennego w Chersoniu.

GRA MIEJSKA, WYSTAWA I FILM

Pamięć o związkach Mariusza Zaruskiego z Morzem Czarnym pielęgnują Polacy mieszkający w Odessie. Jest ich blisko stu, podzielonych na 16 drużyn. Wszyscy w koszulkach z podobizną „pierwszego harcerza i żeglarza Rzeczypospolitej" odwiedzają miejsca związane z Zaruskim, uczą się wiązać węzły morskie i poznają żeglarskie zwyczaje. Tworzą wiersze, piosenki i rysunki z historią Odessy, generałem i wątkami marynistycznymi w tle. Chociaż w kuluarach większość mówi do siebie po ukraińsku lub rosyjsku, to robią wszystko, by dzieła godnie prezentowały się w języku ojczystym. „Latarnia morska w Odessie. Cóż może być lepsze? Nawet Mariusz Zaruski chciałby mieszkać tu jeszcze" – brzmi jeden z krótkich utworów.

Tak wyglądała organizowana po raz pierwszy podczas Dni Polski (21–24 czerwca) gra miejska „ścieżkami Zaruskiego". Z inicjatywy Konsulatu Generalnego RP w Odessie na język ukraiński przetłumaczono także wystawę IPN Gdańsk poświęconą Zaruskiemu. W czasie Dni Polski ekspozycja – w obecności zarówno Polaków, jak i Ukraińców – zaprezentowana została w Odeskiej Narodowej Bibliotece Naukowej. Jedną z najważniejszych inicjatyw konsulatu oraz Związku Polaków na Ukrainie Oddział im. Adama Mickiewicza w Odessie jest film dokumentalny pt. „Mariusz Zaruski. Patriota zakochany w morzu", realizowany przy merytorycznym wsparciu IPN. Premiera już wkrótce w ukraińskiej telewizji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, publicystą, pracownikiem IPN Oddział w Gdańsku.

eprasa.pl 10bcd3ca63

Piotr Włoczyk

Po co komu policja

Eksperyment pod hasłem „obcinamy budżety policji" nie trwał nawet roku. Główny postulat ruchu Black Lives Matter nie wytrzymał zderzenia z brutalną rzeczywistością

FOT. IRA L. BLACK/CORBIS/GETTY IMAGES

Ten rok był jednym z najtrudniejszych okresów, jakie przeżyłem w Minneapolis, a żyję tu od urodzenia. Liczba strzelanin, broni w rękach kryminalistów – to wszystko bardzo niepokoi i zasmuca" – przyznał na antenie lokalnej stacji KSTP Cam Gordon, członek rady miasta Minneapolis reprezentujący Partię Zielonych USA.

Rok temu, na fali ogromnych protestów po zabójstwie George'a Floyda, Gordon był jednym z tych lokalnych polityków, którzy nie tylko stawiali postulat odebrania policji części funduszy, lecz także domagali się rozwiązania tej struktury i powołania zamiast niej nowej, społecznej instytucji, która dbałaby o bezpieczeństwo. Ostatecznie nie doszło do tak głębokiej rewolucji, o jakiej marzył Gordon, ale cięcia w budżecie policji i tak niechybnie oznaczały redukcję etatów. O ile w styczniu 2019 r. bezpieczeństwa na ulicach tego liczącego ponad 400 tys. mieszkańców miasta strzegło 910 funkcjonariuszy, o tyle w maju tego roku ich liczba spadła do 699.

Efekt był nietrudny do przewidzenia. Liczba zabójstw skoczyła w tym mieście w ciągu roku o 60 proc. Na tak fatalne statystki wpływ miało jednak nie tylko samo zdjęcie funkcjonariuszy z ulic, lecz także ogólne rozzuchwalenie przestępców, którzy przez kilka miesięcy w zeszłym roku mogli czuć się kompletnie bezkarni, korzystając z chaosu wywoływanego w trakcie zamieszek po śmierci George'a Floyda.

INSPIRACJA DLA INNYCH?

Część mieszkańców Minneapolis stwierdziła w końcu, że tak dłużej nie może być, i na drodze sądowej postanowiła walczyć z pomysłami lewicowych władz miasta. W zeszłym miesiącu sędzia Jamie Anderson wydała wyrok w tej sprawie. Stwierdziła w nim, że burmistrz Jacob Frey i rada miasta „nie wypełnili obowiązków, które nakłada na nich prawo". Krótko mówiąc, sędzia uznała, że obcinanie funduszy na policję, gdy wzbiera fala przestępczości, to działanie na szkodę mieszkańców miasta. Jamie Anderson rozkazała władzom zatrudnić nowych policjantów, by ich liczba była adekwatna do wyzwań stojących przed miastem.

„To wielkie zwycięstwo dla pozywających miasto, a także dla wszystkich mieszkańców Minneapolis. Szczególnie tych, którzy żyją w najbardziej mieszanych dzielnicach, które odczuwają wzrost przestępczości" – powiedział Doug Seaton, prawnik z konserwatywnej organizacji Upper Midwest Law Center. – Skoro nam się udało zatrzymać odbieranie funduszy policji i wymogliśmy zwiększenie zatrudnienia stróżów prawa w Minneapolis, to mamy nadzieję, że to zainspiruje innych w Ameryce do poczynienia podobnych kroków".

„Wydaje się, że rada miasta wciąż znajduje się w głębokim szoku, widząc, że zwalnianie policjantów prowadzi do wzrostu najbardziej niebezpiecznych przestępstw" – ironicznie skomentowali problemy Minneapolis związkowcy z organizacji National Police Support Fund.

Podobnie wygląda sytuacja w innych amerykańskich miastach, które wdrożyły w życie główny postulat ruchu Black Lives Matter. Jak wyliczył „The New York Times", dane z 37 największych miast pokazują, że w pierwszym kwartale tego

eprasa.pl 10bcd3ca63

roku morderstw jest o jedną piątą więcej niż w analogicznym okresie rok temu. Najgorzej wygląda sytuacja w Portland, gdzie – licząc rok do roku – liczba zabójstw wzrosła o 530 proc. (włodarze tego miasta obcięli finansowanie policji o 10 proc.). Tymczasem według sondażu zamówionego przez The Oregonian/OregonLive trzy czwarte mieszkańców Portland nie chce obniżania wydatków na policję (połowa respondentów chce wręcz więcej funkcjonariuszy).

Ten odwrót od obcinania funduszy policji to ogólnokrajowy fenomen. Aktywistom BLM udało się zmusić władze 25 największych amerykańskich miast do redukcji policyjnych budżetów (m.in. Nowego Jorku, Waszyngtonu, Filadelfii, Atlanty, Minneapolis, Austin, Los Angeles, San Francisco czy Seattle), ale – jak wyliczył „The Wall Street Journal" – wśród 20 największych miast w USA lokalne władze zaplanowały wzrost wydatków na policję w 9 z 12 proc., gdzie budżety na kolejny rok już zostały złożone.

CIOS W NYPD

Spektakularną katastrofą zakończyło się redukowanie budżetu policji największego amerykańskiego miasta. Aktywiści BLM wymogli na władzach Nowego Jorku obcięcie funduszy NYPD o miliard dolarów, czyli aż o jedną szóstą. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Statystyki morderstw wystrzeliły w „Wielkim Jabłku" o 40 proc. w porównaniu z 2019 r. Ofiar strzelanin jest o 100 proc. więcej. Rzeczywistość wygląda już tak źle, że przyznaje to otwarcie nawet demokratyczny gubernator Nowego Jorku. „Więcej osób umiera teraz z powodu przestępstw i przemocy z użyciem broni niż z powodu COVID" – powiedział w zeszłym miesiącu Andrew Cuomo. Równolegle jednak demokratyczne władze opróżniają więzienia na niespotykaną dotąd skalę. Obecnie w nowojorskich więzieniach siedzi najmniej kryminalistów od 1946 r.

Przestępczość to jeden z najważniejszych tematów w toczącej się właśnie w NYC kampanii wyborczej przed listopadowymi wyborami na burmistrza. Wygląda na to, że Eric Adams, czarnoskóry kandydat Partii Demokratycznej, który sam był policjantem, rozumie, iż odbieranie policji funduszy to droga donikąd. „Będziemy tracili jeszcze więcej młodych ludzi, 95 proc. ofiar przemocy z użyciem broni to czarni i Latynosi – podkreśla Adams. – Często powtarzamy, że życie czarnych ma znaczenie. To oczywiste, że musimy zwalczać nadużycia ze strony policji, ale musimy też na poważnie walczyć z tym jak najbardziej prawdziwym i wszechobecnym problemem broni w rękach kryminalistów".

Politycy z Nowego Jorku zreflektowali się w końcu i stwierdzili, że nie sposób już ulegać dalszym żądaniom aktywistów BLM, którzy w odbieraniu policji widzą tylko pierwszy krok na drodze prowadzącej do likwidacji sił policyjnych, a także wojska czy straży granicznej. W Partii Demokratycznej jedną z głównych zwolenniczek tych postulatów – obok Alexandrii Ocasio-Cortez – jest kongresmenka Rashida Tlaib, która wzywa otwarcie: „Dość policji, więzień, wojska!". Na ten postulat odpowiedział Jim Clyburn, czarnoskóry whip większości w Izbie Reprezentantów, który z powagą musiał wygłosić banalne zdanie: „USA muszą mieć siły policyjne". Władze NYC zrozumiały w końcu, że obcinanie funduszy na policję nie ma żadnego sensu, i w nowym budżecie zapisały wzrost wydatków na NYPD o 200 mln dol. Co ciekawe, gdy burmistrz Nowego Jorku zdejmował z ulic funkcjonariuszy, sam cieszył się policyjną ochroną. Podobnie ta sprawa wyglądała w innych wielkich amerykańskich miastach – demokratyczni włodarze, którzy realizowali postulaty BLM, sami nie chcieli zrzec się policyjnej ochrony. Nowatorsko podeszła do tego zagadnienia London Breed, burmistrz San Francisco. Władze miasta obcięły budżet policji o 200 mln dol., więc pani burmistrz ogłosiła, że policja nie będzie już jej ochraniała. Zamiast tego miasto wynajęło prywatną firmę ochroniarską.

TEKSAŃSKA MASAKRA

W Austin, rządzonej przez demokratów stolicy stanu Teksas, obcięcie funduszy o jedną trzecią doprowadziło do tak złej sytuacji, że interweniować postanowił republikański gubernator Greg Abbott. Zaczęło się od informacji przekazanej przez Kennetha Casadaya, szefa związku zawodowego policjantów z Austin, który poinformował opinię publiczną, że w związku z brakami w szeregach na miejsce jednej ze strzelanin policjanci dotarli dopiero po 16 minutach od zgłoszenia. Przez długie 12 minut dyspozytor nie był w stanie znaleźć wolnego patrolu.

„Tak wygląda obcinanie budżetu policji. Austin nie jest w stanie na czas zareagować na zgłoszenie postrzelenia człowieka w głowę. Teksas nie będzie tolerował takich sytuacji. Przegłosujemy prawo – i ja je podpiszę – które zabroni miastom zabierania policji funduszy" – zatweetował w odpowiedzi gubernator Greg Abbott. I faktycznie, stan uchwalił przepisy, które karzą finansowo miasta za zmniejszanie budżetów policji.

„Ciągły wzrost liczby najbardziej brutalnych przestępstw, w tym z użyciem broni palnej, sprawia, że lokalne społeczności nie chcą już zmniejszania sił policyjnych, zamiast tego chcą lepszej policji. To podejście zyskuje coraz większe poparcie w społeczeństwie" – powiedziała Laura Cooper, szefowa Stowarzyszenia Szefów Policji Największych Metropolii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

Z Lourdes Méndez Monasterio, deputowaną Vox do Kortezów Generalnych *rozmawia w San Javier Małgorzata Wołczyk*

Demonstracja w Barcelonie, lipiec 2021 r.

FOT. XALBERT LLOP/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Uległość prawicy zniszczyła Hiszpanię

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Jak się czuje deputowana, będąca od 25 lat w centrum polityki, matka sześciorga dzieci, która obserwuje kompletny rozkład społeczeństwa i rodziny bez możliwości zahamowania tych zmian?

LOURDES MÉNDEZ MONASTERIO: To prawda, sytuacja w Hiszpanii jest fatalna. Prawa, które miały być fundamentem ochrony społeczeństwa i człowieka, stanowione są u nas w sposób sprzeczny z humanizmem chrześcijańskim. Ale choć zabrzmi to dziwnie – jestem większą optymistką niż 10 lat temu…

Bo jest wreszcie Vox?

Tak, bo wreszcie jest prawica, która dotrzymuje słowa i która daje ludziom nadzieję na odwrócenie tego nienaturalnego porządku ustanowionego przez lewicę, a właściwie przez całkowitą uległość prawicy spod znaku ludowców.

Przecież Partia Ludowa (PP) jest największą partią opozycyjną w Hiszpanii, należy do największej grupy w EPP w europarlamencie wraz z Polakami z KO. Pani reprezentowała ludowców w Kortezach przez trzy kadencje…

I odeszłam pięć lat temu, wraz z innymi deputowanymi, bo wyżej ceniliśmy lojalność wobec pryncypiów i naszych wyborców niż wobec partii. Mnie zawsze interesowały trzy tematy: rodzina, życie i edukacja. Ludowcy stawiali tylko na ekonomię i pozwolili lewicy przejąć całą sferę kultury. Skończyło się to, jak wiemy, absolutnym poddaństwem centroprawicy wobec nowej inżynierii społecznej. Ludowcy płaszczyli się przed dyktatem rozbuchanego liberalizmu, stracili wiarę w antropologię chrześcijańską, w fundament naszej kultury. Na szczęście dwa lata temu pojawił się Vox.

Ale wydaje się, że Kościół hiszpański, ten sam, w którym nie było ani jednego aktu apostazji w czasie krwawych prześladowań wojny domowej, też uległ nowej władzy.

Wszyscy tworzymy Kościół, jako osoba wierząca wolałabym nie osądzać hierarchów, więc powiem tylko tyle, że zabrakło ich głosu w przestrzeni publicznej, ucichli w tematach moralności, nie słychać było napomnień ani obrony życia tych najsłabszych.

A tymczasem w ciągu ponad dekady zmieniono niemal kod genetyczny i mentalność hiszpańskiego narodu.

To oczywiście zasługa Zapatero. Zaczęły następować po sobie ustawy radykalnie sprzeczne z porządkiem wartości, do jakiego byliśmy przyzwyczajeni.

Jak udało mu się w tak szybkim czasie narzucić wam tak radykalny zwrot w lewo?

Metodą „dziel i rządź", czyli skłóceniem społeczeństwa, otwarciem zagojonych ran z czasów wojny. Zerwał umowę społeczną o wzajemnym przebaczeniu. Zaczął dzielić i konfrontować ludzi, rezerwując dla lewicy i komunistów miano „demokratów".

Wielokrotnie słyszałam pogłoski, że w pewnych międzynarodowych gremiach przeznaczono Hiszpanię na teren eksperymentu, jak zmienić katolicki kraj w laboratorium ideologii gender.

Tak, inżynieria społeczna przyszła z zewnątrz, ale moi rodacy okazali się posłuszni tym dyrektywom. Trzeba pamiętać o zasięgu Hiszpanii i jej wpływie na Hispanoamerykę. Jeśli narzucisz coś Hiszpanii, to rozejdzie się po całej iberosferze.

Ale przecież nie mogli tak po prostu zaczarować społeczeństwa. Wszystko odbyło się bez debaty społecznej? Intelektualiści nie protestowali?

To była zaplanowana strategia. Kreowali opinię społeczną i zapotrzebowanie.

eprasa.pl 10bcd3ca63

To było świetnie widać w temacie aborcji, który tu zawsze był tematem tabu. Kobiety usuwały ciąże, ale panowała zmowa milczenia. I nagle wyrosły szeregi ekspertów, kobiet żądających „praw kobiet", media to podjęły i w ten sposób aborcja nagle stała się największą potrzebą. Mało tego, wbrew opinii KRS, Rady Stanu, konstytucjonalistów przegłosowali ustawę o liberalnym dostępie do aborcji. To była działalność wywrotowa. A za pomocą tych praw zmieniono mentalność.

Ale żeby was przekształcić w laboratorium, musieli wam najpierw ukraść język, tak jak to teraz dzieje się w Polsce.

Tak, wszystko, co wprowadzali, było pod osłoną dobrze brzmiących haseł, czyli praw człowieka, równouprawnienia, godnej śmierci. Kradli język, fałszowali jego koncepty i najważniejsze słowa. I dlatego tak szybko osiągnęli swój cel.

Prawica chciała za wszelką cenę uniknąć skojarzeń z frankizmem, chyba ją paraliżował ten kompleks bycia w jakimś sensie spadkobiercą narodowego katolicyzmu.

Oczywiście partie powinny zachowywać neutralność wyznaniową, ale to nie może oznaczać bierności, gdy zaczynają się ataki na fundamenty społeczne. Nie można siedzieć cicho pod pretekstem bycia zwolennikiem rozdziału państwa od Kościoła. Aby społeczeństwo było zdrowe i wolne, muszą istnieć dobra NIENEGOCJOWALNE, a do nich należą rodzina, ochrona życia. Dlatego upieram się, że Partia Ludowa była wręcz krzewicielem tej destrukcyjnej ideologii.

To widać po głosowaniach w Parlamencie Europejskim, właściwie w tych kluczowych kwestiach ludowcy głosują jak lewica.

Oczywiście. W Hiszpanii PP rządziła wystarczająco długo, aby cofnąć ustawy Zapatero, ale tego nie zrobiła. Bez jej współpracy ludzie nie weszliby w ideologię gender, niepostrzeżenie zmienili mentalność wyborcy prawicowego.

Czy Hiszpanie żyją już według nowej mentalności? 100 tys. aborcji rocznie to dla nich norma?

Jest jeszcze w społeczeństwie ta zdrowa część, która kontestuje ten nowy porządek. Trzeba też powiedzieć otwarcie, że nie istnieje żadna forma pomocy dla kobiet w ciąży, po prostu aborcję traktuje się jako metodę antykoncepcji. Dziecko jest postrzegane jako ciężar, przeszkoda w życiu, nie trzeba więc go chronić. Nie ma programów pomocy, ośrodków wsparcia dla kobiet w ciężkiej sytuacji, nie ma polityki prorodzinnej.

W 2010 r. tylko 30 proc. społeczeństwa uważało, że aborcja powinna być liberalna. Parę lat inżynierii i propagandy mediów przemeblowały w głowach. Ale to była strategia na każdym poziomie – od samorządów przez szczyty władzy, od przedszkola do uniwersytetów. Marsz przez instytucje w najgorszym wydaniu.

A ustawa trans, ta o samostanowieniu płci, najbardziej radykalna w Europie, zatwierdzona przez Radę Ministrów? Dlaczego ludzie nie wychodzą na ulice?

Projekt musi być jeszcze procedowany i przejść w głosowaniu w parlamencie, poza tym nie sądzę, aby w tak radykalnym kształcie zaaprobowały ją różne gremia, które muszą wydać opinię. Oczywiście, że finalnie przejdzie, ale nie w tak absurdalnej formie, poza tym na szczęście wciąż powoduje ostre tarcia wewnętrzne w obozie władzy.

Jak rozumiem, po raz pierwszy katolicy mogą pokładać nadzieję w radykalnych feministkach partii socjalistycznej, które protestują przeciwko negowaniu płci biologicznej, jak chcą tego komunistki z Unidas Podemos?

Tak, bo w tym progresistowskim pędzie sprawy wymknęły się już socjalistom spod kontroli. Skoro zanegujemy istnienie płci biologicznej i będą tylko te kulturowe, to jak wtedy bronić praw kobiet i oskarżać mężczyzn o przemoc maczystowską? Skoro to tak płynna sprawa, to będą musiały zawiesić wojnę płci, a tego zrobić nie chcą.

Ale co tak naprawdę kryje się za tym szaleńczym prawem, które chce odbierać dzieci rodzicom, jeśli ci nie zgodzą się na kaprys dziecka, by sobie zmienić płeć? Czy oni naprawdę wierzą, że zbawiają świat tymi „antydyskryminacyjnymi" prawami?

Nasze prawo i konstytucja chronią wystarczająco przed dyskryminacją, to jest ideologia gender, której celem jest absolutna destrukcja rodziny i społeczeństwa. Tu chodzi o rewolucję, ale znacznie bardziej perwersyjną, niż obserwowaliśmy to już w dziejach. Ludzie nie widzą wroga, jak to było na wojnach. W tym przypadku ofiara nie zdaje sobie sprawy, że jest ofiarą, i stopniowo akceptuje prawa, które obrócą się przeciwko niej, czy to pod postacią prawa trans, czy eutanazji, wszystko jest tak zaprojektowane, że entuzjaści nawet nie domyślają się pułapek.

Przyznam, że mnie, Polce, ciekły łzy z bezradności, gdy będąc w Warszawie, oglądałam aplauz w Kortezach dla uchwalonego prawa o eutanazji ekspresowej, i to w szczycie pandemii, parę dni przed Bożym Narodzeniem.

To jest prawo godne III Rzeszy, pociągnie mnóstwo nieświadomych ofiar, zwłaszcza z chorobami psychicznymi. To atak na osoby o ograniczonej świadomości, które mogą paść ofiarą swoich bliskich. Tu nie ma mowy o wolnym wyborze czy tzw. godnej śmierci, gdy państwo już dawno temu zaniedbało medycynę paliatywną i nie ma dostępu do środków uśmierzających ból. Ludzie nie są jeszcze świadomi, jak bardzo ich okłamano co do gwarancji stosowania tego prawa. Jeżdżę z konferencjami po kraju, żeby ich uświadamiać. Ludzie zaczynają być przerażeni, spisują u notariusza akty woli życia, aby nie stać się ofiarą tego prawa.

Skąd pani poseł czerpie siły, żeby znosić tych wysłanników cywilizacji śmierci?

Moja wiara daje mi siłę. Poza tym widok poświęcenia i wysiłków kolegów z Vox. Jestem od 25 lat w polityce, ale dopiero od dwóch lat czuję, że jesteśmy w stanie zawrócić bieg tego szaleństwa. To nie praca, to misja, a biorąc pod uwagę, że ludzie zatrzymują nas na ulicy, dziękując, to też honor, by walczyć w ich imieniu.

Jakie przesłanie dla Polski? Jakaś czerwona linia, której nie można przekroczyć, żeby nie dać się tak zniszczyć?

Nie kopiujcie nas, nie idźcie naszym śladem, słuchajcie przestróg płynących z naszych doświadczeń. I przede wszystkim bądźcie odważni, nie lekceważcie wroga, choć jest przebrany w eleganckie, nowoczesne ciuszki. Ale jest wyjątkowo perwersyjny i śmiertelnie niebezpieczny. Odwagi, Polacy, po prostu nie wolno wam powtórzyć naszych błędów!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Lourdes Méndez Monasterio *– (Córdoba, 11.02.1957) adwokat z wykształcenia, deputowana Vox XIII kadencji do Kortezów Generalnych. Wcześniej deputowana PP w VII, IX i X kadencji. Przewodnicząca Stowarzyszenia Rodzina i Godność Człowieka oraz przewodnicząca Platformy Wolności. Jest członkiem nadzwyczajnym (supernumerariusz) Opus Dei.*

eprasa.pl 10bcd3ca63

FOT. ADOBE STOCK

CICHO USUNIĘTY ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II

W 1989 r. w Santiago de Compostela – miejscu, do którego prowadzi jeden z najbardziej znanych szlaków pątników – św. Jan Paweł II brał udział w IV Światowych Dniach Młodzieży. Aby upamiętnić te chwile, w Monte del Gozo postawiono pomnik papieża Polaka. Już go nie ma. Władze stwierdziły, że zniszczył się z powodu klimatu i trzeba go zdemontować i odnowić. Hiszpańscy obrońcy pomnika, którzy domagają się jego powrotu, wytykają, że to celowa polityka władz regionu – tolerujących pomniki Che Guevary, ale usuwających pomniki katolickie.

EUTANAZJA PO HISZPAŃSKU

Pod koniec czerwca Hiszpanie zalegalizowali eutanazję (do tej pory dostępną w krajach Beneluksu i Szwajcarii). Można teraz zabić kogoś, kogo rodzina uważa, że gdyby mógł, to zabiłby się sam. Zgodnie z sondażami większość Hiszpanów uważa, że ludzie powinni mieć prawo do „godnej śmierci". Jednak – jak donoszą media – jakoś się do tej śmierci nie kwapią. Nie ma wielu wniosków o legalne zabicie, w wielu miejscach kraju nie było nawet potrzeby powołania komisji, które mają te wnioski rozpatrywać.

SKANOWALI KIEROWCÓW

Skandal w Niderlandach. Dziennik „NRC" ujawnił, że przez co najmniej pięć ostatnich lat tamtejsza policja skanowała twarze kierowców – choć prawo nie daje podstaw do takich działań. Chodzi o kamery ANPR, których algorytm rozpoznaje tablice rejestracyjne. Tak łatwo rejestruje się wykroczenia na drogach. Jednak – jak odkryli dziennikarze – jedna piąta tych kamer ma zaawansowane algorytmy, które skanują też twarze ludzi prowadzących pojazdy.

APPLE WKRACZA W PRYWATNOŚĆ

Firma Apple będzie przeglądać zdjęcia użytkowników trzymane w chmurze iCloud. Powód? W ten sposób technologiczny gigant chce pomagać w wychwytywaniu dziecięcej pornografii. Algorytm CSAM będzie skanował pod tym kątem zdjęcia użytkowników smartfonów czy tabletów. Niektórzy eksperci twierdzą, że to niebezpieczny precedens. I już tylko krok dzieli nas od skanowania telefonów w poszukiwaniu innych zabronionych treści czy preferencji politycznych.

PRÓBOWAŁ LECIEĆ JAKO BAGAŻ

Na angielskim lotnisku East Midlands Airport zatrzymano 34-letniego mężczyznę, gdy w nietypowy sposób próbował przedostać się na pokład samolotu lecącego do Polski. Jak ujawniono – pasażer lotu do Rzeszowa spóźnił się 35 minut na odprawę. Gdy to sobie uświadomił, wskoczył na taśmę bagażową. Został aresztowany za wejście bez zezwolenia na zastrzeżony teren lotniska. Otrzymał za to warunkowe upomnienie.

©℗ *Łukasz Zboralski*

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wielka klęska Ameryki

Przykro patrzeć, jak dawne supermocarstwo ponosi największą porażkę od upadku Sajgonu. Mimo biliona dolarów wydanych przez 20 lat i tysięcy poświęconych żołnierzy (w tym ponad 40 polskich) Ameryka bez żadnego planu i bez honoru oddaje w ręce dżihadystów dawną przystań terrorystów z Al-Kaidy.

To kolejna porażka USA, które od 1945 r. nie były w stanie wygrać praktycznie żadnej wojny. Po klęsce w Iraku, Syrii, Jemenie oraz Libii USA zdradzają kolejnych „nowych" sojuszników. Tym razem w Afganistanie, gdzie talibowie kontrolują już ponad 65 proc. terytorium kraju. USA, które formalnie mają się wycofać z Afganistanu dopiero 11 września – dokładnie 20 lat po atakach Al-Kaidy na USA – już w zeszłym tygodniu wezwały wszystkich obywateli do ewakuacji z pogrążonego w chaosie kraju.

Nie wiadomo, dlaczego Biden postanowił oddać kraj talibom dokładnie w rocznicę ataku na Amerykę. Wiadomo za to, że muzułmańscy radykałowie już teraz niszczą to, co uznają za antyislamskie. Wyciągają więc okrutne konsekwencje wobec tych, którzy przez ostatnie 20 lat decydowali się na współpracę z „amerykańskim okupantem". Mordują młode kobiety w „zbyt obcisłych burkach", biorą 12-latki jako seksualne niewolnice. Ofiarą krótkowzroczności Bidena pada też wielu mężczyzn przeciwnych rządom talibów. Prezydent USA wie, że powrót do władzy dżihadystów jest nieunikniony. Mimo to mówi, że nie żałuje decyzji o całkowitym wycofaniu wojsk.

Niestety, nie tylko los Afganistanu maluje się w czarnych barwach. Za błąd aroganckiej polityki USA wysoką cenę zapłaci wkrótce cały Zachód, w tym Europa. Mimo klęski USA nadal marnują czas i energię na „zarządzanie różnorodnością", gdy wrogowie Ameryki skupiają się na zarządzaniu armią. ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

REPUBLIKA

MÓWI SIĘ...

od **poniedziałku**
do **czwartku**

20:25

zaprasza
Jacek Sobala

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 10bcd3ca63

Zmierzch słonecznego boomu?

eprasa.pl 10bcd3ca63

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Przybylski

Panele słoneczne na dachach swoich domów ma już ponad 600 tys. Polaków. Tylko w ciągu ostatniego roku na instalacje fotowoltaiczne wydaliśmy kilka miliardów złotych. Boom może się jednak niedługo skończyć, bo od stycznia rząd planuje zmiany, które sprawią, że inwestycja w zieloną energię stanie się mniej opłacalna

Fotowoltaika to drugie pod względem wielkości produkcji źródło energii odnawialnej. Z raportu „Rynek Fotowoltaiki w Polsce 2021" opublikowanego przez Instytut Energetyki Odnawialnej wynika, że moc zainstalowana w fotowoltaice na koniec 2020 r. wyniosła niemalże 4 GW, co oznacza 200-procentowy wzrost rok do roku. Według Solar Power Europe nasz kraj zajął więc czwarte miejsce pod względem przyrostu mocy zainstalowanej PV w Unii Europejskiej. Wiele wskazuje na to, że również w roku 2021 Polska pozostanie w gronie fotowoltaicznych unijnych liderów.

DOPŁATY NA WYCZERPANIU

Pod koniec czerwca 2021 r. moc zainstalowana w energetyce słonecznej wynosiła zaś 5357 MW i była aż o 117 proc. wyższa niż pod koniec czerwca ubiegłego roku. Według danych podanych przez Agencję Rynku Energii tylko w czerwcu powstało ponad 35 tys. nowych instalacji fotowoltaicznych, które stanowiły ponad 99 proc. wszystkich instalacji OZE.

Tymczasem przedstawiony we wrześniu 2020 r. projekt Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. przewidywał, że do 2030 r. nastąpi wzrost mocy zainstalowanych w instalacjach fotowoltaicznych do 7 GW, a do 2040 r. do 16 GW. Liczba prosumentów miała zaś do 2030 r. wzrosnąć do miliona.

Rzeczywistość okazała się bardziej optymistyczna. Według prognoz Agencji Rynku Energii już na koniec obecnego roku moc zainstalowana w PV w naszym kraju może zaś przekroczyć granicę 6 GW. Dzięki instalacjom fotowoltaicznym w czerwcu 2021 r. wyprodukowano ponad 760 GWh energii elektrycznej, czyli o ponad 250 proc. więcej niż w tym samym miesiącu rok wcześniej. Prawdziwy polski rekord energii wytworzonej ze słońca padł zaś 11 maja 2021 r. – według szacunków Polskich Sieci Elektroenergetycznych tego dnia tylko między godz. 12 a 13 instalacje fotowoltaiczne wyprodukowały aż 3411 MWh – było bowiem bardzo słonecznie, ale temperatura oscylowała wokół 20 st. C, a to idealne warunki do pracy paneli.

Ci, którym te liczby niewiele mówią, skalę efektywności instalacji fotowoltaicznych pomoże wyobrazić jedna liczba: w maju 2021 r. instalacje fotowoltaiczne i wiatry wyprodukowały łącznie aż 15,2 proc. energii elektrycznej wytworzonej tego miesiąca w Polsce. Oczywiście w czerwcu i w lipcu ten udział tradycyjnie spadł (odpowiednio do 10,6 i 9,7 proc.), ale te liczby i tak robią wrażenie. Energia ze słońca zajmuje zaś w Polsce drugie miejsce wśród odnawialnych źródeł energii. Pierwszy jest wiatr (47 proc.), drugie słońce (38 proc.), a trzecia woda (7 proc.).

Słoneczny boom nakręca jednocześnie kilka czynników. Po pierwsze, Polacy bardzo chętnie korzystają z rządowych dopłat do instalacji fotowoltaicznych. Na tyle chętnie, że w ramach programu „Mój Prąd", który wystartował w sierpniu 2019 r., Polacy skorzystali z 1,1 mld zł dopłat z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Jak zauważył portal wysokienapiecie.pl, wnioski o dofinansowanie fotowoltaiki w programie „Mój Prąd 3.0" złożyło już ponad 100 tys. rodzin, wygląda więc na to, że większość budżetu przeznaczonego na rządowe dotacje do końca roku została już zarezerwowana.

Dopłaty to jednak tylko jedna z zachęt do inwestycji. Fotowoltaika stała się w Polsce aż tak popularna głównie dzięki korzystnemu systemowi rozliczania nadwyżek energii. Obowiązujący obecnie system umożliwia Polakom posiadającym instalacje fotowoltaiczne barterowe rozliczanie się z dostawcą energii. Oznacza to, że nadwyżka produkowana przez panele, np. podczas słonecznych letnich dni, oddawana jest do sieci.

URZĘDNICY ZNIECHĘCĄ DO PANELI?

Właściciele instalacji o mocy 10 kW mogą odebrać 80 proc. tej energii, np. wieczorem i w nocy lub w pochmurną jesień lub zimę (w przypadku instalacji o mocy wyższej niż 10 kW jest to 70 proc.). Poza tym prosumenci ponoszą tylko niewielkie stałe opłaty za przesył energii z domu do sieci i w drugą stronę. Dzięki temu podczas słonecznego dnia – gdy rodzina jest w stanie zużyć od razu tylko niewielką część wyprodukowanej energii – może oddawać ją do sieci, a odbierać wieczorem i w miesiącach zimowych, gdy panele na dachach domów nie produkują już energii.

Jak zauważa portal wysokienapiecie.pl, z perspektywy prosumentów obecny system rozliczeń „działa jak magazyn energii elektrycznej o sprawności 0,8, którego nie trzeba kupować". Niektóre polskie rodziny produkują w ciągu roku tyle energii, że w ogóle nie płacą już za prąd i płacą wyłącznie stałe opłaty. Dzięki temu koszty inwestycji w panele fotowoltaiczne powinny im się zwrócić w ciągu kilku–kilkunastu lat.

eprasa.pl 10bcd3ca63

Dobra passa polskich rodzin nie potrwa już jednak zbyt długo, bo urzędnicy z Ministerstwa Klimatu i Środowiska zapowiedzieli, że od 2022 r. zastąpią tzw. opusty zwykłą sprzedażą.

Dla wielkich koncernów energetycznych to świetna wiadomość. To one pokrywają bowiem w dużym stopniu koszt funkcjonowania obecnego systemu wirtualnego magazynowania nadprodukcji energii.

A co proponowana zmiana oznacza dla zwykłego Kowalskiego inwestującego we własną instalację fotowoltaiczną? Otóż zamiast odbierać 80 proc. oddanej energii, będzie musiał po prostu sprzedać wyprodukowaną nadwyżkę zakładowi energetycznemu, a jeśli będzie chciał prąd pobierać z sieci, to będzie musiał go po prostu kupić. Problem w tym, że cena za prąd dzienny, którą przeciętnej polskiej rodzinie będą płacić energetyczni giganci, będzie niemal dwukrotnie niższa od tej, którą ta sama rodzina będzie musiała zapłacić za energię potrzebną wieczorami, jesienią czy zimą.

Według projektu przedłożonej w Sejmie ustawy nadwyżki energii będą skupowane po średniej cenie energii z poprzedniego kwartału. Według URE średnia cena za I kwartał 2021 r. wyniosła 243,71 zł/MWh i była o 7 zł niższa niż rok wcześniej. Z kolei cena, którą muszą płacić prosumenci za energię, gdy ich instalacja nie wytwarza prądu, na chwilę obecną wynosi ponad 660 zł/MWh, czyli ponad dwukrotnie więcej. Oczywiście w teorii podana cena, za którą prosument może sprzedać prąd zakładowi energetycznemu, to tylko cena minimalna i każdy Kowalski czy Nowak mogą wynegocjować lepsze warunki. Negocjowanie z rynkowymi gigantami dla przeciętnej rodziny może nie być jednak takie proste, jak może się wydawać urzędniczym gryzipiórkom.

Oczywiście popyt ze strony rodzin nie spadnie nagle do zera. Instalacja paneli fotowoltaicznych nadal będzie bowiem pozwalała znacząco obniżyć rachunki za energię, co nie zmienia faktu, że po zmianie taka inwestycja będzie dużo mniej opłacalna. Za otrzymane ze sprzedaży prądu pieniądze przeciętny Kowalski z instalacją do 10 kWp będzie mógł bowiem odkupić od zakładu energetycznego zaledwie ok. 37 proc. energii potrzebnej jego rodzinie wieczorem lub w okresie jesienno-zimowym, czyli aż o 43 punkty procentowe energii mniej niż obecnie.

Nowe regulacje najprawdopodobniej zniechęcą jednak wielu Polaków do inwestycji w zieloną energię. Na nowych warunkach na zwrot pieniędzy wydanych na panele będzie bowiem trzeba czekać nie kilka–kilkanaście lat, ale kilkanaście–kilkadziesiąt lat.

Gdzie tu sens? Otóż sens jest, tylko trzeba przejść na logikę urzędniczą. Wówczas zmiana systemu rozliczeń ma same zalety. Po pierwsze, o czym już wspomniałem, wielkie zakłady energetyczne będą ponosić mniejsze koszty i bez problemu wykorzystają swą pozycję w negocjacjach dotyczących kupna energii od Kowalskich czy Nowaków. Będą więc spore oszczędności. Poza tym polskie sieci niskich napięć wymagają pilnych inwestycji – w ich obecnym stanie dalszy gwałtowny przyrost domowych producentów energii mógłby bowiem grozić nadmiernym wzrostem napięcia w węzłach sieci, a co za tym idzie – prowadzić do częstych awarii. Urzędnicy muszą więc zniechęcić polskie rodziny do inwestowania w zieloną energię lub zrobić pilnie kosztowne porządki w sieciach niskich napięć, polegające m.in. na wymianie na nowocześniejsze, które są już wyposażone w przełączniki podobciążeniowe i które umożliwiają dobową regulację napięć.

NIEZALEŻNOŚĆ ENERGETYCZNA?

Aby nie wylać dziecka z kąpielą, zapowiedziane zmiany w prawie dotknąć mają tylko nowych prosumentów. Ci, którzy zdążą załapać się na obecne przepisy, zachowają możliwość korzystania z dotychczasowego systemu opustów przez najbliższe 15 lat. Przynajmniej takie są na razie deklaracje. Czy nie zmienią się za kilka lat? Tego nikt nie wie. Urzędnicy dali jednak na razie Polakom argument za jak najszybszą budową własnej elektrowni słonecznej. I stąd tak nagły i szybki wzrost zainteresowania tego typu inwestycjami.

Ogromny boom na instalacje fotowoltaiczne sprawił niestety, że na rynku pojawiło się mnóstwo firm zatrudniających nie tylko amatorów nieznających się na swoim fachu, lecz także wprost oszukujących swoich klientów. Wielu burmistrzów i pracowników gmin ostrzega swych mieszkańców przed wyłudzaczami, którzy informują np. o tym, że instalacja jest obowiązkowa, lub błędnie podają się za firmę pracującą na zlecenie gminy/powiatu etc. Niektóre sprawy bada już UOKiK, inne policja. Przed podpisaniem umowy warto więc dokładnie sprawdzić wykonawcę.

Na szczęście Polacy nie są skazani wyłącznie na pomysły marnie opłacanych urzędników. Eksperci nie mają wątpliwości, że na całym świecie rosnąć będzie popyt na domowe magazyny energii.

Jeden z takich produktów oferuje np. Tesla. Koncern należący do miliardera Elona Muska sprzedaje klientom m.in. Powerwall, czyli wielką baterię, która może magazynować energię wytwarzaną przez panele fotowoltaiczne i stać się alternatywnym źródłem energii w przypadku awarii zasilania sieciowego, umożliwiając korzystanie z oświetlenia i ładowanie telefonów bez hałasu czy użycia paliwa. Wodoodporne, ważące ponad 110 kg urządzenie – wyglądające niczym wielki powerbank – montuje się na podłodze lub na ścianie. Jego zdolność magazynowania energii wynosi zaś 13,5 kWh. Możliwe jest też łączenie równoległe do 10 różnych egzemplarzy, dzięki czemu łączna pojemność takiej domowej instalacji może wynieść 135 kWh. Tak duży prywatny magazyn energii może dać już sporą niezależność od zasilania z sieci, co jest ważne zwłaszcza dla osób, które posiadają jednocześnie np. samochód elektryczny.

W 2020 r. Tesla pochwaliła się, że sprzedała ponad 100 tys. Powerwalli. Tylko w pierwszym kwartale obecnego roku firma Elona Muska sprzedała magazyny energii o mocy 445 MW, osiągając wynik o 71 proc. lepszy niż w tym samym okresie poprzedniego roku. W całym 2020 r. koncern miliardera znanego głównie z produkcji samochodów elektrycznych i lotów w kosmos sprzedał magazyny energii o mocy 3022 MW. Popyt na te produkty jest zaś tak duży, że przewyższa możliwości produkcyjne Tesli. Amerykański gigant sprzedaje też przemysłowe magazyny energii, takie jak Powerpack i Megapack o pojemności 3 MWh. Firma ekscentrycznego miliardera wykorzystała megapacki w budowie największego na świecie magazynu energii, który powstał w Moss Landing w Kalifornii. Moc litowo-jonowej jednostki liczy 300 MW, a jej pojemność sięga 1200 MWh. Wartość tego rynku błyskawicznie rośnie, a w planach są już kolejne magazyny energii, które powstają nie tylko w USA, lecz także w Australii i innych krajach świata.

Kto wie? Może w kolejnych programach „Mój Prąd" rząd zacznie wspierać właśnie zakup domowych magazynów energii, pomp ciepła lub przydomowych wiatraków? To może być dobry sposób na prywatną niezależność energetyczną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

TEST „DO RZECZY": SMARTFON OPPO RENO 5 5G

Niezwykle atrakcyjne wzornictwo, łączność 5G, świetny ekran AMOLED oraz szybkie ładowanie – to największe zalety smartfona z klasy superśredniaków chińskiej firmy Oppo.

Nowoczesna plastikowa obudowa, która pięknie odbija promienie słońca i nie zbiera odcisków palców, sprawia, że testowany model na pierwszy rzut oka wygląda niczym piekielnie drogi flagowiec. Żadnych zastrzeżeń nie budzi też jakość wykonania i spasowania poszczególnych elementów. To również jeden z lżejszych smartfonów o tak dużym ekranie, który ostatnio testowałem – waży 172 g.

Świetne wrażenie robi również wyświetlacz AMOLED o przekątnej 6,4 cala, rozdzielczości 2400 x 1080 pikseli, wysokiej jasności maksymalnej oraz częstotliwości odświeżania na poziomie aż 90 Hz. Kolory są żywe, czerń naprawdę czarna.

Ośmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 765G jest wydajny, ale tytuł króla procesorów ma już dawno za sobą. Pod klapką znajduje się też 8 GB pamięci RAM oraz 128 GB pamięci wewnętrznej. W codziennym użytkowaniu smartfon powinien więc nieźle się sprawdzać. Z najnowszymi grami może być już jednak różnie.

Istotną zaletą jest też aparat fotograficzny. Główny moduł ma matrycę o rozdzielczości 64 Mpix i przysłonę f/1.7. Obiektyw szerokokątny ma przysłonę f/2.2 oraz matrycę 8 Mpix. Obiektyw do robienia zdjęć makro ma już tylko 2 Mpix. Zestaw na papierze robi dobre wrażenie. W rzeczywistości fotografie wykonane przy

dobrym oświetleniu również wychodzą bardzo dobrze. Sporo gorzej jest po zmroku, nawet w trybie nocnym jakość zdjęć jest już mocno przeciętna.

Z pewnością nie jest to więc najlepszy model do robienia zdjęć w średniej półce cenowej.

Istotnym plusem jest za to łączność 5G, pozwalająca na dość szybki przesył danych. Na pokładzie nie zabrakło też najważniejszych modułów, takich jak Bluetooth 5.1 oraz NFC do płatności zbliżeniowych. Nie ma radia FM – jego brak jest dziś raczej jednak regułą.

Zaletą testowanego modelu jest również bateria o pojemności 4300 mAh. Przy standardowym użytkowaniu powinna spokojnie wystarczyć na cały dzień pracy, a osoby, które używają smartfona głównie do dzwonienia, wysyłania wiadomości i sporadycznego surfowania po Internecie, mogą liczyć nawet na dwa dni na jednym ładowaniu. Świetnym dodatkiem jest też system szybkiego ładowania, który pozwala w nieco ponad 20 minut naładować telefon do ponad 80 proc.

Wady? Producent nie postarał się o certyfikaty poświadczające odporność na kurz i wodę. Testowany model przegrywa więc w tej kategorii z o wiele tańszymi średniakami. Ponadto brakuje slotu na kartę microSD – jeśli ktoś robi sporo zdjęć lub kręci dużo filmików, to może mu brakować możliwości rozbudowy dostępnej pamięci. Oppo Reno 5G brakuje m.in. optycznej stabilizacji obrazu, przez co wiele zdjęć może być poruszonych. Kolejny minus w tej półce cenowej trzeba postawić za głośnik mono. Jakość dźwięku jest przeciętna. Poza tym za 2 tys. zł przydałyby się już głośniczki stereo. Na szczęście producent wyposażył smartfona w gniazdo jack 3,5 mm, co pozwala na podłączenie nie tylko bezprzewodowych słuchawek.

Podsumowując, OPPO Reno 5 5G to ciekawy model dla osób, które są gotowe pójść na wiele kompromisów. Za 1999 zł otrzymujemy bardzo ładny smartfon z łącznością 5G i dobrą baterią, a jednocześnie z bardzo przeciętnymi podzespołami i wcale nie najlepszym wśród średniaków aparatem fotograficznym. W czasach, gdy standard 5G oferują już tańsze średniaki, cena testowanego modelu wydaje się nieco zbyt wysoka w stosunku do oferty konkurentów. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNA SKAKANKA

Hyrope. Tak nazywa się skakanka, która może pomóc w szybkim zrzuceniu pandemicznych kilogramów. Inteligentna skakanka na pierwszy rzut oka wygląda jak jej tradycyjny odpowiednik. Hyrope potrafi jednak śledzić treningi w czasie rzeczywistym, rejestrując nie tylko liczbę skoków, lecz także dane dotyczące prędkości, tempa oraz liczby spalonych kalorii. Gadżet można też sparować z aplikacją Hygear, aby wybrać jeden z interaktywnych treningów, który z założenia stworzony jest w oparciu o nasze dotychczasowe osiągnięcia oraz indywidualne cele treningowe (do wyboru jest np. utrata wagi lub poprawa wytrzymałości). Sprzęt kosztuje 39 dol., czyli równowartość 150 zł.

DUŻY FIAT WJEŻDŻA DO POLSKI

FIAT 500X-F12 to największy z dotychczasowych modeli elektrycznych hulajnóg marki Fiat. Pojazd ma duże, 12-calowe pompowane koła. Nowy model wyposażony jest również w silnik, który pozwala na jazdę z prędkością do 25 km/h. Akumulator o pojemności 15 Ah według producenta pozwala na pokonanie odcinka o długości 55 km bez konieczności doładowania hulajnogi. Czas ładowania do pełna wynosi ok. 10 godzin. Pojazd wyposażono w przedni i tylny hamulec tarczowy, pełne oświetlenie i sygnalizację hamowania. Ze składanej hulajnogi, której wzornictwo nawiązuje do kultowego modelu samochodu Fiat 500, mogą korzystać osoby o wadze do 120 kg. Sam gadżet waży 20 kg i kosztuje 2499 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 10bcd3ca63

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Elżbieta Witek o honorze

Jak wiadomo, marszałek Sejmu Elżbieta Witek – druga osoba w państwie – na wiecu w Otyniu udzieliła ludziom niepodzielającym entuzjazmu jej zwolenników takiej oto lekcji: „Jestem bardzo ciekawa, czy któryś z nich nie korzysta z emerytury w wieku 60 albo 65 lat? Albo może ktoś nie bierze »500+«? Albo może zrezygnował z »300+« albo z darmowych leków dla seniorów? No nie, proszę państwa, biorą, bo mówią, że jak dają, to się bierze! A ja myślę, że warto by się było unieść honorem i od tego wrednego rządu PiS-u tego nie brać! A bierzecie, bierzecie! Bez żadnych skrupułów bierzecie i narzekacie! To jest mało honorowe, bo ja, gdybym się z takim rządem nie zgadzała, to nigdy bym nic od niego nie wzięła!”.

Gdyby marszałek Witek wiedziała, skąd się biorą pieniądze wypłacane przez budżet państwa – w tym pieniądze na zasiłki „500+” i „300+”, na darmowe leki dla seniorów i na znów zafundowane przez PiS (ale przecież nie przez PiS opłacane!) emerytury dla kobiet od 60. roku życia i mężczyzn od 65. roku życia; gdyby marszałek Witek wiedziała, że nie są to pieniądze PiS ani rządu PiS, że niemal wszystkie one biorą się z podatków płaconych przez polskich podatników – podatników-wyborców nie tylko PiS, lecz także podatników-wyborców Platformy, Lewicy, Konfederacji itd.; gdyby zatem marszałek Witek to wiedziała, można byłoby jej odpowiedzieć na jej apel w taki oto prosty sposób: „A czy marszałek Elżbieta Witek uniesie się honorem i – wedle własnej logiki – będzie przyjmować tylko tę część swej pensji marszałkowskiej, na którą składają się podatnicy-wyborcy PiS, a nie będzie przyjmować tej części pensji, na którą składają się podatnicy-wyborcy innych partii? Czyli czy uniesie się honorem, by poprzestać na przyjmowaniu 43,59 proc. swej pensji, i nieprzyjmowaniu 56,41 proc. pensji, bo właśnie tylu jest podatników niebędących wyborcami PiS – jeśli wziąć pod uwagę ostatnie wybory parlamentarne (100 proc. minus 43,59 proc. wyborców PiS daje 56,41 proc.)? Nadto – czy marszałek Witek uniesie się honorem i zwróci pieniądze przyjęte przez siebie wcześniej w ten niehonorowy – według tej samej, jej własnej logiki – sposób? Albowiem – trawestując marszałek Witek – „warto by się było unieść honorem i od tych wrednych przeciwników rządu PiS-u tego nie brać”.

Najwyraźniej jednak marszałek Witek nie ma pojęcia, skąd się biorą pieniądze wydawane przez budżet państwa – w tym pieniądze na zasiłki „500+” i „300+”, na darmowe leki dla seniorów oraz na jej pensję, bo przecież gdyby miała, nie zwracałaby na siebie uwagi podobnymi wypowiedziami. Z tego powodu zamiast odpowiadać jej w powyższy sposób, warto zachęcić ją po prostu do uzupełnienia wiedzy ekonomicznej. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przypadek posła Ociepy

W piosence „Raport ambasadora” Jacek Kaczmarski wkłada w usta rosyjskiego przedstawiciela w Warszawie (w czasie zatwierdzania I rozbioru Polski, czyli samotnego protestu Tadeusza Reytana, o czym mówi piosenka, był nim Otto von Stackelberg) następujące słowa: „Polityk przecież w ogóle nie zna słowa »zdrada«, a politycznych obyczajów trzeba strzec!”.

Atrakcją mediów społecznościowych w gorącą politycznie środę w ubiegłym tygodniu był były już poseł Porozumienia Marcin Ociepa, były wiceminister obrony. Pan Ociepa rano poinformował, że w geście solidarności z Jarosławem Gowinem podał się do dymisji w MON. Potem twardo dementował informacje, jakoby miał zostać przekupiony przez PiS stanowiskiem ministerialnym. Wieczorem zaś z niezwykłą tromtadracją i zadęciem oznajmił: „Wierzę, że silnej Polsce może służyć tylko rząd Zjednoczonej Prawicy. W związku z różnicą zdań co do wizji przyszłości partii Porozumienie, a szczególnie jaką większość należy budować w tym i kolejnym parlamencie, podjąłem decyzję o rezygnacji z członkostwa w partii”.

Gdyby pan poseł milczał, dałoby się to jakoś strawić. Kto w końcu w ogóle wie, kim jest Marcin Ociepa?

Przyznam, że pana posła nie rozumiem. To znaczy – rozumiem kwestie życiowe. Kasa, obiecane stanowisko, być może jakieś inne formy nacisku – zdarza się. Że znów odwołam się do barda, choć z innego klimatu:

Wiesz, ile twarzy na całym świecie zmywa się ciągle każdego dnia?
Twarz na wieszaku, użyję znowu, twarz na podłodze – można znów prać.

To Kuba Sienkiewicz w piosence „Atomistyka”.

Gdyby pan poseł milczał, dałoby się to jakoś strawić. Kto w końcu w ogóle wie, kim jest Marcin Ociepa? Był w Porozumieniu, zmienił front i po kiego grzyba drążyć temat? Ale nie – pan poseł uznał, że musi się ze światem podzielić pompatycznym pretekstem do uzasadnienia swojego czysto pragmatycznego wyboru. I w ten oto sposób Marcin Ociepa zostanie zapamiętany jako ten, który nie tylko dał się kupić w kluczowym momencie, lecz także próbował wcisnąć publice grafomańskie, dęte tłumaczenie swojego manewru. I po co?

Gwoli wyjaśnienia, specjalnie dla pana posła Ociepy: w utworze Kaczmarskiego rosyjski ambasador nie występuje jako postać pozytywna, nawet jeśli co do zasady ma rację. Bohaterem jest opisywany przez niego „niejaki Reytan, zresztą poseł z Nowogrodu”, który kupić się nie dał. ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

Rzut oka na Polski Ład

Piotr Hofman

Jesteśmy obecnie świadkami jednej z ciekawszych dyskusji o polskiej gospodarce od wielu lat. Zainicjował ją oczywiście Polski Ład, czyli kompleksowy program gospodarczy zaproponowany przez rządzące Prawo i Sprawiedliwość. I sam fakt, że taka debata trwa, że padają różne racje i ścierają się odmienne poglądy, uznać trzeba za coś pozytywnego. Ekonomia kojarzy się wielu ludziom z czymś niedostępnym i niezrozumiałym. Lepiej zatem zostawić ten temat specjalistom, niech oni się głowią i martwią, jak to wszystko poukładać. Nic bardziej mylnego. Tematyka gospodarcza w ten czy inny sposób dotyczy każdego z nas. Czy jesteś przedsiębiorcą zarządzającym wielką firmą, czy pracujesz na etacie, powinieneś wiedzieć, co w trawie piszczy i nad jakimi posunięciami w tym momencie zastanawiają się politycy.

Jeśli chodzi o samą treść Polskiego Ładu, to nie brakuje tam rozwiązań i propozycji ciekawych. Spójrzmy na to, co jest tam napisane o zamówieniach publicznych: „Chcemy, aby rynek zamówień publicznych mocniej otwierał się na rodzimych MŚP. W tym celu przyjmiemy Politykę Zakupową Państwa, której celem będzie nadanie pożądanego kierunku działaniom zakupowym zamawiających, zwłaszcza przez promocję wzrostu potencjału wykonawców należących do tego sektora. Ponadto wprowadzimy przepisy tworzące polski system certyfikacji wykonawców zamówień publicznych. Ograniczy to obowiązki formalne związane z udziałem w postępowaniach oraz przyspieszy procedury zakupowe". Przyznam, że słowa te znaczą wiele dla organizacji, którą mam przyjemność kierować, czyli dla Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa. Była ona mocno zaangażowana w konsultacje społeczne nowego Prawa Zamówień Publicznych. Braliśmy udział w licznych wydarzeniach poświęconych tej tematyce, przygotowywaliśmy nasze opinie i uwagi, opracowywaliśmy analizy. Dlaczego? Bo to rynek wart 200 mld zł i warto, aby rola rodzimego kapitału odgrywała w nim istotną rolę. A ten kapitał jest przecież głównie w firmach małych i średnich. To one zatem powinny być w obszarze zainteresowania polityki zakupowej państwa, tak aby poprzez realizację finansowanych przez nie projektów rozwijały się i budowały potrzebne polskiej gospodarce kompetencje. Zwracaliśmy zatem uwagę na największe bariery, które dla tych mniejszych stawia Prawo Zamówień Publicznych, i postulowaliśmy ich usunięcie. A zatem wskazywaliśmy na konieczność większej partycypacji zamawiającego w kosztach inwestycji już na jej wczesnym etapie, mówiliśmy o zbyt wygórowanych wymaganiach, jeśli chodzi o wadia i zabezpieczenia. Zwracaliśmy uwagę na konieczność przedpłat i zaliczek. I wiele z tego znalazło się w nowej ustawie. To pokazuje, że do dobrych pomysłów można przekonać, jeśli opracuje się mądre argumenty. My je opracowaliśmy i na potrzeby debaty nazwaliśmy Piątką Rady.

Jeśli zaś chodzi o podatki i składki, które ewidentnie zdominowały dyskusję, to warto w tym momencie odnieść się do z pewnością istotnego dla rządzących dokumentu, jakim jest program Prawa i Sprawiedliwości z 2019 r. Oto ciekawy fragment: „Wprowadzona zostanie nowa ordynacja podatkowa, a w perspektywie kolejnych lat nowe ustawy o podatkach dochodowych: krótka i zrozumiała o opodatkowaniu rent i wynagrodzeń; nowoczesna uproszczona podatkowa regulacja o działalności gospodarczej oraz zachęcająca do inwestycji ustawa o zyskach kapitałowych". Z treści tego fragmentu wynika, że PiS zapowiadał przygotowanie nowego i prostszego prawa podatkowego. To z pewnością odpowiedź na trafną diagnozę, że nasz system podatkowy jest zbyt skomplikowany. Zatem zamiast go kolejny raz modyfikować i poprawiać, należy prawo podatkowe napisać od nowa. I tak rzeczywiście trzeba zrobić. Postawić na proste, zachęcające do inwestycji i rozwoju przepisy, tak jak przed laty zrobiła to Estonia i odniosła w tym obszarze wielki sukces.

Jeśli już trzeba coś zmieniać w tym, co jest, to na pewno nie 19-procentowy podatek liniowy, efektywnie zwiększony aż o 50 proc. przez liniową składkę zdrowotną i przy którym nie można skorzystać z nowej, wyższej kwoty wolnej od podatku. Co jak co, ale akurat tego mechanizmu, który sprawnie działa od tylu lat, naprawdę nie ma sensu modyfikować.

Pozostając jeszcze przy zagadnieniu wysokości i sposobu obliczania składki zdrowotnej, także warto posłużyć się cytatem z programu PiS. Oto i on: „Proponujemy dalsze zmiany zmierzające do uelastycznienia wysokości płaconych składek względem osiąganego przez przedsiębiorcę dochodu, a także powiązanie opłacania składek z rozliczeniem podatkowym. Oczekujemy w ten sposób dalszej redukcji obciążeń składkowych dla przedsiębiorców generujących niewielkie dochody". Ten fragment jest na tyle wymowny, że pozwolę sobie zostawić go bez komentarza.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 10bcd3ca63

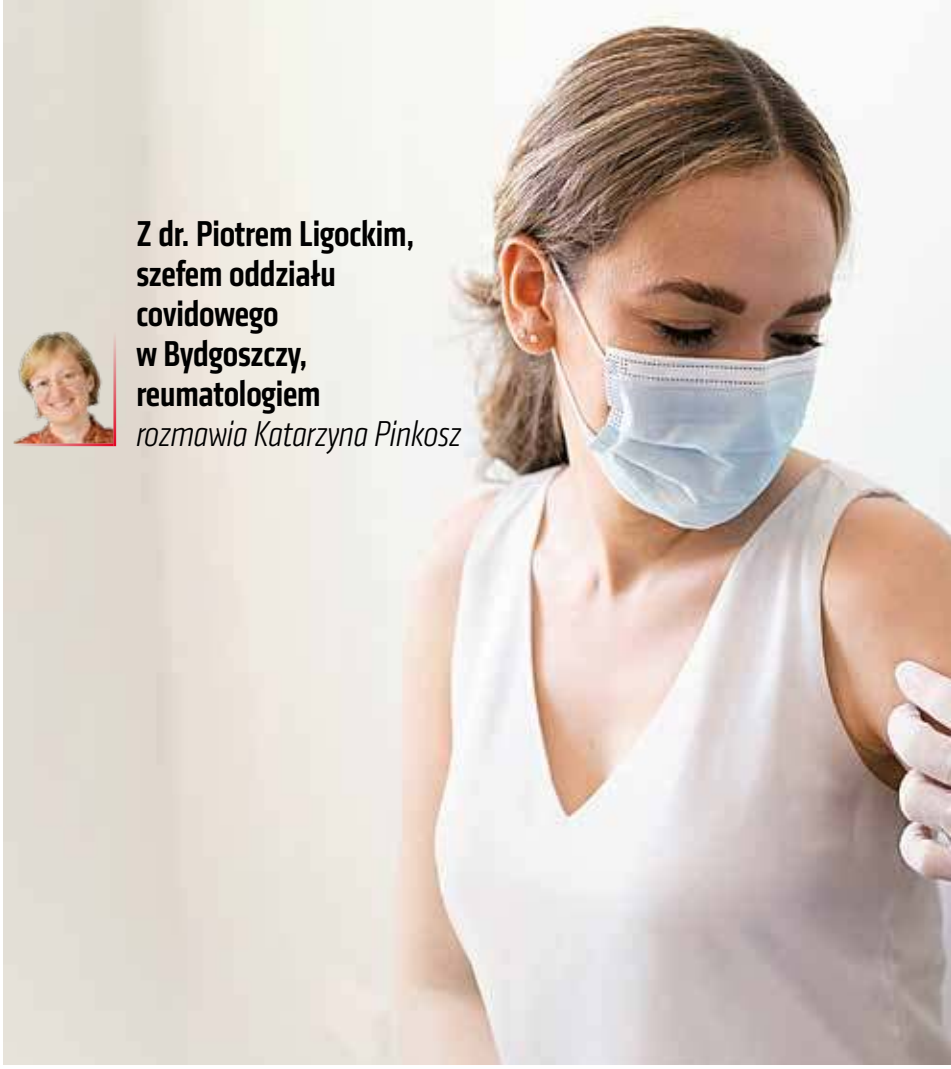

FOT. ADOBE STOCK

Rekomendacje przed czwartą falą

Z dr. Piotrem Ligockim, szefem oddziału covidowego w Bydgoszczy, reumatologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Jakie są pana doświadczenia z pandemii? Był pan szefem oddziału covidowego w Wojskowym Szpitalu Klinicznym w Bydgoszczy, sam przeszedł pan też ciężko COVID-19 w szpitalu.

DR PIOTR LIGOCKI: Przeszliśmy dwie duże fale zachorowań, które zdemolowały naszą służbę zdrowia i pacjentów, nie tylko tych, którzy chorowali na COVID, lecz także niecovidowych, z powodu braku dostępności do lekarzy. Listopadowa fala była bardzo gwałtowna; nie było mądrego, który powiedziałby, jak dana osoba zareaguje na chorobę. Już pierwszego dnia, gdy otwieraliśmy oddział covidowy w szpitalu, przyjęliśmy 21 osób, wszystkie w stanie ciężkim. W grudniu sam zachorowałem, leżałem w szpitalu. Gdy w styczniu wróciłem do pracy, fala zakażeń zaczęła powoli opadać. W marcu znów zaczęła się podnosić, choć była nieco łagodniejsza, a na oddział trafiali głównie pacjenci niezaszczepieni. Zaszczepionych, nawet tylko jedną dawką, było stosunkowo niewielu. Oczywiście zdarzało się w skali kraju, że osoby zaszczepione ciężko chorowały, nawet umierały, jednak to pojedyncze przypadki. Na co dzień pracuję z pacjentami, którzy mają choroby reumatyczne, autoimmunologiczne, którzy przyjmują leki immunosupresyjne, osłabiające system odpornościowy. Jeśli były zaszczepione, to przechodziły COVID-19 znacznie łagodniej w porównaniu z niezaszczepionymi.

Dziś mamy ciszę, jednak jest ona typowa dla każdej pandemii, która zwykle toczy się falami. Czy wirus wróci jesienią ze zdwojoną siłą? Tak, jeśli większość społeczeństwa się nie zaszczepi; to nasz wybór. Druga sprawa to maseczki: w dużej mierze chronią, niestety wiele osób ich nie nosi w pomieszczeniach. Proszą się o zakażenie, szczególnie jeśli są nieszczepieni.

Dużo miał pan na oddziale osób młodych – wydawałoby się – zdrowych?

W potocznym myśleniu wydaje się, że COVID-19 przechodzą osoby starsze, z chorobami przewlekłymi, takimi jak cukrzyca, nadciśnienie, otyłość. Przekrój wiekowy na oddziałach covidowych był różny: byli też wysportowani 20-latkowie, aktywni zawodowo 30–40-latkowie, zdrowi 50-latkowie bez chorób towarzyszących. Były osoby przyjmowane w niezłym stanie, które jednak umierały. Dotyczyło to głównie młodych osób. Nie ma reguły; każdy z nas może ciężko przejść COVID. Prawdopodobnie ciężej przechodzą go osoby, które miały bliski kontakt przez wiele godzin z osobą aktywnie zakażoną. SARS-CoV-2 trochę nas „oszukuje": uderza silną falą, potem wycisza się, po jakimś czasie zaczyna się następna fala. Podobnie wyglądała epidemia wirusa grypy 100 lat temu. Dane szacunkowe mówią, że zmarło wówczas ponad 20 mln osób, są to jednak tylko szacunkowe dane. Koronawirus jest bardziej wysublimowanym wirusem od grypy. Potrafi się ukryć, jest roznoszony w sposób bezobjawowy, potrafi też szybko niszczyć płuca. Widzieliśmy, co się działo, gdy w Peru, Boliwii czy Indiach brakowało tlenu: ludzie umierali dosłownie na ulicach.

W Polsce stosunkowo dużo osób zmarło z powodu COVID. Powodem był m.in. utrudniony kontakt z lekarzem, ale też zbyt późne wzywanie pogotowia...

Nie wiem, dlaczego pacjenci obawiali się, że jak pojadą do szpitala, to umrą. Było wręcz odwrotnie: większość osób, które znalazły się w szpitalu, wyzdrowiała. Sam jestem tego przykładem, a dostałem standardowe leczenie, w odpowiednim momencie. Wiele osób nie zgłaszało się do lekarzy, nawet

eprasa.pl 10bcd3ca63

mając objawy. Nie do końca spełniali swoją rolę lekarze – nie zawsze w czasie teleporady można było sprawdzić, jaki jest stan chorego. Pacjenci często nieprawidłowo stosowali pulsoksymetr: np. kobiety miały pomalowane paznokcie, co fałszowało wynik. Poza tym pulsoksymetr jest bardzo pomocy, gdy wiemy, jaki jest stan czynnościowy płuc. Dlatego powinno się sprawdzić saturację nie tylko w spoczynku, lecz także po zrobieniu kilku kroków.

Aktywność fizyczna nie powoduje, że saturacja rośnie i fałszuje pomiar?

Nie do końca. W przypadku COVID bywało, że pacjent przeszedł kilka kroków do łazienki i tracił przytomność. Sam miałem saturację prawidłową, gdy leżałem w łóżku, a kiedy przeszedłem kilka kroków, nagle spadała. Znów to porównanie z grypą: ona takich stanów nie wywołuje.

Czy nieprawidłowe leczenie w domu również mogło powodować, że pacjenci zbyt późno trafiali do szpitala? Dość często w trakcie teleporad dostawali antybiotyki.

Bardzo niepokoi mnie szafowanie antybiotykami i glikokortykosteroidami w pierwszej fazie COVID-19 u pacjentów, którzy są w domu. Antybiotykoterapia powinna być zarezerwowana do sytuacji, gdy pojawia się nadkażenie bakteryjne, pacjent jest leczony w szpitalu. Antybiotyk wpływa na naszą odpowiedź immunologiczną, nie powinien być stosowany w trakcie infekcji wirusowej. Zbyt wczesne stosowanie antybiotyku mogło niekorzystnie wpłynąć na przebieg choroby.

COVID kojarzy się z zapaleniem płuc, jednak często bardzo poważne powikłania dotykają serca.

COVID dotyka całego organizmu. Koronawirus atakuje śródbłonek naczyń krwionośnych, ma silnie działanie prozakrzepowe. Oznacza to większą liczbę groźnych dla życia incydentów zakrzepowych w układzie sercowo-naczyniowym. Proces wykrzepiania wewnątrz naczyń powoduje powstawanie mikrozatorów i zwiększoną liczbę powikłań zatorowo-zakrzepowych. W szczególności są na nie narażeni pacjenci w drugiej fazie choroby, a także po przechorowaniu. Zdarzają się przypadki zawału mięśnia sercowego u młodych osób, które nie mają żadnych czynników ryzyka poza tym, że chorowały na COVID-19. Mój młody kolega lekarz, bardzo sprawny fizycznie, po czterech tygodniach od przechorowania dostał zawału. COVID przechodził w domu, nie był to szczególnie ciężki przebieg. Najpoważniejszymi powikłaniami są właśnie zmiany dotyczące układu sercowo-naczyniowego. Na samą infekcję nakłada się bardzo agresywne leczenie, m.in. glikokortykosteroidami, które nie są obojętne dla organizmu. Powikłania dotyczą nie tylko serca, lecz także mózgu, zdarzają się problemy z zapamiętywaniem, spójnym myśleniem, bezsennością.

Częściowo zapobiec powikłaniom zakrzepowym mogą heparyny. Kiedy powinno się je stosować?

Heparyny były stosowane już przez lekarzy chińskich, w czasie pierwszej fali COVID-19. My na początku w szpitalu podawaliśmy pacjentom nieco wyższe dawki heparyny. Niestety, zdarzały się krwotoki. Dlatego jeśli nie było wskazań do podawania większej dawki – np. z powodu nadwagi czy otyłości – to podawaliśmy pacjentom dawkę profilaktyczną (0,4 ml). Była u nich bardzo duża poprawa. Dziś widzę, że pacjenci, którzy otrzymywali heparynę, mają mniej powikłań. Szybciej wracali do formy, jeśli otrzymywali również heparynę po wyjściu ze szpitala.

Obecnie według zaleceń powinno się podawać heparynę w dawce profilaktycznej każdemu pacjentowi hospitalizowanemu z powodu COVID-19, a także chorym leczonym w domu, którzy muszą leżeć z powodu innych schorzeń. Osoby, które są zakażone COVID-19 i nie są w stanie chodzić, mają dwa duże czynniki ryzyka groźnych zaburzeń zakrzepowo-zatorowych, w tym zatorowości płucnej, zawału mięśnia sercowego, udaru mózgu. Nie ma jednoznacznych wytycznych dotyczących stosowania heparyny po wyjściu ze szpitala, ja staram się ją zalecać na 14–30 dni po hospitalizacji. Heparyna powoduje też w pewnym stopniu blokowanie namnażania się wirusa; nie jest to oczywiście lek przeciwwirusowy, natomiast przyspiesza szybszy powrót do zdrowia.

Czy ma znaczenie rodzaj heparyn: biologiczne czy syntetyczne?

W Polsce ze względu na refundację są stosowane głównie heparyny biologiczne; syntetyczne (syntetyczne leki antykoagulacyjne) są rzadziej stosowane. Problemem jest to, że z powodu epidemii mogą zdarzyć się przerwy w dostawach leków, a komponenty do wytwarzania heparyn biologicznych są przywożone głównie z Chin. Dlatego ze względu na bezpieczeństwo lekowe najlepiej by było, żebyśmy w Polsce mieli dostęp do obu rodzajów heparyn, tym bardziej że syntetyczne mają mniej działań niepożądanych.

Wiele osób bardziej obawia się wystąpienia zakrzepów po szczepionce niż po COVID.

Wyjątkowo zdarzają się przypadki zaburzeń krzepliwości po szczepieniach; nieporównywalnie rzadziej niż po COVID. Znacznie groźniejszymi czynnikami ryzyka są palenie papierosów, otyłość, inne choroby metaboliczne, picie alkoholu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Piotr Ligocki – jest reumatologiem, do czerwca 2021 r. był koordynatorem oddziału covidowego Wojskowego Szpitala Klinicznego w Bydgoszczy oraz Szpitala Tymczasowego w Ciechocinku.

eprasa.pl 10bcd3ca63

Jacek Komuda

Ojców u skały

Zamek w Ojcowie to jedno z najpiękniejszych dzieł czasów Kazimierza Wielkiego

Wzniesiony na wysokiej wapiennej górze nad doliną Prądnika jest niestety bardziej miejscem niż budowlą. Jego piękno i chwała giną w cieniu innego zabytku – doskonale zachowanego zamku w Pieskowej Skale, który grał w wielu filmach, od lat stanowi cel wycieczek, a kawiarnia w bastionie była przez wiele lat symbolem PRL-owskiego kiczu, którego oznaką były zawsze plastikowe kwiatki na stoliku nakrytym ceratą.

Pieskowa Skała jest piękna, ale pozostałości zamku w Ojcowie są jak ruiny z planu filmowego „Władcy Pierścieni" na podstawie książek J.R.R. Tolkiena. Kamienne ciosy poprzerastane roślinnością, zachowany budynek bramy i wieża; fundamenty budowli dają upust naszej wyobraźni. Możemy śnić na jawie, oglądając oczyma duszy prawie nieistniejący zamek, który doskonale wpasowywał się w skalne stromizny otaczających go urwisk. Niesamowicie wygląda sam wjazd – budynek bramy wjazdowej przytulony bokiem do stromych skał. A ze środka ruin rozpościera się przepiękna panorama doliny Prądnika w jej najciekawszym miejscu.

KU PAMIĘCI ŁOKIETKA

Ojców wzniesiony został za czasów Kazimierza Wielkiego i – jak wieść niesie – nazwany był: „Ociec u Skały" (a także Oczecz, Ocziec, Oszyec), na cześć królewskiego rodzica – Władysława Łokietka. Ponoć powstał, aby upamiętnić ucieczkę tego władcy z Krakowa, po której ukrywał się w pobliskiej jaskini, dziś zwanej Grotą Łokietka. Zamek pierwszy raz wzmiankowany jest w 1370 r., a burgrabią był na nim niejaki Zaklika. Później dobra ojcowskie oddawano w dzierżawę kolejno: Janowi z Korzkwi, Piotrowi Szafrańcowi z Pieskowej Skały i wielu innym możnowładcom. Ostatecznie w 1536 r. zamek przeszedł w ręce królowej Bony, która wyjeżdżając z Polski, pozostawiła go w rękach Stanisława Płazy. Po nim zamkiem władali Piotr Myszkowski i jego syn Aleksander, którzy – prawdę mówiąc – niewiele dbali o podległą im twierdzę. Dopiero w 1619 r. dobra ojcowskie wykupione zostały przez Mikołaja Korycińskiego. On i jego syn, także Mikołaj, kasztelan sądecki, podnieśli warownię z ruin, wznieśli nowe budynki i umocnili stare. W 1651 r. właścicielem zamku został Stefan Koryciński, kanclerz wielki koronny, a na lata jego władzy przypadł nieszczęsny najazd szwedzki. Jednak Szwedzi nie zrujnowali zamku, chociaż zajęli go i wykorzystywali jako fortecę i magazyn. Badania archeologiczne w jaskini Tunel Wielki doprowadziły do odkrycia szczątków dziewczynki pochowanej tu ok. 1656 r., w płytkim grobie z czaszką zięby w ustach. Dziś udało się zidentyfikować szczątki jako pozostałości 12-letniego dziecka pochodzącego z Finlandii. Odkrycie stało się szokiem, gdyż świadczyło o tym, że na zamku w Ojcowie przebywali Finowie służący w armii szwedzkiej, a w połowie XVII w. wciąż żywe były wśród nich pogańskie obrzędy.

Okupacja szwedzka nie zniszczyła zamku, co więcej – lustracja z 1660 r. podaje, że Koryciński wzniósł tutaj nowy dom wielki. Po jego śmierci Ojców stał się własnością wdowy, a od 1674 r. starostwo przeszło na Jana Warszyckiego, potem kolejno na Męcińskich, Morskich, a w XVIII w. Łubieńskich i Załuskich. W 1787 r. Teofil Załuski przyjmował tutaj ostatniego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który odwiedził cieszącą się wówczas sławą dolinę Prądnika. „Staś" zwiedził Jaskinię Ciemną, do której wylotu ponoć dojechał konno (byłoby to możliwe i dzisiaj), następnie przyjmowany był na zamku; po uczcie trzymał do chrztu córkę Załuskiego, Marię Salomeę.

OD PIĘKNA DO RUINY

Według ikonografii jeszcze w XVIII w. zamek w Ojcowie był w dobrym stanie. Do twierdzy prowadził drewniany most

eprasa.pl 10bcd3ca63

FOT. ADOBE STOCK

RYS. PEGAZ

na filarach, doskonale zachowane były zarówno budynek bramy, jak i okazały, piętrowy dom mieszkalny usytuowany za bramą, po prawej stronie, na skalistym cyplu. Można powiedzieć, że Ojców miał po prostu niesamowite szczęście, gdyż ominęły go zarówno zniszczenia czasu wojny o sukcesję polską w latach 1733–1734, jak i walki konfederacji barskiej. W 1787 r. na akwareli Zygmunta Vogla prezentował się wprost imponująco, górując nad skałami i drewnianymi chałupami w dolinie Prądnika. Według inwentarza z 1765 r. zamek zbudowany był na wysokiej skale – można było do niego wjechać przez „most z poręczami". Dalej: „Ganek przed bramą wystawiony na nowo, dalej brama murowana, wrota nowe, od których po prawej stronie wchodząc do zamku sień, z tej pokój stołowy, w którym okien w ołów dwa, piec kaflowy, dalej pokój pomniejszy, w nim okien w ołów dwa, piec kaflowy, kominek murowany, z tego pokoju gabinecik, w którym okna w ołów dwa z tego garderóbka, w niej okno w ołów jedno, dalej idąc w pokój, w nim okno w ołów jedno". Ojców wyposażony był bogato – wszędzie piece kaflowe, okna, murowane kominki, były też oficyny – zapewne dawne, średniowieczne budynki mieszkalne, wozownia i kuchnia. Ciekawe, że istniejąca do dziś baszta służyła jako więzienie: „Przy bramie po lewej stronie wieża murowana o dwóch piętrach dla inkarceratów, drzwi w niej żelazne z zamkiem".

Jeszcze na początku XIX w. istniały wszystkie zamkowe budynki – dom wielki miał na parterze przedsionek, sześć izb i dwa alkierze. Na dziedzińcu wciąż funkcjonowały: psiarnia, szopa, dwie stajnie, ogród, kuchnia i kurnik. U podnóża warowni znajdował się folwark, w nim dworek ekonoma, piekarnia, chlewy, wozownia, browar, gorzelnia, karczma, młyn i tartak.

Cóż zatem sprawiło, że piękny Ojców wkrótce obrócił się w ruinę? Ogólnie powiedzieć można, że przyczyną tego był brak państwa polskiego i pierwszych instytucji zajmujących się ochroną zabytków. W 1811 r. zwiedzający zamek Julian Ursyn Niemcewicz zanotował, że nikt tu nie mieszkał. Piętnaście lat później Klementyna Hoffmanowa bała się wchodzić do komnat, gdyż dachy i stropy przegniły, a ściany groziły zawaleniem.

W 1829 r. rozpadający się zamek kupił razem z Ojcowem Konstanty Walicki, który rozebrał wszystkie budowle i górne części murów, pozostawiając bramę wjazdową i wieżę. O dziwo, kolejni właściciele podejmowali próby odbudowy zamku leżącego w tak pięknym miejscu, ale wszystkie skończyły się niepowodzeniem. Nie zrealizowano romantycznego i neogotyckiego projektu Franciszka Lenciego z lat 40., nie zdołali podnieść Ojcowa z ruin Aleksander Przeździecki ani Ludwik Krasiński, który zasypał fosę, odbudował budynek bramy, ale przy okazji rozebrał górną część wieży grożącą zawaleniem. Za jego czasów przebudowano tylko bramę wjazdową – dodano w niej dodatkowe okna, urządzono pokój mieszkalny. Kolejna właścicielka – Ludwika Czartoryska – odnowiła pozostałości baszty, kazała zbudować w niej kominek i schody, jednak nadchodząca wojna światowa przerwała i te skromne prace.

Po drugiej wojnie światowej próbowano kilkakrotnie prac remontowych, ale dopiero w latach 1980–1982 zrekonstruowano dachy bramy wjazdowej i wieży. Późniejsze próby powołania komitetu rekonstrukcji zamku nie powiodły się, przeprowadzono tylko doraźne remonty. Dopiero w latach 2017–2019 dyrekcja Ojcowskiego Parku Narodowego przeprowadziła konserwację zamku, jak jednak podaje na swoich stronach – nie zamierza wykonywać rekonstrukcji budowli. Szkoda, bo zamek w Ojcowie ma bogatą dokumentację ikonograficzną i źródłową, umożliwiającą jego odtworzenie, nawet jeśli nie w kształcie średniowiecznym, to tak jak wyglądał w XVII w.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 10bcd3ca63

TOMASZA STRZELCZYKA
SPOSÓB NA MŁODE ZIEMNIAKI

Jestem miłośnikiem prostej kuchni opartej na ogólnodostępnych produktach. Świeże zioła i czarny świeżo roztarty pieprz w moździerzu to składniki niezbędne w mojej kuchni. Chciałbym wam zatem zdradzić szybki przepis na młode ziemniaki duszone w sosie śmietanowo-ziołowym.

Składniki:

- 1 kg młodych ziemniaków
- 0,5 l śmietanki 30-procentowej
- 1 mały pęczek pietruszki
- 1 mały pęczek kopru
- 1 pęczek szczypiorku
- kilka listków lubczyku
- sól i czarny świeżo roztarty pieprz do smaku

Przygotowanie:

Zioła drobno posiekać. Ziemniaki oskrobać i dokładnie umyć. W garnku z grubym dnem zagotować wodę z dodatkiem soli. Do wrzątku wrzucić ziemniaki i lekko podgotować. Kiedy będą półmiękkie, wylać wodę, a zamiast niej dodać śmietankę. Przyprawić solą i czarnym świeżo roztartym pieprzem. Dusić na małym ogniu pod przykryciem do chwili, aż śmietana lekko zgęstnieje. Pod koniec dodać posiekane zioła. ©℗

oprac. raw
Tomasz Strzelczyk jest kucharzem, prowadzi kanał kulinarny na YouTube „Tomasz Strzelczyk ODDASZFARTUCHA".

FOT. MARCIN GOLIK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sport i ciało

Dlaczego tenis kobiecy ma większą oglądalność, chociaż jego znaczenie w sporcie jest mniejsze niż męskiego? Zgadli Państwo! Bo tenisistki noszą krótkie spódniczki, więc przyjemnie się to ogląda, zwłaszcza jeśli widownia jest męska. Nie tylko o tenis tu chodzi. Gimnastyka, siatkówka, jazda figurowa na lodzie...

Film, który zrobiono na rozgrywkach siatkówki plażowej na igrzyskach olimpijskich w Atenach w roku 2004 r. potwierdził powszechne przekonanie, że męska widownia, oglądając kobiecy sport, interesuje się nie tyle sportem, ile ciałem zawodniczek. Film pokazał, że 37 proc. ujęć skupiało się na biustach i pupach zawodniczek.

FOT. ADOBE STOCK

25 lipca w Tokio niemieckie gimnastyczki – Elisabeth Seitz, Sarah Voss, Pauline Schäfer-Betz i Kim Bui – zamiast w bikini pojawiły się w jednoczęściowym kombinezonie. Taki strój jest dozwolony przez PKOl, a jednak ta nieoczekiwana zmiana kolejny raz wywołała debatę na temat tego, jak kobiety powinny być ubrane podczas zawodów. Tak, jak one same uważają, czy tak, jak każą im związki sportowe?

„My, kobiety, chcemy się dobrze czuć w naszej skórze. W sporcie to nie jest łatwe, gdy już przestaje się być dziewczynką" – powiedziała Sarah Voss. „Kiedy byłam mała, to nie był problem, ale gdy moje ciało zaczęło się zmieniać, zaczęłam coraz gorzej czuć się w tych bardzo obcisłych ubraniach".

Elisabeth Seitz napisała, że zdjęcia zawodniczek krążą potem w Internecie. Ogląda je wiele osób i nie tylko amatorów sportu... „Widzą tam więcej, niż powinni widzieć".

Krótko przed olimpiadą, na mistrzostwach Europy w siatkówce plażowej, norweska ekipa odmówiła zagrania w dwuczęściowych kostiumach, które przewidywał regulamin. Mecz z Hiszpankami Norweżki rozegrały ubrane w szorty, takie jak noszą zawodnicy męscy. Od Europejskiej Federacji zostały ukarane mandatem 1,5 tys. euro. Norweski minister kultury Abid Raja, któremu podlega również sport, skrytykował decyzję Federacji.

W tym roku do dyscyplin olimpijskich został włączony skateboard. Można traktować to jako zastrzyk młodości dla imprezy – tegoroczna złota medalistka, Japonka Momiji Nishiya, nie ma jeszcze skończonych 14 lat! Ci młodzi zawodnicy wprowadzają własny, swobodny, młodzieżowy dress code: T-shirty, szerokie spodnie. I PKOl jakoś się z tym godzi. Czy to wpłynie na inne decyzje urzędników olimpijskich? Powszechnie wiadomo, że działają oni pod presją telewizji kupujących emisje i czas reklamowy. Presja kobiet może być już jednak trudna do zatrzymania. ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Życie za punkty

Jednak metoda powolnego gotowania żaby tak, by się nie zorientowała, że temperatura się zwiększa, dziś odnosi znakomite sukcesy. Ja testuję od czasu do czasu, przywołując jakieś najbardziej odjazdowe decyzje władz na świecie, przenoszę się z nimi do, powiedzmy, 2018 r. i zastanawiam się, czy wtedy głosicieli dzisiejszych faktów wyśmiano by czy zamknięto w psychiatryku. A my to łykamy, woda już jest bliska temperatury wrzątku, a żabia ludzkość pluska się niewinnie i swobodnie.

Najlepszy test poziomu naszego odjazdu akceptacji nienormalności można przejść na ekstremach. Pamiętamy przecież, jak kiwaliśmy głowami, jeszcze przed COVID, nad chińskim systemem punktów społecznych. No tak, mówiliśmy, to Azjaci, wiadomo taki kolektywistyczny mental. Tylko oni mogą akceptować system, według którego władza (pierwsze masowe zastosowanie sztucznej inteligencji) namierzy cię, oceni twe społeczne zachowanie, da albo zabierze ci punkty. Jeśli ci ich zabraknie, to pozbawią cię takiego luksusu jak podróże, dostęp do Internetu czy do pracy. I trenowano to tam jeszcze przed COVID, w pandemii zaś system był jak znalazł, dodało się do tego tylko kryteria pandemicznego behawioru. No tak, ale to Azjaci. Tak?

Warto pamiętać, że obecne szczepionkowe „zachęty" mają podobną konstrukcję. Zaszczepieni mają być nagradzani dostępem nie do wyjątkowych luksusów, ale do luksusu normalności. Niezaszczepieni zaś brakiem dostępu do czegoś, co było podstawową normą, dostępem do sklepu, leczenia, pracy. Ale system taki jest zerojedynkowy, a więc zapadalny. Czyli działa tak-tak, nie-nie. W związku z tym jest pozbawiony elementu wychowawczego, dającego szansę na proces kształtowania w kierunku „nowej normalności". Po prostu w ten sposób temperatura w akwarium z żabą podnosiła się skokowo i było to zauważalne. Trzeba więc – wzorem chińskim – wprowadzić wychowawczą gradację.

Hiszpania przygotowuje regulacje umożliwiające niepoprawnym epidemiologicznie rekwirowanie majątków, umieszczanie na czas nieokreślony w zamknięciu i zmuszanie do pracy w wyznaczonej profesji

I w Niemczech ministerstwo edukacji już ogłosiło, że zastanawia się nad wprowadzeniem chińskiego modelu punktów socjalnych. Wzorce – jak pisałem – są. W Wielkiej Brytanii przygotowuje się system obserwowania zakupów i stylu życia. Władze będą oceniać „zdrowotność" koszyka zakupów i – na razie – nagradzać pożądane zachowania.

To stary pomysł: chodzi o to, że jeśli taki gościu niezdrowo żyje, to wyląduje wcześniej czy później w przemęczonej służbie zdrowia. I czemu społeczeństwo ma płacić za takiego? Trzeba więc przymuszać do zdrowotności. Hiszpania przygotowuje regulacje umożliwiające niepoprawnym epidemiologicznie rekwirowanie majątków, umieszczanie na czas nieokreślony w zamknięciu oraz zmuszanie do pracy w wyznaczonej profesji i miejscu, które wybierze władza. Widać, że tego rodzaju decyzje są stymulowane okazją do wprowadzenia obostrzeń, jaką daje pandemia, która znacznie obniżyła społeczny próg akceptacji stopniowego zawłaszczania osobniczej wolności.

W 2019 r. ktoś, kto by zapowiadał, że taki świat przyjdzie już za rok, byłby ogłoszony szaleńcem. I co, nie dało się? Dało. Lud i tak wolności sobie nie cenił, wolał bytowanie w bańce przetrwania, którą jedynie utwardził końcowy deal ludzkości: wymiany (pozoru) bezpieczeństwa za wolność.

Te wszystkie systemy punktowe wymagają bowiem jednego: identyfikacji punktowanego. To podstawowe założenie, które z definicji pozbawi nas anonimowości w stosunku do władzy, czyli organicznej zasady wolności. Nasze choroby, nasze zachowania, zwyczaje staną się sprawą publiczną, na tyle jawną, by ją oceniła władza w imię ustalonych przez siebie kryteriów. Dziś pytanie wśród znajomych, czy się zaszczepiłeś, jest już normalnością.

Ugotują nas i nawet nie zauważymy. Jedyna pociecha, że u nas takie rzeczy nie przejdą. Nie dlatego, że się im oprzemy, bo akurat jesteśmy wyjątkowo bierni w tym procesie wymiany wolności za bezpieczeństwo. Może w Polsce ocalejemy z prostego powodu – pewnie nam się nie uda odpalić takiego systemu, bo albo go będziemy obchodzić, albo organizacyjnie będzie po polsku: miało być fajnie, a wyszło – jak zwykle. ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Piki, nie wina!

Przed wyjazdem na obóz syn poprosił mnie o podrzucenie jakiejś gry karcianej, która mogłaby zainteresować koleżeństwo. Rodzinnie rżniemy w tysiąca, ale niestety gra ta jakoś nie przyjmuje się wśród młodzieży szkolnej.

Z dawno nieużywanych zakamarków mojego umysłu wyciągnąłem i otrzepałem z pajęczyn i kurzu grę o uroczej nazwie król-cham. Nie wiem, czy to funkcjonowało gdziekolwiek poza moim podwórkiem, ale u nas robiło furorę w okolicach trzepaka przez ładnych kilka lat. Gra się we czworo, każdy w wyniku losowania obejmuje jedną z ról: króla, ministra, pachołka i chama. Cham ma oddać królowi swą najmocniejszą kartę, król w zamian oddaje najsłabszą. W sumie sympatyczne oddanie hierarchii społecznej – tym smaczniejsze, że król może się posługiwać ministrem i pachołkiem do gnębienia chama na różne sposoby.

Tymonowi gra się spodobała i oczywiście zaraz zaczął nas męczyć, byśmy ją przetestowali. Jak to oczywiście w życiu bywa, mnie przypadła rola chama, a młody został królem i znęcał się nade mną w niezbyt wyrafinowany sposób. Na szczęście razem z mamą-ministrem udało nam się aroganckiego władcę zdetronizować, to znaczy zdobyć więcej lew niż on. Ze szczytu hierarchii społecznej spadł na samo dno, co – mam nadzieję – było dla niego pewną nauczką. O co się postarałem, uprzykrzając mu życie jako suweren.

Przy tej okazji Tymon opowiedział nam szkolno-karcianą anegdotę. Otóż na lekcji matematyki przerabiano bodaj rachunek prawdopodobieństwa, posługując się przy tym postaciami z talii. I pewna dziewczynka wywołała największą furię pedagogiczną, jakiej świadkiem był nasz syn. Powiedziała mianowicie „dama wino". Gniew matematyczki – groźnej ze swej natury – był straszliwy. Żadne ułamki i liczby po przecinku nigdy jej tak nie rozsierdziły jak dama kier nazwana po knajacku damą wino. Winna – nomen omen – została ukarana jakimiś punktami karnymi, a dzieci usłyszały pełen zapału wykład o właściwych nazwach kolorów w talii kart.

Pani od matmy ma już swoje lata (właśnie odeszła na emeryturę), więc oczami wyobraźni zobaczyłem, jak w czasach późnego PRL, w zadymionym od papierochów mieszkaniu, popijając winiak klubowy, oddaje się ulubionej rozrywce dawnej inteligencji, czyli brydżowi. I przeniknięta tym dymem oraz winiakiem, oraz niezliczonymi licytacjami i robrami wiele lat później dostaje furii, gdy dzieci w szkole mówią na kiery czerwa, a na karo dzwonki. A jej obrona karcianych świętości przynosi wiekopomne efekty, bo cała klasa mówi już tylko, jak wypada w towarzystwie: kiery, kara, piki i trefle.

I kto by pomyślał, że karty mają taki potencjał pedagogiczny. Szkoda zresztą, że pani już na emeryturze, bo ja na brydża za głupi jestem i dzieciaka nie nauczę. Król-cham to szczyt moich możliwości. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Lobby normalsów i patriotów

Małgośka – mówią mi – Polska jest dla wszystkich. No wreszcie! – odpowiadam. – Czyli minęła wam już chuć, żeby „je…" i „pie……" PiS? Zapanujecie nad językiem i rozporkiem? Nauczycie się rozmawiać, zamiast skandować obelgi? Rozmówca wzrusza ramionami i odchodzi.

Może gdybym wyrażała się w narzeczu Lempart, to byłabym lepiej rozumiana przez adwersarzy, ale u nas w domu nie wolno było. Gdy Babcia po amnestii wróciła z łagrów, zapowiedziała, że nikt w jej domu nie będzie przeklinał, bo to język codzienny bolszewików. I tak już u nas zostało. Nasze elity jednak, jak choćby mistrz mowy polskiej Jerzy Sosnowski i „literatka" Tokarczuk, zachwycone były dosadnością języka i szyfrujących go gwiazdek. Ot, jaśnie państwo demokraci, którzy – o dziwo – nie godzą się z wyrokami demokracji. Może gdyby wynaleziono szczepionkę na złagodzenie objawów frustracji powyborczej…

No ale wtedy Maria Awaria Peszek nie mogłaby zarabiać na swej „tfurczości". Przyznaję, że w Polsce ich marzeń ciągle obrażają mnie jacyś pieśniarze. W końcu gardzą nie tylko PiS-em, lecz także siłą rzeczy tymi, którzy głosowali na prawicę. Nawet Zalewski odbierając Fryderyka, musiał sobie pofolgować: „pogwiazdkował" wszystkim, którzy nie myślą tak jak on i nie całują przypadkowo spotkanych osób tej samej płci. Ale przecież ja chodziłam do szkoły z Kubą Badachem i Goyą i to oni udowadniali, że muzyka nie ma nic wspólnego z poniewieraniem innymi, a raczej z tworzeniem wspólnoty.

A właściwie skąd Peszek czy Zalewski mają pewność, że kiedyś nie spotka ich ten sam los co autora piosenki: „Danaż, moja dana / pasę krówki na ugorze / od samego rana", czyli kompletne zapomnienie? Trzeba mieć nieźle odhodowane ego, aby poczuwać się do roli wieszcza, szarpiąc struny gitary i te głosowe. Cieszmy się jednak, że tymczasem ci od chuci i chędożenia jeszcze nas nie wypisali z kraju. Ot, deputowana muzułmańska ogłosiła lidera Vox, Abascala, „persona non grata" w hiszpańskiej Ceucie! Pozostałe partie ochoczo poparły wniosek, bo Vox jest dla nich zagrożeniem jako partia z największym 40-procentowym poparciem w tamtym rejonie. A skoro rodzime lewaki kopiują wszystko z Zachodu, to tylko czekać, kiedy ogłoszą Dudę lub Kaczyńskiego persona non grata w Polsce.

Proponuję założyć zawczasu jakieś lobby literkowe, skrót od Normalsi, Heterycy, Patrioci, i szykować strategię w Brukseli o tym, jak nasza mniejszość prześladowana jest przez liczne, tęczowe mniejszości, czego dowodzą strefy z ośmioma gwiazdkami, gdzie nie mamy wstępu! ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czy każdy może być kobietą?

Ofensywa przeciwników dyskryminacji kobiet wydaje się wyczerpywać impet. Ciągle jeszcze słyszymy, że kobiety mają trudniej, że od wieków były prześladowane przez mężczyzn, ale już pojawił się nowy wątek w walce z dyskryminacją oraz wykluczeniami. Obecnie grupą najbardziej chronioną, bo podobno najbardziej dyskryminowaną i wykluczaną, są osoby o wątpliwej identyfikacji seksualnej. Stanowią one niewielki odsetek populacji i należy się im troska. Ale czy w trosce o ich dobre samopoczucie należy przyznać im prawo do dowolnego korzystania z działalności i obiektów dotąd dzielonych wedle płci? Obecnie ktoś, kto uważa się za kobietę, może startować w zawodach sportowych razem z kobietami oraz korzystać z damskich szatni i toalet. Jeszcze niedawno pomyślelibyśmy, że tak opisują swe sny wariaci, ale teraz rewolucja antycywilizacyjna osiągnęła nowe stadium i jest całkiem poważnie racjonalizowana przez niektóre media i „autorytety".

Tekst ten dedykuję z szacunkiem wszystkim kobietom, które chcą być kobietami, które są kobietami, którym jest z tym dobrze i które nie chcą, by im utrudniano życie i zawracano głowę

Powstaje pytanie, czy naprawdę istnieje rzeczywistość czy tylko jej dowolne interpretacje. Teoretycy ponowoczesności już dość dawno odpowiedzieli, że mamy do czynienia jedynie z „narracjami". Obecnie myśl tę wdraża się w prawie i w praktyce społecznej. Skoro każdy może się określić dowolnie w sensie płci, to co stoi na przeszkodzie, by wybrał sobie wiek, a nawet czas, w którym żyje? Czy jeśli ktoś powie, że jest młodym legionistą rzymskim walczącym z barbarzyńskimi Hunami, to będzie skierowany na leczenie psychiatryczne? A dlaczego? Domem wariatów musi ktoś kierować, bo pensjonariusze narobią sobie krzywd, działając wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi. Na pytanie, kto ma kierować naszym domem wariatów, odpowiadam na koniec pewną prośbą.

W świecie płci kulturowej, którą wylansowali przodownicy awangardy walki z wykluczeniami, gdy płeć stała się wyrazem doraźnej woli człowieka, nastąpił prawdziwy przełom: dziś każdy może być kobietą. Notabene chętnych, żeby być mężczyzną, jest wśród kobiet zdecydowanie mniej. Ciekawe dlaczego. Może mężczyzn mających problemy ze swoją seksualnością jest więcej niż kobiet? Jakie są jednak konsekwencje tej wolności?

I cóż to w ogóle znaczy: być kobietą? Słyszymy, że są co do tego wątpliwości. Z jakichś niejasnych powodów powstał pomysł, by kobiety nie były nazywane kobietami, ale „osobami z macicą". Wydawać by się mogło, że jeśli wszyscy mogą być kobietami, to zniknie dyskryminacja kobiet. Fantastycznie. Co jednak zrobić z osobami o braku wyraźnej tożsamości seksualnej? Jeśli wszyscy chcieliby być kobietami, to osoby te będą niewątpliwie dyskryminowane ze swej istoty, tym razem przez kobiety. W całym tym zamieszaniu machnięto więc ręką na płeć w ogóle i stwierdzono, że osoby czujące się kobietami mogą startować w jednych zawodach z kobietami, korzystać z tych samych toalet, pryszniców i wszystkiego innego. Cóż za raj dla nieudaczników, erotomanów i ekshibicjonistów! Czy ktoś o to pytał miliony normalnych kobiet, zarówno startujących w zawodach sportowych, jak i niestartujących? Kto mógł coś takiego wymyślić? Chyba jakiś skrajny mizogin, który za nic ma wolę samych kobiet. Cóż za straszna zemsta facetów na kobietach! Każdy może być kobietą, jeśli będzie mu tak wygodniej. Ale czy będzie tak wygodniej kobietom? W walce z dyskryminacją kobiet posunięto się do bezprecedensowej ich dyskryminacji.

Kobiety są osobami czasem trudno zrozumiałymi dla mężczyzn. W niejednym różnią się statystycznie od mężczyzn, ale w pewnych aspektach, które nazwałbym „cnotami niewieścimi" – ciekawe skąd ta furia wobec urzędnika, który użył tego określenia – prawdopodobnie górują nad mężczyznami. Chodzi o odpowiedzialność. Tekst ten dedykuję więc z szacunkiem wszystkim kobietom, które chcą być kobietami, które są kobietami, którym jest z tym dobrze i które nie chcą, by im utrudniano życie i zawracano głowę. Drogie panie, zróbcie wreszcie porządek z wariatami, którzy niszczą naszą cywilizację. ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

NOWY ŁAD

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Dostałem broszurę rządową mówiącą o tym, czym jest Nowy Ład. Zmienili nazwę z „Nowy…" na „Polski Ład". Dlaczego? Zorientowali się, że „nowy ład" (świata, kraju, społeczny) to koncepcja masonów? Że „nowy ład" oznacza odejście od ładu chrześcijańskiego?

***

Chwalą się, że za PiS „płaca minimalna znacznie wzrosła". Cieszyłbym się, gdyby wzrosła w sposób naturalny, a nie wymuszony. Ustalanie przez władzę płacy minimalnej jest działaniem szkodliwym – ręczne sterowanie gospodarką to socjalizm zamiast wolnego rynku, a wszystkie gospodarki socjalistyczne prowadzą do biedy.

W gospodarce wolnorynkowej płaca minimalna wynosi zero, a czasami nawet minus. Dawno temu w bogatym Poznaniu Arkady Fiedler (lub jego ojciec) zatrudnić się chciał na posadzie nauczyciela w dobrej szkole. Pierwsze dwa lata musiał przepracować za darmo (czyli dokładał), a dopiero, gdy się wykazał, dano mu stałą posadę i pensję, i zaczął zarabiać. To był wolny rynek. A chwalenie się przez PiS, że za ich rządów płaca minimalna wzrosła o 60 proc., jest rodzajem oszustwa – skoro to oni ustalają płacę minimalną, to mogli ją podnieść o 120 proc. lub o swoje ulubione 500.

***

Piszą też, że „stopa bezrobocia wyraźnie spadła". Nie piszą jak i dlaczego. Nie piszą, że poprzez rozbudowany program zasiłków (socjalizm) wielu obywateli przeszło z listy bezrobotnych na listę przeróżnych rencistów, wczesnych emerytów i tym podobne KOSZTOWNE garnuszki rządowe. Pomoc społeczna powoduje, że cała masa zawodowych bumelantów korzysta i „załapuje się", opuszczając rynek pracy na zawsze. Więc bezrobocie spadło, ale rąk do pracy nie przybyło i wie to przedsiębiorca. Zasiłki dla bezrobotnych nie powinny istnieć – ZERO! – wtedy moglibyśmy gadać o realnym poziomie bezrobocia i go uczciwie policzyć.

***

Ogłaszają też „Niższe podatki dla Polaków!". Dodali wykrzyknik. Informują, że 18 mln Polaków zapłaci mniejsze podatki. Nie informują, że w związku z tym cała reszta (czyli więcej niż 18 mln) zapłaci podatki wyższe.

Chwalą się emeryturą bez podatku, ale… pod warunkiem że jest to emerytura do 2,5 tys. zł. Wcześniej pamiętam hasła uczciwe: „KAŻDA emerytura bez podatku", bo przecież składki emerytalne były już raz opodatkowane, gdy je od obywatela pobierano, więc teraz, przy wypłacie emerytury, nie wolno jej traktować jako dochodu, bo dochodem nie jest. Pobierają DRUGI RAZ podatek od tego, za co już wcześniej pobrali dochodowy.

***

Chwalą się, że „Polska gospodarka wśród najszybciej rozwijających się w Unii". Ani słowa o tym, że Unia jako całość jest strefą zerowego rozwoju lub się zwija. Unia to stagnacja i zapaść, a my się cieszymy, że w porównaniu z tym upadającym zerem rozwijamy się szybciej niż inne zera. W takich rozważaniach istotny jest też punkt startowy. Ktoś biedny, kto zaczyna od zera, rozwija się PROCENTOWO dużo szybciej od kogoś bogatego, kto się już dorobił. Samochód mocno rozpędzony na autostradzie nie jest już w stanie dużo przyspieszyć, bo i tak jedzie szybko. Samochód, który dopiero wjechał na autostradę, może się chwalić, że od prędkości 40 km/h rozpędził się do 120 km/h w kilkanaście sekund.

***

Zasmucające są też kolejne pomysły na rozdawnictwo. Rząd nie ma żadnych własnych pieniędzy, więc gdy obiecuje, że coś rozda, to oznacza, że najpierw musi komuś zabrać. A gdy rząd zabiera, to całą masę forsy przejada i marnuje, zanim rozda resztki. Uczciwym pomysłem byłoby nie zabierać ludziom i nie rozdawać. Ale wtedy trudniej się chwalić.

Chwalą się hasłem „Mieszkanie bez wkładu własnego i dom 70 mkw. bez formalności". Czyli, po pierwsze, rząd zagwarantuje BANKOM kredyty za tych obywateli, którzy nie mają zabezpieczenia ani wkładu własnego. To absolutnie nie jest zdrowe i mieliśmy już kryzys światowy z tego powodu. „Darmowe" mieszkania lub kredyty bezzwrotne i inne takie sztuczki to działanie pod publiczkę, a ekonomicznie jest to zasilanie wybranych banków i korporacji z pieniędzy zabranych obywatelom.

I jeszcze zapytam, dlaczego dom 70 mkw. wolno będzie budować bez formalności – czyli według dotychczasowego prawa budowlanego „na dziko" – a domu o powierzchni 75 mkw. już nie?

Powinno być równo dla wszystkich – buduj, jak chcesz, a potem odpowiadaj finansowo i kryminalnie za ewentualne szkody budowlane. To byłaby równość i sprawiedliwość. A co jest? Jest podział na Polaków lepszych i na złych burżujów, czyli socjalistyczna wojna klasowa. Poza tym… sami zobaczycie, jak to zadziała. Dwa małe domki bez zezwolenia, a potem łącznik i już mamy 140 mkw. Lub seria czterech bliźniaków sklejonych plecami i nagle burżuj ma bez zezwolenia duży dom.

Wiem, bo za rządu Leszka Millera były odpisy podatkowe na małe mieszkania. Wybudowałem więc biurowiec złożony z sześciu małych mieszkań, wziąłem odpisy, a po kilku latach kazałem rozwalić ścianki działowe i z sześciu mieszkań zrobić normalny budynek. Wszystko odbyło się legalnie.

Tak zawsze działa ręczne sterowanie gospodarką – wygląda ślicznie na papierku i niewielka grupa biednych się załapie, ale prawdziwe korzyści odniosą bogaci.

A skąd ja wtedy wiedziałem o tym sposobie z odpisami i ściankami działowymi? Powiedział mi to w sekrecie sąsiad zza płotu, który kumplował się z Millerem, a przede mną chciał zabłysnąć elokwencją gospodarczą w korzystaniu z systemu.

***

Dalej już tej broszurki rządowej nie analizuję, bo zawiera sprytne kłamstewka. Mamy rok 2021, prawda? A w tabelkach które oni podają, wyniki wzrostowe dochodów liczone są w latach 2015–2022. Czyli… chwalą się czymś, co jeszcze nie nastąpiło i nie wiemy, czy kiedykolwiek nastąpi.

Baj! ©℗

eprasa.pl 10bcd3ca63

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

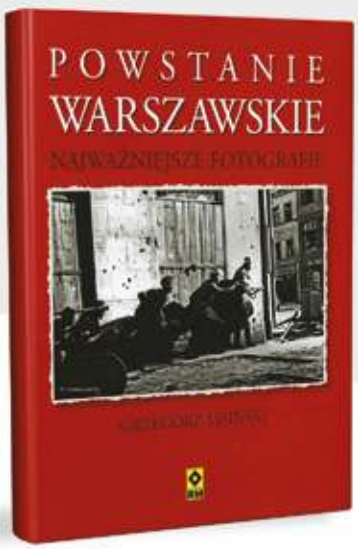

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

GRZEGORZ JASIŃSKI
„POWSTANIE WARSZAWSKIE.
NAJWAŻNIEJSZE FOTOGRAFIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~716 ZŁ~~

313,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 403 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 10bcd3ca63

Odbudowa Pałacu Saskiego w Warszawie

Wspólnie odbudujemy to,
co nigdy nie powinno być zniszczone

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

niepodległa

Projekt finansowany ze środków budżetu Państwa, w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości oraz odbudowy polskiej państwowości

eprasa.pl 10bcd3ca63